

PLOTKI I PRAWDY



Mieczysław Pawlikowski

2001

[MIECZYŚLAW PAWLIKOWSKI]

PSEUDO.

PLOTKI I PRAWDY

WYDANE PRZEZ PSEUDONIMA

WYDANIE NOWE
POPZEDZONE WSTĘPEM TADEUSZA ROMANOWICZA
(Z PORTRTEM AUTORA)



LWÓW

NAKŁADEM KSIĘGARNI H. ALTENBERGA
1904

K-109/173



38336

BIBLIOTEKA UNIWERSYTECKA
im. Jerzego Giedroycia w Białymstoku



FUW0269874

KRAKÓW. — DRUK W. L. ANCYOJA I SPÓŁKI.

P

Zwraca się uwagę, aby książek nie brudzić i nie tłuszczyć, kartek nie załamywać i nie po nich nie pisać. Książek dzieciom nie dawać. Jeżeli kolega udziela książki rodzinie lub osobie dalszej, powinien dbać, aby jej lekkomyślnie nie niszczone.



Słowo wstępne.

W postępowym krakowskim „Kraju” pojawiły się w r. 1871 felietony p. t. „Pseudo, — Plotki i prawdy, spisane przez Pseudonima”. Była to w lekkiej formie podana poważna satyra na niektóre wady naszego polskiego społeczeństwa w Galicyi i na stosunki, pod szkodliwym wpływem tych wad rozwijające się bardzo niepomyślnie. Satyra, jak zwykle, wywołała gniewy. Wywołała je głównie w obozie konserwatywnym, chociaż nie była wyłącznie przeciw niemu skierowana, a smagała wady nasze bez względu czy się one wśród konserwatystów pojawiają, czy wśród postępowców, wśród magnaterii, szlachty czy mieszczaństwa. Gniewy wzmogły się jeszcze, gdy wydawnictwo „Kraju” wydało te felietony w osobnej książce, ażeby rzecz dostępną uczynić nie samym tylko czytelnikom tego postępowego organu.

Po 33 latach wychodzą „Plotki i Prawdy” w drugim wydaniu. Pokolenie, do którego autor należał, schodzi już do grobu, pozostawiając swoim na-

stępcem dalsze prowadzenie dzieła, rozpoczętego po pogromie r. 1863 — 4, pracy nad wewnętrznem odrodzeniem narodu, ku odzyskaniu pełni praw narodowych. Autor sam spoczął już na wiejskim cmentarzu, — stosunki wśród których pisał swoją satyrę, zmieniły się znacznie. A jednak sądzimy, że drugie wydanie tej książki jest nie tylko dziełem pietyzmu dla pamięci zgasłego niedawno autora, ale przyniesie niewątpliwy pożytek publiczny i mieć będzie wartość trwałą.

Tę wartość trwałą mają „Plotki i Prawdy“ tem zapewnioną, że są satyrą w wyższem, poważnem tego słowa znaczeniu. Autor nie goni za błyskotliwym dowcipem. Szyderstwo nie jest mu celem, lecz środkiem. Ma na oku nie jednostki pewne, na któreby palcem wskazywał i w pogardę ogółu podawał, ale typy, ale wady licznym jednostkom wspólne. Czytając — czujesz, że ten autor kocha ludzi, gdy smaga wady, a przedewszystkiem kocha swój naród i jego przyszłość. Więc gdy smaga, gdy szydzi, czyni to nie ku jakiejś złośliwej ucieczce, nie ażeby się pochwalić że smagać umie, ale żeby rodakom swoim postawić przed oczy zwierciadło, by się w niem przejrzeni, plamy na swem duchowem obliczu dostrzegli, brzydotę tych plam poznali i weszli w głąb własnej duszy — ku poprawie. Nie jest też autor na usługach partyi czy koteryi — służyć pragnie tylko swemu narodowi i jego przyszłości. Satyra, nawet tak pojęta,

musi mieć znajomość czasu, w którym powstała, musi się poruszać na tle danych, współczesnych stosunków, inaczej stałaby się teoretycznem moralizowaniem — chybiłaby celu. Stosunki te zmieniają się — po 33 latach są inne, niż były w chwili, gdy „Plotki i Prawdy“ się pojawiły. Ale tem, że satyra nie indywidualna ma na oku, lecz typy, że sięga w głąb psychiki swego społeczeństwa, że ma myśl przewodnią w przyszłość narodu zwróconą — tem pomimo zmienionych stosunków zapewnioną ma trwałą wartość.

Autorowi widocznie nie szło o wyczerpanie wszystkich tych wad polskiego w Galicyi społeczeństwa, które się w większej liczbie jednostek pojawiają tak, że stają się typowemi. Wyjął z nich jedną kategorię — a mianowicie te wszystkie, które się dają ugrupować około jednego znamionnego rysu. Charakteryzuje ten rys pierwszy tytuł książki: „Pseudo“ — i pierwszy jej tym samym tytułem zaopatrzony, rozdział. Ludzie nie chcą być tem, czem są. Nie mają odwagi, wobec świata i wobec siebie samych, okazywać się takimi, jakimi są w głębi duszy i serca. Chcą być wobec świata czemś więcej i czemś innem, niż są w istocie. Nabierają w tem rutyny, dochodzą w końcu do tego, że sami w siebie wmawiają to, co w innych o sobie chcą wmówić — dochodzą do obłudy nie tylko wobec innych, ale i wobec własnego sumienia. Mamy więc pseudo-Polaków, pseudo-patryotów i pseudo-

demokratów; mamy pseudo-organiczników i pseudo-filantropów; mamy pseudo-literatów i pseudo-poe-tów, i pseudo-gospodarzy i pseudo-bohaterów i pseudo-polityków. Społeczeństwo przez wszystkich „pseudo“ okłamywane albo przynajmniej nieświadomie w błąd wprowadzane, stale doznaje zawodów. Trudno mu znaleźć właściwych ludzi na właściwe stanowiska, bo opanuje je zawsze jakieś „pseudo“. Stąd więc bardzo dużo pseudo-roboty i pseudo-polityki. Gdyby każdy szczerze był i pozostał tem, czem w istocie jest, i to, czem jest, w sobie wykształcał, doświadczeniem i praktyką wywierał, siła każdego byłaby dla pracy narodowej i społecznej stokroć lepiej użyta i większy by z niej był pożytek, aniżeli, gdy się jej używa na to, aby utrzymać pozory swojego pseudo. Około tego rysu charakterystycznego grupuje autor cały szereg postaci takich, z jakimi i dziś jeszcze, pomimo zmienionych stosunków, zbyt często spotkać się można. Ten pseudo-patryota, który w czasie powstania usunął się od wszystkiego, zawiązał szczelnie worek, bo to „nieszczęście i zbrodnia“ — a po powstaniu do żadnej roboty jawnej w zakresie „pracy organicznej“ należeć i przyczyniać się nie chce, bo to wszystko jest tak źle prowadzone, że się na nic nie przyda; ten pseudo-skromny, co się od wszelkiego zaszczytu wymawia, a przyjmuje wszystkie i chorowałby, gdyby go jaki ominął; ten pseudo-pracowity prezes, który nic nie robi a tylko pod-

pisuje, co mu podsunie sekretarz; ten pseudo-pro-rok, który nieróbstwo swoje zasłania nieustannem wieszczaniem jutrzejszych wielkich wypadków; ten pseudo-polityk, który do przywództwa się pcha, a ma do niego tylko ten jeden tytuł, że przodkowie jego byli dygnitarzami, tak samo, jak ten pseudo-gospodarz, który o gospodarstwie nie ma pojęcia, bo wyobraża sobie że samo posiadanie zastąpi naukę — to są wszystko typy, dziś tak samo prawdziwe, jak były przed 33 laty.

Czytajmy więc „Plotki i Prawdy“ — bo one są samą prawdą. A jeżeli kto tę prawdę stwierdzi na sobie samym, bo znajdzie może rys jaki, w którym siebie samego pozna — niech do autora „Plotek i prawd“ nie ma żalu za doznana przykrość. Bo jeżeli kto, to autor ten miał prawo niemiłosiernie smagać wszelkie „pseudo“ — a mówiąc mniej delikatnie, wszelką obłudę. Miał to prawo, bo w nim nie było nic „pseudo“, bo był samą szczerością i prawdą, był zawsze samym sobą, a wstrętnem mu było uchodzić za coś innego lub za coś więcej — tem chyba błędząc, że sam siebie niedo-ceniał...

* * *

Autorem „Plotek i prawd“ był Mieczysław
Pawlikowski.

Urodzony w r. 1834, syn Gwalberta, właściciela

Medyki, — znanego miłośnika ojczystych dziejów i piśmiennictwa, — i Henryki z Dzieduszyckich, wcześniej wszedł w koła literackie i patryotyczne, z którymi ojca jego bliskie wiązały stosunki. Studya odbywał wkraju, uzupełniając je dłuższymi wycieczkami zagranicę. W wycieczkach tych zawadził i o Paryż, gdzie poznał ówczesną emigrację, wśród niej i Adama Mickiewicza. Z tego spotkania z wielkim poetą nie zostawił żadnego zapisku — pamiętam tylko, jak raz opowiadał, że spotkanie to, choć bardzo krótkie, wywarło na nim potężne wrażenie. Różnica wieku była zbyt wielka, ażeby mógł się być nawiązać jakikolwiek stosunek. Pawlikowski rychło wrócił do Lwowa — Mickiewicz wyjechał na Wschód, ażeby stamtąd już nie wrócić żywym.

We Lwowie wpadł Pawlikowski w wir życia literackiego i patryotycznych usiłowań. Było to w czasie między wojną krymską a styczniowym powstaniem — w czasie, kiedy duch narodu nastrojał się na tę wysoką nutę, która niebawem miała uderzyć wielkim hymnem ofiarnym na ulicach Warszawy a następnie bojową pieśnią w rozpaczliwych wysiłkach zbrojnych powstania styczniowego.

Galicja i jej stolica nie miały tu, mieć nie mogły kierowniczego stanowiska. Ster ducha polskiego, ster polityki polskiej przypadł Warszawie. Galicji zadaniem było krzepić tutaj i dźwigać ducha narodowego, zmartwiałego pod obuchem reakcji

germanizacyjno-biurokratycznej i policyjnej po „wiośnie narodów“ roku 1848 — pielegnować zaniedbaną a ze szkół i z urzędów wygnaną mowę ojczystą, szerzyć zamiłowanie do ojczystego piśmiennictwa, naprawiać skolatane stosunki społeczne — zbierać materiały do akcji, gdyby do niej dała hasło Warszawa. Zadania te przypadły głównie literaturze i młodzieży. Pawlikowski należał już do świata literackiego a równocześnie należał jeszcze do młodzieży i miał na nią wpływ znaczny. Ruch literacki skupił się w redakcyi Nowin, później Dziennika Literackiego, pod kierunkiem Jana Dobrzańskiego. Ze starszych Karol Szajnocha, Józef Dzierzkowski, Kornel Ujejski — z młodych, dwaj druhowie najserdeczniejsi, Mieczysławowie Romanowski i Pawlikowski, Bruno Bielawski, Walery Łoziński, Ludwik Wolski, Roman Zmorski, Romuald Karpiński, Platon Kostecki, później Juliusz Starkel — z Krakowa Józef Szujski i Michał Bałucki — to były siły, które pod doświadczonym sterem Dobrzańskiego postawiły Dziennik Literacki w rzędzie najlepszych a dla sprawy narodowej wielce zasłużonych wydawnictw. Pawlikowski kładł tam dużo swej pracy i swego ofiarnego grosza.

Poczynająca się era konstytucyjna w Austrii otwierała szersze pola działania. Więc pamiętna wielka deputacja do Wiednia, z adresem dopominającym się o prawa narodowe i o samorządną organizację kraju. Pawlikowski bierze w tem żywy

udział — działa w duchu stronnictwa demokratycznego — walczy o oddanie Smolce przewodnictwa w deputacyi. Towarzystwo gospodarskie galicyjskie — jedyna w tej chwili legalna reprezentacya kraju — zapatrzona na wzór warszawski, rozszerza swój zakres działania. Pawlikowski jest tam znowu czynny, działa w duchu patryotycznym i demokratycznym, protestuje przeciw należeniu do Towarzystwa ludzi splamionych odstępstwem (sprawa b. dyrektora policyi sławnego z r. 1846 Chomińskiego) — zdobywa uchwałę zajęcia się wydawnictwami ludowemi.

W tym czasie Pawlikowski połączył się dożgonemi ślubu z kuzynką swoją Heleną Dzieduszycką, niewiastą niezwykłych zalet umysłu i serca, która mu była najwierniejszą towarzyszką prac i usiłowań a prawdziwym aniołem opiekuńczym w ostatnich latach życia, w czasie długotrwałej a ciężkiej niemocy.

Wypadki warszawskie niepowstrzymanym pędem zmierzały ku katastrofie. Sprowokowane branką wybuchu nieprzygotowane powstanie styczniowe. Warszawa dała hasło — poszło za głosem stolicy Królestwo. O ich los w pierwszym rzędzie rozgrywała się walka. Galicyi rzeczą było nie rządzić, nie kierować polityką powstańczą — ale słuchać, nieść pomoc ofiarną nie szczędząc krwi ni grosza. Tak pojmowało obowiązek tego kraju młode jego pokolenie — tak je pojmował Pawlikowski. Bojowej służby pełnić niemógł. Wątpliwe zdrowie i nie-

słuchanie krótki wzrok nie czyniły go do żołnierki sposobnym. Byłby musiał być pseudo-żołnierzem. Ale ofiarę nieustannej a nieraz z wielkiem niebezpieczeństwem połączonej pracy i ofiarę obfitą grosza, niósł w pełnej mierze. Używany do ważnych i niebezpiecznych nieraz misyi, był w ciągłym ruchu między Medyką, Lwowem, Krakowem, Warszawą. Medyka była wtedy jakby główną kwaterą oddziałów, spieszących do Królestwa. W ostatnich miesiącach 1863 i 1864, kiedy wysyłka oddziałów ustała, był czynny w organizacyi miasta Lwowa.

W marcu 1864, już za stanu oblężenia, został uwięziony i osadzony w lwowskim więzieniu u Karmelitów, które wtedy było zaludnione więcej, niż po wypadkach r. 1846. Więzienie znosił spokojnie i z godnością. Więcej go trapiła troska o los rodziny. Wojskowe władze, które w czasie stanu wojkowego samowolnie gospodarowały, uwięziły się były szczególnie na niewiasty, czynne w organizacyi kobiet. Aresztowano ich kilka we Lwowie. Ten sam los czekał panią Mieczysławową Pawlikowską — o czem organizacya miejska szczęśliwie się dowiedziawszy, w porę ostrzegła. Nie było się nad czem długo namyslać; — dwóch małych chłopczków nie można było zostawiać pozbawionych opieki już nie tylko ojca ale i matki. Pozostawało więc tylko uchylenie się od uwięzienia przez wyjazd za granicę. Pani Pawlikowska osiadła z synami w Szwajcaryi — on w lwowskim więzieniu

oczekiwał wyroku sądu wojkowego, sądzącego „nach eigenem Ermessen“. Jakie specjalnie „zbrodnie“ zarzucono Pawlikowskiemu — nie wiem dokładnie. O ile sobie przypominam udowodniono mu należenie do organizacji, która robiła zbrodnie zdrady stanu przeciw Rosyi a tem samem, według kodeksu austriackiego, popełniała zakłócenie spokoju publicznego w Austrii. Na wyrok czekał Pawlikowski nie długo, i otrzymał go — na dwa lata więzienia. Według procedury wojkowej wyroki wyższe niż na 1 rok więzienia, mają być wykonane przez odsiedzenie kary we fortecy. W maju poczęły krążyć pogłoski, że zaczną wywozić skazanych. Nie wiadano jednak, kiedy i do której fortecy. Nagle, dnia 22-go maja 1864, wieczorem, zawiadomiono Mieczysława Pawlikowskiego i Henryka Janke, że tejże nocy wyjadą. Dla czego ta tajemnica do ostatniej chwili, to zaskoczenie niespodziewanem wywiezieniem? Trudno to racjonalnie wytłómaczyć. Jakiegokolwiek były pobudki — sam fakt był niepotrzebnem udręczeniem, bezcelową dokuczliwością. Skazani przyjęli to spokojnie, z powagą, z podniesionem czołem. Wywieziono ich w nocy — żegnanych najserdeczniej przez towarzyszy więzienia. Przesiedzieli w ołomunieckich kamatach 1½ roku — bo od 23-go maja 1864 do 20-go listopada 1865. A więzienie to — w ogóle bardzo ciężkie, bo niesłychanie wilgotne, pozbawione choć jako tako zdrowego powietrza i zdro-

wej wody, z przechadzką zupełnie niewystarczającą — było dla Janki i Pawlikowskiego w pierwszym półroczu tem cięższe, że kolonia więźniów bardzo powoli się zwiększała a między obostrzeniami było także, może najcięższe, iż nie dozwolono im żadnych książek, nawet najniewinniejszych i najlojalniejszych. Dopiero pod koniec listopada rozporządzenie rządu Schmerlinga zniosło ten barbarzyński zakaz. Z wiosną r. 1865 Pawlikowski zachorował w więzieniu tak, iż musiał kilka tygodni przeleżeć w szpitalu. Pomimo że choroba ta nadszargała dobrze jego i tak dość wątłe siły, a serce szarpała tęsknota za żoną i synami — nie wniósł podania o ulaskawienie, kiedy do tego więźniowie formalnie byli zawezwani. Wyszedł razem z wszystkimi, 20-go listopada 1865 r., gdy wszystkim skazańcom z czasów powstania darowano resztę kary, i wyjechał zaraz do Szwajcaryi, aby się połączyć z rodziną.

Do kraju powrócił w r. 1866 — kiedy po wojnie pruskiej wyszła już powszechna amnestya, znosząca wszelkie skutki kar i wszelkie ścigania sądowe za popełnione przedtem polityczne uczynki — kiedy zatem i pani Pawlikowska mogła do kraju powrócić. Osiedli naprzód na wsi, w Radziszowie, w powiecie myślenickim.

Rozpoczął się okres prac wewnętrznych — okres pierwszej organizacji autonomii gminnej i powiatowej. Pawlikowski bierze w tem czynny udział.

Wybrany do Rady powiatowej, która z początku i z brakiem sił do pracy i z brakiem środków pieniężnych walczyć musiała, podejmuje się Pawlikowski bezinteresownie prowadzenia biura Rady powiatowej, jako jej sekretarz honorowy — pracuje jak urzędnik, z tą punktualnością i ścisłością, jaka go w każdej pracy odznaczała. Nie chciał być i nie był „pseudo“-reprezentantem powiatu — dał mu sumienną, mozolną pracę. A gdy jego zdolności i wiedza uprawniały go do stanowiska kierującego, on dobrowolnie zajmuje drugorzędne, byle pracą swą skuteczniej dobru powszechnemu służyć. Jest to u niego rys charakterystyczny, który mu pozostaje do końca życia. Przez czas tej swojej pracy w Radzie powiatowej myślenickiej, zasilał też stale artykułami i korespondencyami lwowską Gminę, pismo poświęcone sprawom samorządu.

Po kilku latach przenosi się do Krakowa. Był to czas najgorętszej walki pomiędzy „szkołą“, jaką p. Koźmian nazywa, która wydała tekę Stańczyka i sięgała po ster spraw krajowych i narodowych, ażeby je w duchu trójlojalizmu na zewnątrz a konserwatyzmu na wewnątrz prowadzić — a stronnictwami postępowymi, pragnąciami utrzymania w czystości programu polityki narodowej i dążąciami do odrodzenia przez oparcie siły narodowej na szerokiej demokratycznej podstawie. Pawlikowski, wierny ideałom swej młodości, które w dojrzałym mężu stały się silnie ugruntowanymi

przekonaniami, przylączył się całym sobą do tego drugiego obozu — bierze udział w jego walkach politycznych, w jego pracach publicystycznych, udział czynny, pracowity, ofiarny. I w tym obozie pozostał do końca życia, bez wahania się, bez zboczeń — on, z magnackimi rodami skoligacony, a wielką własnością ziemską, według galicyjskiego zwyczaju, „naturalnie“ do konserwatystów należeć „obowiązany“. Przyciągali go też — kusili, — gdy się nie udawało, zaczęli od niego stronić. On się śmiał z tego i szedł niewzruszenie drogą swoich przekonań. Należy do inicjatorów Towarzystwa oświaty ludowej z końcem lat sześćdziesiątych. Należy do założycieli i czynnych członków opozycyjnego „Koła politycznego“ w Krakowie. Należy do założycieli postępowego dziennika „Kraj“ i jest członkiem jego redakcyi. A znowu nie „pseudo“ — znowu całą duszą, znowu dając gorliwą pracę. Pisuje dużo — felietony, artykuły polityczne, recenzje artystyczne i literackie. Gdyby mu szło o ambicję literacką, gdyby się był w jakim kierunku skoncentrował, byłby przy swoim wielkim talencie, wiedzy bardzo rozległej, wyrobionym smaku, ambicję tę w pełni zaspokoił i wybitnie zajął stanowisko. Ale on sobie zawsze mówił: czyń to, co czynić potrzeba, czego interes publiczny od ciebie w danej chwili wymaga, choćby to była robota na pozór drobna a o czem wiesz, że siły twoje na pewno temu sprostają. A powtarzam:

jeżeli czem błdził, to tem, że sił tych niedoceniał należycie.

Po upadku „Kraju“ w postępowej publicystyce krakowskiej powstała kilkoletnia przerwa, w czasie której konserwatywny kierunek „szkoły“ panował niepodzielnie. Dnia 1-go stycznia 1882 pojawia się pierwszy numer „Reformny“, zamienionej po 11-stu miesiącach na „Nową Reformę“. Pawlikowski należy znowu do grona założycieli i redaktorów. Ile pracy włożył w to pismo, jakim był doradcą na codziennych sesjach redakcyjnych, jakim nieocenionym i niezmordowanym pracownikiem, jak godnym, poważnym, zasadom pisma wiernym przedstawicielem i gdy potrzeba obrońcą pisma na zewnątrz jak ofiarą w chwilach przejść nieraz bardzo ciężkich — ci tylko ocenić mogą, którzy na to z bliska patrzyli. A w rozdziale pracy znowu postąpił podobnie jak w Radzie powiatowej myślenickiej: obrał sobie kronikę, sam, dobrowolnie, nawet wbrew przedstawieniom kolegów. Po paru latach, gdy pod jego kierunkiem wyrobiła się siła odpowiednia — objął redakcję felietonu. I tu położył niepospolitą zasługę, przez zachęcanie i wprowadzanie nowych talentów, sił młodych. Bo też pojmował obowiązek swój wcale nie „pseudo“. Każdy rękopis, choćby najslabszy, przeczytał cały — z każdym autorem przeprowadził korespondencję — wytykał serdecznie wady, podnosił zalety, propo-

nował zmiany, nieraz sam uzupełniał braki — słowem, dawał zachętę i kierunek.

A takim samym był w stronnictwie, które odżyło, gdy znalazł się organ, koło którego skupić się znowu mogło. W każdej pracy i w każdej walce czynny brał udział. Należy do założycieli Tow. oświaty ludowej w Krakowie, Sokoła krakowskiego, który z takimi z początku przeciwnościami i niechęcią sfer konserwatywnych walczyć musiał, do Tow. Szkoły ludowej. Pracuje w Wydziale Towarzystwa Tatrzańskiego, do którego inicjatorów należał, w Wydziale krak. Towarzystwa Sztuk pięknych, w krakowskiem Towarzystwie rolniczym, w Radzie miasta Krakowa, zawsze usuwając się od stanowisk naczelnych, zawsze szukając pracy pożytecznej dla ogółu a nie zaszczytów i synekur. Bierze udział w każdej akcji wyborczej, zawsze i stale po stronie postępowej. Dom jego na Kleparzu staje się ogniskiem, w którym robota się skupia, organizuje, w którym radzi się nad wyjściem z trudnych sytuacji... A cały ten trud swój i pracę daje Pawlikowski bez jakichkolwiek osobistych widoków. Ileż razy wzywano go, by pozwolił postawić swoją kandydaturę do Sejmu, do Rady państwa — ileż razy najbliżsi przyjaciele prosili go o to, wskazując na pewność zwycięstwa pod hasłem jego właśnie nazwiska — zawsze bezskutecznie. „Wszystko dla was zrobię — tego odemnie nie żądajcie“. Tak mu była wstrętą myśl, że miałby staczać walkę już nie

tylko o zasady i przekonania ale o własną swoją osobę — że miałby sięgać po coś dla siebie — a wreszcie, jak sam raz powiedział, myśl, że możeby byli tacy, którzyby głosowali nie tyle na niego, ile na... właściciela Medyki, na reprezentanta dużego majątku. A jeśli był w tem błąd — to jakże szlachetne jego motywy!

Pracował dużo — nienasycenie łaknący wiedzy. Ulubionym przedmiotem jego studyów była historia kultury ludzkiej, zwłaszcza zaś historia wszelkich wyznań religijnych. Brał przez dłuższy czas udział gorliwy w pracach komisji językowej Akademii Umiejętności — i zostawił niesłychanie mierzalnie zestawiony indeks wyrazów polskich z wydanej w XVI wieku w polskim języku historii Tobiasza. Prócz „Plotek i prawd“, wydał rzecz polemiczną „Ultramontanie i moderanci“ (1871) — powieści i nowelle: „Tajemnica pani Krzuckiej“ (1876), „Panna Kapitanówna“ („Echo“. Warszawa, 1878), „Testament Napoleona“ (1879), „W grudniowe dni“ (1881), „Druga Miłość“ (N. Reforma“ 1883), „Drugi Tom“ (1885), „Lat temu 44“, „Odzyskana“ (wspólnie z Sewerem Maciejowskim, Kurjer warsz. 1892), „Baczmaha“ (ilustrowana przez Włodzim. Tetmajera. 1898), — mniejsze nowelki: „Hipeio“ („Kronika“. Kraków 1875), „Nowy Rok“ („N. Reforma“ 1890), — przekłady z Castellara: „Cmentarz Pizański“, z Salv. Fariny: „Rozwód“, — w młodszych latach liczne poezye oryginalne i tłó-

maczone, drukowane głównie w lwowskim „Dzienniku literackim“, — większy poemat „Pamiętnik Pieśniarza“ (1855), — zbiór krytyk sztuki pisywanych w „N. Reformie“ jako sprawozdania z wystaw Tow. Sztuk Pięknych, — wreszcie mnóstwo rozpraw i artykułów literackich i politycznych rozrzuconych po różnych pismach, prac nieraz bardzo gruntownych i wymagających szerszych studyów, których jednak bądź niepodpisywał, bądź zaopatrywał wciąż zmieniającymi się pseudonimami, których często najbliżsi nawet nie znali, jak np.: Marek Polnicz, Jan Bar, W. J., P. Ch., Atanazy, Malwinkowski, Niezgoda, Paweł, Pseudonim, Ψ, aw. aw., Ch. z Helenówki, J. N. Jaśkowski, etc. *).

Ostatni dziesiątek lat życia miał smutny. Zdrowie coraz bardziej mu niedopisywało. Wilgotne kazamaty ołomunieckie nie pozostały bez wpływu szkodliwego na wątły i tak organizm. Przyczynił się do tego zwyczaj, od młodości stale dochowywany, pracowania zawsze w nocy, tak, że nieraz świt biały zastawał go przy pracy. Więc gdy skończył szósty krzyżyk siły poczęły go opuszczać, dolegliwości różne trapić boleśnie. Były dłuższe okresy, w których obawiano się bliskiego już końca. Dźwigał się na czas jakiś — odżywał, wracał do dawnej

*) Zbiór nowel p. t. „Novelly“ przełożył na czeskie A. Schwab Polabsky (Praga 1886), — artykuł literacki o T. Lenartowiczu przełożył na język włoski we Florencji (1872) Wołyński p. t. „Le poesie di T. Lenartowicz“.

sprężystości i zapadał znowu. Z grona najbliższych przyjaciół ubywał jeden po drugim, kładąc zmęczoną głowę na krakowskim cmentarzu... Straty te odczuwał bardzo boleśnie. On pseudo-przyjacielem być nie umiał.

Dnia 23-go grudnia 1903 zgasł Mieczysław Pawlikowski — w 70 roku zacnego a zasług pełnego żywota. Spoczął w grobie rodzinnym na cmentarzu medycznym. Nie niesiono za trumną jego złotych błyskotek orderowych na aksamitnych poduszkach, nie postępowały za tą trumną żadne w mundurach wspaniałych reprezentacje oficjalne — a kartka pośmiertna nie umiała wymienić żadnych dygnitarstw zmarłego. Ale gdy w skromnym wiejskim kościele parochowie obu obrządków mówili, czem był dla ludu wiejskiego w swoich dobrach, to łzami świejące oczy tego ludu świadczyły, że trumna na środku kościoła stojąca skryła wielkie serce, które bić przestało na wieki — a gdy mówca na cmentarzu mówił, czem był zmarły dla społeczeństwa, to pochylały się głowy dużej rzeszy zebranych w czci i wdzięczności dla tego zmarłego, do którego w pełni stosują się słowa poety:

Mnóż się ty jeden przez czyny żyjące —
A będą z ciebie jednego — tysiące.

*

*

*

Więc czytajmy „Plotki i Prawdy“ — bo autor ich całem swem życiem prawdzie dawał świadectwo. Była w nim pełna zgodność myśli i czynu — przekonań i danego im na zewnątrz wyrazu. Było wielkie, miłościwe serce, był wzniosły a światły umysł, była tego serca i tego umysłu najpiękniejsza synteza i bardzo szlachetna etyka, którą się w życiu kierował. Nie pragnął niczego dla siebie — dawał siebie całego narodowi i bliźnim. Był zawsze samym sobą, takim się wydawał, jakim był, nigdy i w niczem nie był „pseudo“ — więc miał prawo tak, jak to w tej książce uczynił, skarcić i wysmagać wszelkie „pseudo“.

Lwów, w lutym 1904.

Tadeusz Romanowicz.

I.

Pseudo.



Gdzieżeś, gdzieżeś niezapomniany profesorze, z którego ust usłyszałem po raz pierwszy w mem życiu wyraz służący mi dziś za tytuł niniejszej pracy! Pod zbutwiałą siwą kapotą z czarnymi pętlcami, w której cię pochowano na wiejskim cmentarzysku, kości twoje w proch się musiały rozsypać. Czaszka zgrzytnie może jeszcze czasem pniakami zębów, jeżeli w tej czaszce tłuką się po śmierci myśli, które się w niej tłukły za życia. Gdyby cię wyniesiono na światło dzienne, gdybyś się przyjrzał dzisiejszym ludziom, ileżbyś to razy syknął twym wyrazem: „Pseudo!” — ty, który go powtarzałeś bez liku w onych czasach, w których przecież więcej było w ludziach prawdy i szczerości niż dziś.

„Jak mnie widzisz, tak mnie bierz!” mawiał w onych czasach pan Bartłomiej herbu Bożawola, sąsiad mego ojca, i szczurzył rude wą-

siska i bił się przytem pięstukami w wypukłe piersi aż dudniało. „Jak mnie widzisz tak mnie bierz!“ A dziś kto tak powie? Kogóż dziś z braci szlachty i braci nieszlachty brać można na seryo tak jak się go widzi?

Ilu dziś takich, którzy chcą być tem czem są? którzy mają odwagę wobec świata i wobec siebie samych okazywać się takimi, jakimi są w głębi duszy i serca? „Takimi jakimi są“ — prawda, że dla wielu niemała to trudność: jakimż się bowiem okażą, gdy są nijakimi?

Nieraz zastanawiałem się nad tem, w czem błędzą nasi powieściopisarze, autorowie współczesnych powieści, bo już to do twego odwołuję się sądu szanowny czytelniku, że w nich wszystkich czuć: brak prawdy. Ich bohaterowie, ich typowe figury, podrzędne nawet postacie ich utworów, to sami jacyś ludzie wyjątkowi, niezwykli. Nawet gdy najzwyczajszą pod słońcem kreaturę skreślić się siłą, wychodzi im z pod pędzla oryginał jakiś, a zawsze z charakterem, często słabym, chwiejnym jak trzcina na wietrze; miękkim, jak masło na patelni; chorobliwym, znarowionym, kapryśnym, ale zawsze z charakterem.

Otóż w tem właśnie błąd cały, w tem brak prawdy. Kreślą ludzi wyjątkowych: dobrych, złych, hartownych, słabych, a zawsze jakichś, kiedy tu właśnie ogromna większość dzisiejszych ludzi z tego mrowiska wokoło nas, tem się tylko da scharakte-

ryzować, że są nijacy. Nijakość to ich charakterystyka cała.

Nie wiedzą sami jakimi są, jakimi chcą być, jakimi być winni; wiedzą tylko jakimi się chcą wydawać. I czyż niesłusznie zwał ich ś. p. mój profesor „Pseudo-ludźmi?“ — „Polska zginęła przez tych ludzi *generis neutrius*“ — mawiał mój nieboszczyk. I prawda.

Ale wspomniałem o profesorze moim. Trzeba czytelnika z nim zapoznać.

Miałem lat ośm. Powrócił ojciec z miasta i zapowiedział przyjazd pierwszego mego nauczyciela, czyli jak mawiano „guwernera“, z którym się w stolicy ugodził. Był nim eks-profesor greki, przy którymś z gimnazyów krajowych — który „z wyższych względów państwowych“ na starość usunięty został z posady a bez pensyi.

Pamiętam, wyporzadzono dlań bezzwłocznie jeden z tak zwanych „gościnnych“ pokoików w oficynach, wymyto podłogę, poprawiono piec, zaopatrzono mchem okna na zimę a drzwi krajką sukienną wniesiono szafę, komodę, dwa stoły, łóżko, półki na książki, czerwone skórzane karło i parę krzeseł wyplatanych słomą. Wreszcie matka moja zawiesiła nad łóżkiem obraz Matki Boskiej Częstochowskiej, a ojciec pod biurkiem, przed którem stało karło czerwone, zaścielić kazał wilezurę „aby staremu w nogi nie wiało“.

Ja na te wszystkie przygotowania patrzyłem

z jakąś tajemną trwogą — a „stary“, o którym wspomniał mój ojciec. śnił mi się co nocy jak straszdyło, podobny do owej czarownicy w zbójckiej jaskini, pod której opiekę dostał się Henryś Eichenfels, którego rozrzewniającą historię dwa razy już przeczytałem był — od deski do deski.

Jakże niepodobnym był profesor do tego odstraszonego widziadła! Pewnego dnia zbudzono mnie raniej niż zwykle. Otworzyłem zaspane oczy — nad łóżkiem stał mój ojciec. „Wstawaj chłopcze, ubieraj się a prędko: przyjechał twój profesor!“ Wstałem tedy a dzwoniłem zębami, dygotała mi skóra na całym ciele z zimna czy ze strachu. Poszliśmy z ojcem do oficy.

Profesor przyjechał był o świcie. Zaprowadzono go do jego stancyi, wniesiono duży tłumok i pakę drewnianą z rzeczami. W tłumoku tym i w pace mieściło się całe mienie profesorskie. Nie tracąc czasu, zanim się dom rozbudził, profesor tymczasem wypróżnił pakunki swoje — i wyjętemi z nich rzeczami przystroił przeznaczoną mu izdebkę. Półki wypełniły się książkami różnej wielkości, kształtu i oprawy: na dole foliały jakieś w pergaminowych okładkach, wyżej dykeyonarze *in quarto*, dalej dwie półki *in octavo*, a na samej górze elzewirskie kieszonkowe wydania klasyków. W życiu mojem nie widziałem jeszcze tylu książek naraz i z otwartą gębą stanąłem przed tą aleksandryjską księżnicą. Bardziej jednak jeszcze od książek zwróciły moją

uwagę i zadziwiły mnie inne przedmioty, którymi ubrał profesor stancyjkę swoją.

Ściany pozawieszał obrazkami w skromnych czarnych ramkach. Nad biurkiem wisiała sylwetka Kościuszki składającego przysięgę z szablą oburącz w górę wzniesioną. — Naprzeciw piękny sztych przedstawiający w popiersiu brodatego mężczyznę w sile wieku z hełmem na skroni i obnażoną pierś — wyraz twarzy pełen męskiego hartu, rozumu i przebiegłości; był to idealny portret homerowskiego Odyssa. Na dwóch drugich ścianach dwie stare angielskie ryciny z lekka iluminowane: na jednej mąż w pełnej zbroi na koniu — skaczący w otchłań ziejącą płomieniami; na drugiej Rzymianin, trzymający w ogniu zaciśniętą prawicę wobec przerażonego króla, to Kurcyusz i Scewola.

Zajęło mnie to wszystko tak bardzo i tak silnie uderzyło moją wyobraźnię, że wnet po przedstawieniu mnie profesorowi, gdy mnie tenże pogłaskał i w czoło ucałował, o moim strachu zapomniałem i przestałem dygotać zębami, a tylko patrzył i patrzył z otwartymi z podziwu usta na śliczne kolorowe obrazki, to na ogromną bibliotekę na półkach, jakiej przedtem nigdy jeszcze nie widziałem. Nie dostrzegłem jednak zrazu w tem zagapieniu największej osobliwości, która się znajdowała na szafie, a która miała nietylko najsilniej podzielać na mój umysł, ale zjednać mi z czasem łaskę pana profesora, a nawet poniekąd wpłynąć na cały kieru-

nek moich wyobrażeń. — Była to pstra figurka z wypalanej gliny, przedstawiająca osobę w zielonej szacie, z ogromnym brzuchem a nogami pod siebie na krzyż założonemi, łysa głowa, wydęte czerwone policzki, usta od ucha do ucha, wisząca dolna warga, wybałuszone szeroko oczy, wyraz głupowato-poważny, a czoło jakby od głębokich myśli zmarszczkami zorane i brwi srogim ściągnięte marsem. Najkomiczniejsze nakoniec były ręce tej figurki, która, nie wiem czy przedstawiać miała Chińczyka, czy jakieś nieznane bożyszcze: wyciągnięte naprzód przed potężnym brzuchem, z palcami zwieszonymi ku ziemi, jakby podane do ucałowania — podobniuteńkie do rąk opasłego naszego organisty przeciskającego się po skończonem nabożeństwie przez tłum dziewcząt i dzieci z kościoła na probostwo, albo do wyciągniętych łapek służącego przy obiedzie Azorka.

Honny soit qui mal y pense. Niech nikogo to porównanie, a raczej zestawienie tak różnorodnych rzeczy nie gorszy. Rzecz najczciwodsza, jak np. tłuste ręce organisty, może być zrzędzeniem niezbadanych wyroków opatrności do najmniej czcigodnych podobną; organiście to nie ubliża.

Dostrzegłszy tę figurkę, o wszystkim innem zapomniałem; do najwyższego stopnia rozciekawiony, oczu już od niej oderwać nie mogłem. Wyraz twarzy poważny i surowy, szeroko rozwarte źrenice, mars na czole, dziwnie kontrastujący z wypiętno-

waną w rysach głupotą i komicznie wydętymi policzkami, szerokimi ustami a wyciągnięte przytem do pocałunku ręce przed olbrzymim brzuchem, powstać niby domagająca się gwałtem czci i uszanowania, a jednak pobudzająca do śmiechu — dziwnie to na mnie podziało. Niby straszne, a niby śmieszne. Nie wiedziałem, czy przeżegnać się przed tem dziwem należy, czy też to tylko lalka do zabawy. „Co to jest? co to jest?“ zadawałem sam sobie to pytanie i byłbym zapytał głośno, lecz nie śmiałem.

Ojciec mój nagadawszy się tymczasem z profesorem, o ile pamiętam, o mojej personie, wyliczwszy mu w głos różne moje wady, co słyszałem, i na ucho różne a większe od wad zalety (co mówiąc między nami także słyszałem), zwrócił nakoniec również uwagę na rozliczne przedmioty, którymi mój przysły mentor przyozdobił swój apartament. Przyszła kolej na glinianą figurkę na szafie.

— Cóż to za bałwan — zapytał ojciec — czy to starożytność jaka egipska czy indyjska?

— Eh, to tylko pseudo — odrzekł profesor od niechcenia.

— Pseudo, pseudo! pochwyciłem chciwie. Takie dziwo nazywa się Pseudo! Ojciec to nazwał bałwanem, a profesor mówi, że to jest Pseudo... Niby straszne, niby śmieszne! To takie pseudo muszą żyć i chodzić po świecie, kiedy je robią z gliny? Nie chciałbym takiego spotkać: śmiać się z niego

nie można, boby zabił albo zjadł żywcem, a jak się tu z jego miny nie śmiać? Pseudo!...

Wyszedł ojciec z pokoju i zostawił mnie sam na sam z profesorem. Zbliżył się do mnie stary, podniósł mnie w górę i posadził potem na kolanach. Odgarnął mi włosy z czoła i patrzył w oczy, jakby chciał z oczu i z czoła wyczytać, czy trud i móżoła, których się podejmował, nie będą nadaremne i stracone na próżno. „Więc ty masz być moim uczniem!” — wyrzekł jakby sam do siebie. „Widzisz chłopcze drogi, miałem ja uczniów niemało; gdyby się wszyscy zeszli, nie zmieściliby się na tym dziedzińcu przed domem. Jedni w twoim wieku, drudzy starsi od ciebie, a wszystkich kochałem jak własne dzieci“.

— I oni mnie kochali — dodał po chwili smutnie. — Oderwano mnie od nich, i teraz mają Niemca... A ja teraz mam ciebie tylko jednego. Pocięszyszże ty mnie po stracie moich dzieci? Wyjdiesz ty na człowieka? Będiesz mi się dobrze uczyć? Powiedzże mi, masz ty ochotę do nauki?

Jak mamę kocham, nie miałem jej wcale — a nie chciałem kłamać przed starym, choć czułem, że wypada. Przemowa jednak starca trafiła mi jakoś do serca i zjednała mnie dla niego. Spojrzałem po rozwieszonych na ścianie obrazkach i pomyślałem: Może też ta nauka nie taka nudna i straszna, jak mi mawiała, wzdychając, moja bona emerytka, stara Tarapacka. Ot, dowiem się cieka-

wych historyjek o tym rycerzu, co skacze na koniu w płomienie i o tym, co rękę w ogniu trzyma — i o tem Pseudo na szafie.

— Mam ochotę! — zawolałem śmiało.

— Czemże ty będziesz? — pytał profesor, śmiejąc się — gdy wyrośniesz, czy żołnierzem, czy księdzem, gospodarzem, urzędnikiem, doktorem, profesorem może, literatem?

— Ja nie wiem jeszcze. Księdzem? nie; ani urzędnikiem, bo urzędnik to Niemiec. Doktorem także nie, bo doktor to żyd. Żołnierzem polskim to pewnie będę jak będzie wojna, tak jak tatko był żołnierzem. A potem to już chyba gospodarzem albo profesorem. Literatem? mama mówi, że ja już teraz literatem.

Trzeba wiedzieć, że nazwała mnie tak matka, gdym przeczytawszy Robinsona i historię o św. Genowefie, po raz drugi zabrał się do czytania Henrysia Eichenfelsa.

— Zostań chłopcze czem zechcesz: gospodarzem, wojskowym, literatem, byle nie pseudo...

— O pseudo nie! nigdy! pseudem nie będę! — zaprotestowałem na cały głos.

— A wieszże ty co to pseudo?

— Wiem. To takie brzuchate dziwo, co siedzi na szafie z założonemi pod siebie nogami i rękę do całowania podaje.

I śmielszy już zapytałem: Czy one zjada ludzi

żywcem, gdy się z niego śmiać? Tarapacka opowiada, że...

— Moje dziecko, żywcem Pseudo ludzi nie zjada, ale gorzej, bo Polskę zjadło..

— A tatko powiada, że Polskę zjedli Niemcy i Moskale...

— Pamiętaj sobie chłopcze, że Pseudo gorsze od Niemca i Moskala. A co to jest Pseudo, to się dowiesz z czasem — ucz się tylko pilnie.

Na tem skończyła się pierwsza moja z profesorem rozmowa, która żywo mi utkwiała w pamięci i na wyobraźnię dziecięcą podziałała. Śniło mi się po nocach tłuste, nadęte, napuszone Pseudo, straszonym na mnie patrzące marsem, borykałem się z nim i mocowałem, ale zawsze Pseudo jak piskorz wysliznęło mi się z rąk i stało tuż nademną z otwartą paszczą i szeroko rozwartymi zrenicami.

W kilkanaście dni potem spadły ogromne śniegi. Radość dla dzieci. I jazda sanna z dzwonkami i co miłsza jeszcze, lepienie bałwanów ze śniegu. W ogródku naszym przed oknami profesora ulepiłem bałwana wyższego ode mnie. Staralem mu się nadać postawę i kształty owego Pseudo siedzącego na szafie. I udało mi się to nadspodziewanie — ku wielkiej admiracyi starej Tarapackiej i całej służby. Zlewałem go z pomocą kucharza gorącą wodą, aby się okrył lodową skorupą i nie stopniał. Lecz zaledwie dzieło kilkogodzinnej pracy

było skończone — nastąpiła reakcja w mojem usposobieniu. Przypomniałem sobie słowa profesora, że „Pseudo gorsze od Niemca i Moskala“ i z dziwną zaciętością zacząłem rzucać na własne dzieło kulami ze śniegu, kamieniami, a wreszcie okładać kijem bałwana. Przypatrywał się tej scenie profesor z swego okna. Wyszedł wreszcie z pokoju i rzekł: „Dopiero budowałeś i już burzysz. Nie szkodaż tyle trudu i pracy — jeśli sam miałeś zniszczyć twe dzieło?“

— Kiedy to Pseudo, panie profesorze! to Pseudo! — zawołałem przekonywująco i z nieprzejednaną nienawiścią rzuciłem się na bałwana, przebijając go drągiem na wylot i siekąc co siły po grzbiecie.

Zaświeciły się radością oczy mego mentora, pochwycił mnie na ręce i z dziwnem uczuciem jakimś ścisnął i całował.

— Przysięgnij mi mój Hanibalku mały, że będziesz tak całe życie nienawidzić wszelkie Pseudo — i zwalczać je zawsze i wszędzie i sieć mieczem i słowem!

— Mieczem i słowem!...

Ilem w życiu dopełnił przyrzeczenia — niech mnie Bóg sędzi. Tych kilka kartek bojujących przeciw dzisiejszym naszym pseudom, poświęcam pamięci nieboszczyka profesora. Pokój jego ceniom. *Sit ei terra levis.*

Dodać winienem jeszcze, że jedną z pierwszych

ofiar wszczepionej mi przez profesora nienawiści do pseudów, padła jego gliniana figurka na szafie. Dostała w łeb kamieniem i pękła przez środek głowy i brzucha. Odtąd Pseudo przestało być dla mnie dotykalną istotą — stało się ideą.

II.

Nowe album niefotograficzne.

Nie jestem fotografem. Nie zbieram albumu fotografii i nie będę je przesuwał przed oczyma czytelnika ku jego zabawie, a smutkowi lub pociesze fotografowanych. Mój szanowny kolega fejletonowy w *Kraju* zastąpił mnie już w tej mierze: kilkom trochę dokuczył, a bardzo wielu pocieszył serdecznie i uradował ich dość pochlebnym konterfektem — acz się do tego przyznać im nie wypada, że się znaleźli piękniejszymi, alias lepszymi, w fotografii niż w własnej o sobie opinii. Tajone zadowolenie zdradzi się jednak czasem mimowoli. Zdarzyło nam się to spostrzedz, lecz na kim? to nasza tajemnica. Nie obawiajcie się pocieszeni, nie zdradzimy jej, pójdzie z nami do grobu.

Już to nie tajno być musi szanownemu fotografowi, iż niektórym z jego albumowych samo ich zamieszczenie w albumie, pomiędzy znakomitościami (sic!) wydało się zaszczytem nielada, prawdziwem ternem wygranem na loteryi. Inni — a to ci wła-

śnie, z którymi fotograf najmniej grzecznie się ob-
szedł — uważali się za zrehabilitowanych wobec
kraju, przyzwoitością i oglądą terminów, których
użył fotograf pisząc o ich przeszłości... Ale bądź
co bądź, każdy przyzna, iż trudność niemała w tem:
pisać prawdę a nie obrazić. Cóż bowiem bardziej
od prawdy obrazić jest w stanie? Otóż czuję, że
tym trudnościom nie umiałbym podoleć; fotografem
nie jestem i osobistości żadnej ani ruszę.

Wróżę zresztą bliski upadek sztuce fotogra-
ficznej. Od czasu jak p. Walery Rzewuski w swoim
atelier na Podwalu nr. 27 lit. B. zaczął robić
fotografie oświecone t. z. Rembrandtowskim świa-
tłem, portrety fotograficzne nie przydają się już
na nic, bo, rzecz dziwna, chociaż podobne, jednak
nie dają wyobrażenia o osobie fotografowanej.
Każda kobieta, nawet najbrzydsza, w tem fanta-
stycznem oświetleniu wydaje się piękną, czarującą,
zachwycającą a już co najmniej wielce interesującą,
a każdy mężczyzna wielkim myślicielem, poetą lub
bohaterem. I cóż mi to za portret, gdzie Tersytes
do Achilla, a panna X. do Safony podobna, gdzie
Stańczyk wygląda jak hetman jaki, a wysznuro-
wana lafirynda jak męczennica chrześcijańska z Ary
Szeferowskiego obrazu.

Precz zatem z fotografią! Przeminięła mania
albumów z wierszami, z autografami, z fotogra-
fiami, albumów z markami listowymi i t. d. i t. d.
Trzeba czegoś nowego, niewidzianego. Nowość sama

jest zaletą, choćby *das Ding an sich* nie wiele było
warte.

Otóż jako taką *haute nouveauté* w rodzaju albu-
mów považam się podać ci szanowny czytelniku
do przeglądania w czasie przygotowań do poobie-
dnej drzemki — rzecz, na którą wyrabiam sobie
wyłączny na czas jakiś przywilej, Album Masek.

Nie są to wzory mód karnawałowych, nowe
kroje szat dla dominów, pierrotów, beduinek, arle-
kinów i t. p., któreby przy najbliższej reducie zu-
żytkować się dały. Bynajmniej. Jest to zbiór masek
najpowszechniej w dzisiejszem naszym krakowsko-
galicyjskiem społeczeństwie używanych, zarówno
w czasie karnawału jak w wielkim poście, w dzień
jasny i w nocy, na wsi i w mieście, na ulicy, w re-
sursie, w kościele, w teatrze, w klubie, na balu
i w domowem zaciszu. Są to maski nie nowe, uży-
wane, często zbrukane już i zużyte, niemniej przeto
noszone pilnie mimo dziur, przez które przegląda
twarz właściciela.

Ileż to razy zdarza się w życiu jak na reducie,
że maseczkę cała już poznała publika, a maseczka
zaciętrzewi się i piszczy i głoś zmienia i mówi to
basem to dyszkantem i intryguje wszystkich w tem
przekonaniu, że jej nikt jeszcze nie poznał. Publika
śmieje się w kułak i drwi i udaje zaciekawioną
wielce, a zaślepiona maseczka (jak to niegdyś mó-
wiono) ciągnie kota, plecie trzy po trzy; chcąc

innym dociać, zdradza własne słabostki i kompromituje się coraz bardziej..

Otóż takie wyszarzane wlepiając do mego albumu maski, zdaje mi się żadnej nie dotknę osobistości i ominę Scyllę i Charybdę; powiem szczerą prawdę nie obwijając jej w bawelnę, nie słodząc miodem gorzkiej pigułki. Nie obrażę nikogo a jednak nie będę dla nikogo grzeczniejszym lub wyrozumialszym niżby należało. Jeżeli zaś kto pozna swoją maskę, którą nosił lub nosi, wszak to tylko maskę pozna, a nie siebie. Przecież pod jedną i tą samą maską nie jedna już mogła pocić się fizyognomia, nie jedne plecy garbate lub bezgarbne mogły się drapować w ten sam płaszcz hiszpański; nie jedna głowa pełna lub pusta mogła dzwonić dzwonkami tej samej czapki błazeńskiej, nie jedna noga z nagniotkami lub bez nagniotków temi samemi mogła dźwiękać ostrogami przy wysokich butach... O niczyich w szczególności nagniotkach, ostrogach, czapce błazeńskiej lub płaszczu hiszpańskim mówić nie mam zamiaru.

Pytasz mnie czytelniku ile kartek w tym moim albumie? Miałbym wiele tych masek, ale czuję, że połowę wyrzucę, aby twego uczucia estetycznego nie obrazić, bo zbyt są brudne i to od strony wewnętrznej, która twarzy właściciela dotyka... zbyt są obrzydliwe.

Rozbijam się teraz tylko w myślach, jak upo-

rządkować to album, wedle jakich kategorii ukłasyfikować ten zbiorek.

Wiadomo, że starożytni aktorowie zarówno Eschyłowskie tragedye jak komedye Arystofana odgrywali w maskach. Muszkuły i nerwy starożytnych nie nadawały się widocznie do zastępowania masek kontorsyami twarzy. Widziałem w jakimś muzeum kompletny zbiór tych starożytnych masek, odwzorowanych wedle rzeźb, fresków i mozaik pompejańskiego wykopaliska. Liczba ich nie wielka. Jedne służyły widocznie do tragicznych ról, inne do komedyi. Główne ich różnice polegały na odmiennym kształcie przetworzonych ust, przez który to otwór wydobywał się jak grzmot potężny głos Edypa lub Prometeja. Są tam usta wąskie a rozwarte podłużnym owalem do wielkiego krzyku przerażenia — jak omikron greckie, są inne z czworogrannym niby otworem lub jak omega szeroko rozdarte po bokach a zwężone w środku z jakimś dzikim wyrazem wściekłości czy rozpacz; inne płaskie kształtu półksiężyca z rogami na dół zwróconymi; inne wreszcie jak półksiężyc z rogami do góry, satyrycznie uśmiechnięte.

Dziś ten wybór masek nie wystarczyłby nawet najgorszemu artyście dramatycznemu na najlichszej prowincjonalnej scenie, a cóż tu dopiero mówić o mistrzowskich artystach popisujących się nie na deskach teatralnych, ale na miejskim bruku, na woskowanych posadzkach salonów, lub na marmu-

rowych płytach kościelnych... Masek dziś potrzeba bez porównania więcej i bez porównania rozmaitszych niż ongi.

Wydawałoby się jednakże mogło, że i dziś podzielić je wypada na maski tragiczne i komiczne. Cóż, kiedy i tu jest ale. Powstał ów rodzaj pośredni, ów „dramat“ nie będący ani komedią ani tragedią, powstała w nowszych czasach owa ulubiona dziś *Comédie serieuse*, a chyba czekać jeszcze, czy nie powstanie wreszcie jaka *tragédie comique* z Offenbachowską muzyką.

Otóż niestety większa część masek naszego zbioru należy do tych dwóch ostatnich kategorii: do komedii na seryo i do komicznej tragedii. Widać, już taki duch czasu. Pseudo-komika i pseudo-tragedya!

Dajmyż więc już chyba tym ostatnim pierwszeństwo, a jak nas zbierze ochota, stasujemy karty albumu — niech los rozstrzygnie w jakim mają następować porządku.

III.

Olojaderos.

Na półwyspie Pyrenejskim nie obowiązuje galicyjska ustawa drogowa z dnia 18 sierpnia 1866 r. Jednakże są i tam złe drogi. Nadto są tam wsie zamieszkałe przez ludzi wielce pobożnych i dbałych o swe duszne zbawienie, lecz ludzi w sprawach ziemskich takiej niesłychanej nieporadności, iż nawet w Galicyi weszli w przysłowie. Mówię o Galicyi prawdziwej, hiszpańskiej, a nie o Pseudo-Galicyi austriackiej.

Gdy na złej drodze pęknie któremu sworzeń, spadnie koło z osi, dyszel się złamie lub nawet tylko urwie się postronek, zamiast zaradzić złemu jakkolwiek tymczasowo, byle do najbliższej dociągnąć osady, zamiast nałożyć koło i utwierdzić je kolkiem drewnianym, związać dyszel złamany, postronek dosztukować, biedne chłopisko biega naokoło wozu, załamując ręce, rwie włosy jak desperat i zawodzi na cały głos: „Oloja! oloja!“

Człowiek rosły, przystojny, silny, barczysty, la-

mentuje tak nad swoim wozem do wieczora — dopóki ktoś przejeżdżający lub idąca drogą kobieta nie pomoże lub nie zakrzyknie przynajmniej: „Ośle — a zwiążże postronki — a nałóżże koło — a jedź!“

Biedny Olojaderos!... Dziwić się jednak nie można. Lud to ciemny, opuszczony, zanedbany, przesądny. Jeżeliby jednak ktoś z ludzi jako tako wykształconych — i to nie w pyrenejskiej ale w podkarpackiej Galicyi — lamentował tak przy każdym niepowodzeniu i nad każdą rzeczą, a ręk dla zaradzenia złemu nie przyłożył: to już chyba choroba, którą przez wzgląd przyzwoitości nazwać się nie ośmielę, albo coś gorszego od choroby — bo udanie.

— I któżby udawał Olojadera, gdyby nim nie był? i w jakim celu?

Nikt, zapewne, w sprawach osobistych i czysto prywatnej natury, nie narażałby się przy niepowodzeniu na dalszą stratę fingowaniem nieporadności. Inna rzecz w sprawach publicznych.

Tam nieporadność desperacka nie nie kosztuje, owszem uwalnia od pracy i ochrania przed posądzeniem, że Olojaderos z braku poczucia i miłości kraju od spraw publicznych się usuwa. Jakżeby go zaś o to posądzać! Wszak on kocha tę sprawę, bo lamentuje nad nią tak serdecznie! Nie widzi możności służenia jej na drogach, które stoją otworem i srodze boleje nad tem. Może się myli, może jest zanadto pesymistą; ale to złote, burszty-

nowe serce, to gorący patriota! — Wstąpi kiedyś nadzieja w tę zwątpiałą zrozpaczoną duszę. Daj nam tylko Boże więcej takich ludzi!

A ja powiadam: nie daj Boże takich! Niema czasów tak nieużytych, stosunków tak fatalnych, w którychby jeśli nie na tej to na owej drodze służyć nie można krajowi i pocziwej sprawie. — Olojaderos nigdy jej nie służy — wiecznie nad nią lamentuje. Posłuchajcie:

Poznałem pana Telesfora w roku 1863. — Wypadek zrzucił żem wkrótce potem zjechał do niego na wieś. Było to koło południa. Ledwo wszedłem wniesiono na srebrnej tacy gdańską złotówkę i suto zastawioną przekąskę, kawior, sardynki, salcesony, pasztet sztrasburski, konfitury, sorbety, na koniec wyborne Sherry i prawdziwe Regalia. Pan Telosfor jadł i pił za trzech, a nie dziw, bo i tusza po temu i twarz jak rydz, a żołądek *non plus ultra*.

Gdy służący odszedł i zostaliśmy sami — spojrzę na mego gospodarza i... osłupiałem. — Nie mogłem pojąć w pierwszej chwili czy to nagły atak newralgii lub *tic douloureux*, czy też dla facecyi ruchoma jakaś maska na twarz włożona. Załzawione wypukłe źrenice, żałośnie przekrzywione tłuste policzki, czoło pofałdowane jak zawój turecki.

— Okropność! okropność! — zachrypiał, rozpaczliwie załamując ręce — tyle krwi! tyle ofiar! tyle poświęcenia... a wszystko daremne! Daremne! —

powtórzył tragicznie. — Ci biali, to widocznie zdradzają sprawę! Uchwycili ster, aby sprowadzić rzecz do rozmiarów lichej a kosztownej demonstracji! Ci czerwoni — to szaleńcy bez sumienia, dla dogodzenia własnej fantazyi cały byt nasz, całą przyszłość chcą stawić na kartę!... Okropność! Oddałbym całe moje mienie, oddałbym życie, sto i tysiąc razy, byłę zatamować tę szlachetną krew co płynie, albo przeważyć na szali, na której nie ma dla nas dotąd najmniejszej szansy. Kierunku niema, ładu niema, klótnie haniebne, brak poświęcenia, brak poczucia obowiązku...

— Ot, daj pan z tysiąc guldenów na karabiny — przerwałem panu Telesforowi. — No, choć ze sto! — zniżyłem moje żądanie.

— Nie, nigdy! — zawołał pan Telesfor, powstając i podnosząc ręce ku niebu. — Bóg świadkiem, nie chcę aby ani kropla tej lekkomyślnie zmarnowanej krwi naszych synów na sumieniu mojem ciążyła! Pędzejbym wyrzucił przez okno majątek moich dzieci, zanimbym choć jeden kupił karabin powstańczy. Każdy karabin kupiony, to jedno dziecko polskie pełne zapału i miłości ojczyzny oddane na łup Moskałom i na niechybną zgubę!

Odpowiedziałem na górnolotne frazesy panu Telesforowi... milczeniem.

Snadź nie zrozumiał pan Telesfor mego milczenia, bo nie przerwał dytyrambu swego.

— Tak — rzekł — nie wolno się ludzi! Trzeba

prawdzie śmiało spojrzeć w oczy! Trzeba mieć odwagę cywilną, by ją wypowiedzieć jasno i otwarcie!... Nie pojmuję takich tchórzów politycznych jak np. mój sąsiad pan Hieronim, który nie wierzy w zwycięstwo, a ulega opinii publicznej i czyni ofiary nad możność: tchórzostwo albo próżność! Ale stokroć bardziej oburzają mnie ci, którzy przekonani o możliwości powodzenia, nie wyzują się z ostatniego grosza, nie ogołocą do ostatniej nitki dla świętej sprawy! Takież to patryotyzm? takież to miłość ojczyzny? takież to gotowość do poświęceń? To nie Polacy — to pseudo-Polacy. O Boże, jakież to małoduszność! jaki upadek ducha narodowego!... To straszne zaiste! Ja gdybym wierzył, oddałbym wszystko z rozkoszą, oddałbym ostatnią parę butów i bez butów strzelba na plecy i w las!...

— Ale niestety nie wierzysz pan!... — zauważyłem.

— Niestety! — powtórzył tragicznie pan Telesfor.

Dano do stołu. Obiad był wyborowy. Pan Telesfor skończony gastronom, pani Telesforowa gospodyni jakich mało.

Po obiedzie, przy czarnej kawie mój gospodarz dalsze począł wywodzić jeremiady nad losem ojczyzny. Ckliwo mi już było. Na szczęście wywołano pana Telesfora w jakimś interesie z pokoju. Pani Telesforowa, korzystając z chwili, w której byliśmy sami, przysunęła się do mnie coperędzej i wcisnęła mi w rękę jakiś pakiecik.

— Bierz pan — rzekła — i schowaj prędko, żeby mąż nie widział.

— Cóż to jest?

— Dwa sznurki pereł i bransoleta złota, to na proch czy na kule, na co tam potrzeba.

— Bóg zapłać! składam pani dzięki w imieniu...

— Za co panie? Ja to czynię dla moich dzieci, bo ja wiem, że jeśli teraz szala się nie przeważy, to na nich kiedyś przyjdzie kolej ginąć po lasach albo w więzieniu... Powiedzże pan szczerze czy jest nadzieja?

— Nie wiele pani.

— I czemużecie zaczęli jeśli nie był czas jeszcze?

— Nie my zaczęli. Wulkan, jeśli nie zastygł w swem wnętrzu na wieki, musi od czasu do czasu buchać płomieniami. To konieczność. Tak samo i naród, który nie zamarł na zawsze w niewoli... a temu nie przeszkodziłby i sam Kościuszko, gdyby wstał z grobu..

— A godziż się popierać ruch, jeśli beznadziejny?

— Cały kraj w płomieniu — nie szczędzi krwi i grosza; godziż się przypatrywać z założonemi rękoma?...

— Nie, nie, ale nie sądz pan, aby mój mąż był złym patriotą. On kocha Polskę całą duszą. Ja żona, ja wiem najlepiej. Ale on wierzy tylko w skuteczność pracy organicznej. Pan pewnie jesteś uprzedzony przeciw niemu. Ja to widzę, bo

pan nie nie mówisz. Ale pan się przekonasz, jak przyjdą inne czasy...

* * *

...Otóż przyszły te inne czasy, czasy tak zwanych prac organicznych. I aż do tych czasów nie widziałem pana Telesfora. W pięć lat później dopiero, bo w r. 1868, jadąc do krewnych, wstąpiłem do niego. Po drodze mi było.

— A no! — rzekł, jak ongi przed pięciu laty, obcierając usta po smacznem śniadanku — cóż mówisz kochany panie? Co za czasy! w leb sobie chyba palnąć! Mamy autonomię... Boże zlituj się! Toż to ma być samorząd? Wszak to bezrząd najkompletniejszy!... Te rady gminne, te rady powiatowe, ten dualizm władz: wszak to najczystsza parodia *selfgovernmentu*! Okropność!

— Zapewne — odrzekłem — źle jest, ale gorzej bywało. Przyznaj pan nawet, że odkąd Galicya zwie się Galicyą, nie mieliśmy nigdy stosunków tak sprzyjających pracy na każdym polu narodowego i społecznego życia, jak je mamy obecnie. Ciasny ten nasz fraczek autonomiczny, to prawda. Ale nawet i w nim swobodniej ruszać się można niż w dawniejszych dybach z zakneblowanemi usty. W tym ciasnym fraczku ileby się to zrobić dało, gdyby tylko więcej chęci, więcej wytrwałości, więcej poczucia obywatelskich obowiązków!

— Święta prawda! święta prawda! — zawołał pan Telesfor, z zapalem obejmując mnie w ramiona i całując w oba policzki, znać zdawało mu się, że puścił wodę na jego młyn lub na jego kazanie zadzwonił. — Jakbyś mi z ust wyjął! Okropność! Ten brak poświęcenia! ten brak ducha obywatelskiego! ta apatya powszechna! ta obojętność dla najważniejszych spraw krajowych, dla żywotnych kwestyi! Rozprawia szlachta, gdy się zjedzie, rozprawia długo i szeroko o miłości ojczyzny, a gdy przyjdzie stwierdzić te deklamacje czynem, każdy się usuwa, siedzie na swojej grzędzie, kopie kartofle i nie chce wiedzieć o niczem! To są Pseudo-Polacy! Tu serce pęka! Ot np. te wydziały powiatowe: ileżby się tu dało zrobić przy jakiej takiej wytrwałości! Ale cóż? Drą się przy wyborach o te liche dygnitarstwa powiatowe, a potem na posiedzeniach wydziału rzadko kiedy komplet się zbierze. Rumienić się trzeba!

— Przecież tak nie wszędzie — zauważyłem.

— Może są szczęśliwsze powiaty w kraju, ale tu u nas wstyd i hańba! a przytem jakie niedołęstwo! jaki brak elementarnych wiadomości! jaka nieznajomość ustaw! jakie dzikie wyobrażenia!

— Pan jesteś członkiem wydziału powiatowego? — zapytałem.

— Ja? broń Boże! Chciano mnie wybrać prezesem. Nie przyjąłem. Niepodobna z takimi współpracownikami! To na nic, słowo ci daję, na nic!

To czas stracony, zmarnowany bezowocnie, drogi czas, który przecież nie do nas należy, ale do kraju...

— Ale pan, który skończyłeś prawo, który tak wybornie znasz ustawy i stosunki nasze, przecież...

— Ależ mój drogi! powiadam ci: na nic! słowo honoru ci daję, na nicby się to nieprzydało! Z rozkoszą pracowałbym jak w ól (nieestetyczne to wyrażenie pada wyłącznie na karb pana Telesfora), nie spałbym i nie jadł, oderwałbym się od rodzinnych obowiązków, zaniedbał własne interesa i gospodarstwo, ponosił znaczne koszty jakie to urzędowanie za sobą pociąga — ale to na nic! to wszystko na nic!... Wierzaj mi, trzeźwo przyglądnąwszy się stosunkom naszym, to rozpacz bierze... to zwaryować można! Rób co chcesz, za trzech, za dziesięciu, a wszystko na nic! na nic!...

I rozpacznym ruchem schował pan Telesfor rumianą twarz w obie dłonie. — Na nic!... na nic!... — powtarzał cichym głosem w tej malowniczej pozaturze.

Głuche nastąpiło milczenie, uroczyste.

Chcąc zwrócić rozmowę na inne przedmioty, zacząłem mówić o naszych towarzystwach gospodarczych i o zamierzonym zakładaniu filii. Dowodził mi pan Telesfor, że towarzystwa centralne bez filii są na nic, a filia (do której zawiązania w swoim powiecie był zaproszony) również na nic z powodu obojętności współobywateli, obarczonych zresztą innymi zajęciami. Dalej zawiązała się rozmowa

o innych naszych stowarzyszeniach. Wszystkie, któreby w najdalszych konsekwencyach wymagały jakiejś znaczniejszej ofiary czasu lub grosza ze strony pana Telesfora, były na nic. Powód zawsze się znalazł. Jednemu towarzystwu wzajemnych ubezpieczeń nie odmówił mój gospodarz swego uznania, jednak i tu instytucja delegatów była na nic. Nakoniec zgadało się o towarzystwie przyjaciół oświaty ludu, które od członków niewielkich wymaga ofiar, bo obowiązkowo tylko jednego guldena rocznie, nie kładąc tamy ofiarności obywateli. Pan Telesfor wpadł w prawdziwe zachwycenie:

— Piękny to, śliczny, cudowny pomysł! Z tego grosza wdowiego, z tych drobnych datków zbierać fundusz, którymby rozbić się dał ten mur chiński, nie pozwalający nam iść naprzód: ciemnota ludu wiejskiego. Ale to poetyczne mrzonki! Nie czas nam drukować i rozpowszechniać ludowe dziełka, zakładać biblioteczki; nam trzeba przedewszystkiem szkółek. Póki szkółek nie mamy...

— Ale tu w miejsu jest szkołka? — zaga-dnałem.

— Niestety niema! Nie uwierzysz, jak boleję nad tem. Gmina nie uznaje potrzeby oświaty. Dar-emnie proboszcz tutejszy stara się ją nakłonić do udotowania szkoły, wszystkie jego usiłowania roz-bijają się o niezwalczony upór. Moja żona nama-wia mnie, aby udotować szkołę; chciałem sam, ale zastanowiwszy się na zimno, przyszedłem do prze-

konania, że toby było bezowocną ofiarą, bo dopóki gmina nie uzna potrzeby oświaty, dopóty nie będzie posyłać dzieci do szkoły, choćby ją miała za darmo. Owszem, zaczęłaby podejrzывать mnie, że w tej fundacyi miałem osobisty jakiś interes... Aa! nie, byłoby to zbytnią gorliwością zgubić sprawę...

— A zresztą — dodałem — czasy tak ciężkie, a obywatelskie obowiązki wymagają tylu ofiar, a ta autonomia, a te zjazdy, te sejmiki, a te dzienniki i ta literatura, a te składki nieustanne, a emigra-cya, a Sybiracy, a inwalidzi z r. 1863, a te towa-rzystwa bez liku.

— Prawda, prawda! — wtórzył mi pan Telesfor i przechylając się ku mnie, dodał na ucho: — A prze-cież trzeba uciulać trochę grosza, aby kiedyś starczyło... na karabiny!...

Dano do stołu. Obiadek był wyborny.

* * *

Nie złamałem danego przyrzeczenia. Nie dotkną-łem żadnej osobistości, która by się obrazić mogła. Scena z panem Telesforem jest prawdziwą co do słowa — ale pan Telesfor nie obrazi się — bo już nie żyje.

— Kiedy umarł?

— Ot kiedyś.

Ale natomiast żyje w Galicyi siedmdziesięciu czterech rodzonych braci pana Telesfora. — W każdym

powiecie jest jeden w przecięciu, a jeśli są powiaty, w których żaden Olojaderos nie zamieszkał, to są za to inne, w których bywa ich pięciu. Różnica między nimi a nieboszczykiem Telesforem na tem polega, iż desperackie maski tych Olojaderosów nie są tak karykaturalne, jak nią była skutkiem zużycia maska nieboszczyka, którą do mego albumu wlepiłem po śmierci właściciela. Skutkiem tej różnicy maski owe zwodzą jeszcze naiwnych ludzi — a maska nieboszczyka nikogo już w końcu zwieść nie mogła.

Znam w kraju Olojaderosy innego jeszcze gatunku. Nieboszczyk pan Telesfor maski swej olojaderskiej nigdy nie zrzucił. Inni wdziwiają ją tylko przy nadzwyczajnych okolicznościach — gdy wypada szukać powodu usunięcia się od obowiązku, który im bądź to głos publiczny, bądź własne nakłada sumienie. Z niechęcią przywdziwiają oni swoją maskę, unikają sposobności, któreby ich do tego zmuszała. Inaczej pan Telesfor. Czy głos głuszonego sumienia, czy Nemezis jakaś niepohamowana kusila go żądzą rozpoczynania rozmowy o sprawach, w których przywdzianie maski było dla niego koniecznością. Pocił on się w niej w dzień powszedni i w święto, w mieście i na wsi, na zjeździe sąsiedzkim i w własnym domu, wobec własnej żony i dzieci. Jadł przy tej desperacji jednak z apetytem, pił, palił tytoń, spał i trawił, wogóle wszelkie funkcyje zdrowego człowieka

odbywał zdrowo i jak Bóg przykazał. Przy śniadankach i obiadkach był zwykle najnaturalniejszym. Maską znikającą w tych chwilach. Podnosił ją może jak przyłbicę do góry. Dość, że miał ją zawsze gdzieś na podorędziu, bo gdy potrzeba tego wymagała, jawiła się ona nagle na jego rumianej twarzy nawet między dwoma kawałkami *boeuf-a-la-mode*, z których jeden był już w ustach, a drugi na widelcu, lub między dwoma łykami madery bez odsunięcia od ust kieliszka.

Mistrzów takich, jak on, niewieluby się znalazło. Toż dlatego wybrałem jego maskę, a nie czyją inną do mego albumu. Nie uczyniłem tego bynajmniej z powodu, iż to maska jaśnie wielmożna. Znam bowiem sławetne maseczki bez koron, których właściciele mogliby śmiało iść o lepszą z maskami Olojaderosów o pięciu, siedmiu i dziewięciu pałeczkach.. Ot, że nie będę szukać dalej, jak... ależ prawda, przyrzekłem, że osobistości żadnej nie dotknę.

Od tej przyjętej zasady wolno mi jednak, jak sądzę, odstąpić w takim wypadku, w którym wymienionej, jeżeli nie po nazwisku, to choć po drugiem lub trzecim imieniu chrzestnem osoby, wzmianką moją nie obrażę.

Otóż po długoletniej przyjaźni, która nas wiąże, roszczę sobie prawo wspomnieć o tobie kochany panie Salezy, a co więcej, zaliczyć cię między Olojaderosów.

Któżby nie uznał licznych twoich zasług, któżby nie uchylił czoła przed tyloma dowołami prawdziwie obywatelskiego ducha, który ci w okolicy twojej powszechny zjednał szacunek. A jednak, któż na tym padole jest bez *ale*. Masz i ty swoje „*ale*“ szanowny panie Salezy.

Zwolennik prostych dróg, cichej pracy, masz wstręt nieprzewyciężony do sąsiedzkich zjazdów, do wyborczych agitacji, do przedwyborczych narad, a szczególnie do mówek przedwyborczych. Mów, co chcesz, a ja ci powiem, że wiesz o tem dobrze, ile przy tych zjazdach, naradach, agitacjach, wpływem twoim mógłbyś nieraz zaważyć na szali. Do pokątnej agitacji i zabiegów za tym lub owym kandydatem nikt cię nie nakłoni; trudno cię namówić abyś pojechał na zgromadzenie, a jeszcze trudniej abyś przemówił, choć ci nie brak wymowy. Tłómaczysz się i wykręcasz, jak możesz, a wszystko kończy się zawsze na tem: że „to się na nic nie zda.. jak ma się stać, tak się stanie... tak ze mną, jak beze mnie“. A to się tłómaczy na hiszpańskie: *Oloja! oloja!*

Przekonałeś się już nieraz w życiu, że tak nie jest, że inaczej idą rzeczy z tobą jak bez ciebie, że twój współudział i twoje przemówienie rozstrzyga częstokroć w stanowczej chwili — a jednak trwasz upornie przy swoim i nie wywierasz takiego wpływu — jakibyś mógł i powinien wywierać.

Popraw się panie Salezy, popraw. Patrz, już

czernią po dziennikach i to nie między inseratami, ale w felietonie!

Mógłbym tu wspomnieć jeszcze o pewnym wielce szanownym posle krajowym, który przy pewnych nader ważnych sprawach, z którymi najlepiej może w sejmie obznajomiony, poprawia się ciągle w siedzeniu — i zabiera do proszenia o głos, a nie mogąc się zdecydować na ten krok tak śmiały, w końcu powiada sobie: *E, toby się na nic nie zdało! Muru głową nie przebiję. I milczy. A później odżałować nie może, że milczał, a później jeszcze przy następnej sposobności robi tak samo i znowu żałuje. Gdy mu jednak wyrzuty czynią przyjaciele, czemu milczał, odpowiada: Na nicby się nie było przydało! przy tym składzie sejmu. — Oloja! oloja!*

Mógłbym podobną opowiedzieć historyjkę o pewnym wielce szanownym radnym pewnego starożytnego miasta... ale boję się, aby go nie poznano. Że się sam już poznał, czytając te słowa, to więc jak pewna.

Siedmdziesięciu i czterech znam młodych, światłych i postępowych ludzi, ożywionych najlepszymi chęciami dla kraju, żywo interesujących się rozwojem naszych autonomicznych instytucji, dokładnie obznajomionych ze stosunkami i biegiem spraw gminnych, szkolnych, gospodarczych, powiatowych w powiatach, w których zamieszkują — trzeba wiedzieć, że każdy z nich mieszka w innym po-

wiecie naszej prowincyi. Znam ich 74, a nie wątpię, że ich jest przynajmniej pięć razy tyle. Ołóż ci wszyscy młodzi ludzie uznają znakomitą korzyść — jakaby przyniosło regularne przesyłanie korespondencyi i sprawozdań o naszym samorządzie z wszystkich okolic kraju, do którego z naszych dzienników. A jednak żaden z nich nie da przykładu, nie zabierze się do pisania tych korespondencyi. — Z sześciu naszych dzienników politycznych żaden ich nie posiada. „Gdyby ze wszystkich stron kraju wysyłano takie sprawozdania — to co innego ale pisać o tym moim biednym kacie? Na co się to przyda? — Szkoda czasu. Daremny trud i mozoły! Przy tej apatyi wszystko na nic. Nie rozruszam kraju mojem pisaniem!“

— Daremny trud i mozoły! — tak wołał ów szpak historyczny darowany przez jakiegoś szewca królowi Stanisławowi Augustowi.

Moi Panowie — nie powtarzajcie pacierza za szpakiem. A nie wołajcie: „Ołoj! Ołoj!“ ale bierzcie się do pracy.

IV.

Chudzi, chorzy i skromni.

Pamiętam, było to w roku głodu..., w zimie, w czasie karnawału. W mieście bawiono się dobrze. Nie zapomniano przytem i o głodnych: tańczono na ich korzyść. Zysk czysty z balu, po odtrąceniu kosztów, wynosił wprawdzie ledwie pięćdziesiątą część tego, ile wydano na stroje tego wieczora, ale wszakże na tamtym świecie nie wedle rezultatu usiłowań naszych, lecz wedle intencji sądzić nas będą. Głodni nie zostali nasyceni, ale tańczący wyrobili sobie, w własnem przynajmniej wyobrażeniu, przepustkę czy kartkę legitymacyjną do przybytku wieczystej nagrody.

Reduty, jak zwykle, pierwsza i druga były puste, lecz za to późniejsze więcej ożywione niż w innych latach. Przyszło komuś na myśl... wiem nawet komu, lecz powiedzieć nie mogę, dość, że komuś przyszedł na myśl koncept wcale niezły, a szanowny czytelnik domysli się łatwo, gdy opowiem o koncepcie, że twórcą jego musiał być człowiek

młody — bo takie koncepta zwykle młodym tylko ludziom na myśl przychodzą

I otóż kazał ów ktoś zrobić maskę przedstawiającą twarz okropnie wychudłą, wynędzniałą, wycieńczoną biedą i głodem. Maską zrobioną była wybornie. Zapadłe głęboko i podsiniałe oczy, pożółkła cera, skóra w strasznych fałdach, jak obszerny worek wisząca na sterczących kościach twarzy. W tej tedy masce i udrapowany w płócienny, obcisły łachman, pełen dziur i łat, zamierzył ów młodzian udać się na redutę i wyciągając żebraczą rękę przed wystrojonemi maskami, przejmować je mimowolnym dreszczem i zgrozą, psując im zabawę a naprawiając serduszka, niedość może pamiętające o głodnej braci umierającej w straszliwej nędzy pod wiejskim płotem.

Bądź co bądź, myśl była piękna — szło tylko o to, aby ją dobrze wykonać. Otóż wykonaniu tej myśli stanęła na przeszkodzie nieprzewidywana trudność. Była nią niezwykła w tak młodym wieku tusza naszego apostoła. Gdy na reducie wyciągnął z żebraczym gestem swoją tłusciutką, pulchniutką rękę, gdy spojrzano na jego krągłą peryferyę, która przy dość niskim wzroście, tem więcej zwracała uwagę, a której kształty w obcisłych łachmanach tem bardziej się uwydatniały, maseczka jedna i druga, zamiast zadrzeć od stóp do głów przerażeniem i zgrozą i stracić humor na cały wieczór, zachichotały, jakby coś najweselszego nawinęło im się

przed oczy. Zdziwił się nasz apostoł i przypisując ten uśmiech niewczesny zupełnemu brakowi serca owych masek, szedł dalej z wiarą i nadzieją, że ogół go pojmie i zrozumie. Lecz tu czem dalej — tem gorzej. Już całe grono masek śmiejących w około niego. Jeszcze młodzian nie domyśliłby się powodu tej wesołości, gdyby mu ktoś życzliwy nie był powtórzył owych historycznych słów pierwszego konsula Bonapartego, wyrzeczonych do otyłej przekupki na targowicy paryskiej: „Za tłusty jesteś, abyś grał rolę głodnego“. — Uciekł tedy czempredzej z reduty. Było jednakże już zapóźno. Poznano go i do końca karnawału żartowano sobie z apostoła.

Zarzekł się pocziwy tłuscioszek, że póki życia nie będzie udawał chudego.

Lekcja skutkowała w tym wypadku. W tysiącu innych nie skutkuje. Śmieją się w około z tłusciochów, którym zachce się udawać chudych — oni niewyleczeni sądzą, iż winą ich jedyną, że źle odgrywali rolę i siłą się, aby jeszcze chudszych udawać. Nadaremnie!

Znacie pana Baltazara. Nie znacie? To nie żalujcie. Żalujcie tylko, że nie jest bezdzietnym i waszym stryjaszkiem do tego.

Nie myślę bynajmniej pisać o panu Baltazarze, unikając skrupulatnie wszelkich osobistych zaczeppek. Chcę tylko zrobić zaszczytną wzmiankę o jego

workach. O tych workach wiedzą jego sąsiedzi, jak na nich pan Baltazar siedzi.

Worek pana Baltazara, krągluteńki jak kawon, wstydzi się swej otyłości jakby młoda mężatka, sznuruje się jak może i chciałby zawsze udawać chudego. Cóż, kiedy to się nie udaje, bo wszyscy widzą i wiedzą, że jest potężnej tuszy.

Worek pana Baltazara jest z natury milczącym, jeżeli jednak idzie o osobisty jaki interes lub przyjemność pana Baltazara, wtedy nigdy słów nie szczędzi; a gdy otworzy usteczka, sypią się z nich dzweczne słówka, brzmiące najczystszy holenderskim akcentem. Jeśli zaś mowa o innych ludziach lub np. o potrzebie kraju, o literaturze, o konieczności poparcia materyalnego tej lub owej instytucji, o jakiej składce na cel publiczny i t. p., wtedy worek pana Baltazara milczy zawzięcie, a jeśli kiedy przemówił w takiej okoliczności, to w bardzo skąpych wyrazach. Pan Baltazar zaś czuje się w obowiązku usprawiedliwić jego milczenie tem, iż mówić mu nie wolno, bo ma suchoty. Biedny woreczek niby się miał przeziębic przy jakiejś tam sposobności i od tego czasu choruje nieustannie i ogromnie wychudł i zeschuplał. Złe, bardzo złe czasy nastały dla niego. Nie ma się nawet czem pożywić i podpaść. Pszenica wybujała w słomę, a w każdym ździebélku siedzi nieszczęsny chlorops; żyto także nikłe, rzepak muszki zjadły, kartofle się nie urodziły. I na czemże się tu utuczyć?

Eh, ktoby tam temu wierzył! Facecye, mój woreczku, facecye! służy ci zdrowie jak mało komu, a tyjesz w naszych oczach. Zdarzyło ci się wprawdzie już kilka razy w życiu, żeś nagle tak spadł z ciała, iż nawet stać już prosto nie mogłeś, ale ostatecznie posłużyło ci to na zdrowie i później w dwójnasób utyleś. Było to wtedy, gdy pan Baltazar do dziedzicznego Baltazarowa dokupił naprzód Malchrówkę, a później Kasperowice. Po dokonaniem kupnie Malchrówki pan Baltazar, który cię zwykle nie lubi pokazywać, prezentował twoją wychudłą postać całemu światu przy każdej sposobności, gdy kto tylko do ciebie wystosował odezwę. „Suchotnik! suchotnik!“ powtarzał pan Baltazar. I byli ludzie dość naiwni, którzy uwierzyli, zaprzestano nawet pytać o ciebie, a pan Baltazar pielęgnował cię w małym domku. *maison de santé*, kupionym od Wertheima i spółki.

W kilka lat później począł pan Baltazar traktować interes o kupno Kasperowic. Woreczek wyszedł ze szpitala i pokazało się, że tusza jego nie tylko wróciła do dawniejszej objętości ale owszem do niezwykłych doszła rozmiarów. Kupno Kasperowic przyszło do skutku i znów nagle biedny woreczek spadł z ciała, a pan Baltazar użala się od tego czasu, że pupil ukochany ma suchoty... Poczekajmy jeszcze ze dwa lata. Cierpliwości tylko. Pupil wyzdrowieje mimo chloropsu w pszenicy i muszek na rzepaku, wiem nawet z wszelką pe-

wnością, że już utył niepospolicie. Niech mu to będzie na zdrowie. I owszem, życzę mu jak najlepiej. Nie myślę nawet ciskać na niego kamieniem potępienia za jego małowówność w sprawach narodowych i obywatelskich; różne są bowiem usposobienia, smać taka już jego natura. Mam mu tylko za złe, że będąc zdrowym i dobrej tuszy, udaje chorego i o suchotach prawi.

Wykręcanie się od obowiązków wobec kraju i społeczeństwa tak wierutnem kłamstwem, to więcej niż śmieszność... A niestety zły przykład zawsze znajdzie naśladowców. Powołują się na ciebie woreczku pana Baltazara, a nieśmianoby się powoływać, gdybyś wręcz odmawiał nie mówiąc o suchotach.

* * *

„Nie każdemu dał Pan Bóg urodzić się puha-czem“ mówi przysłowie. A ja powiem: nie każdemu dał Pan Bóg mieć Baltazarów, Malchrówkę i Kasperowice, siedzieć na okrągłym woreczku, a co więcej, mieć w własnym domu zgrabniutką kapliczkę wertheimowską, pełną obligacyi i listów zastawnych. Ci, którzy tego nie mają, mogą mieć jednakowoż inne jeszcze dary boże, których nie spali ogień, nie zabierze woda. Mogą mieć naukę, zdolności, czas wolny, czerstwe zdrowie.

Iluz między nami takich, którzy tają się z tem,

co wiedzą i umieją, aby nie być powołanymi do pracy *pro publico bono*? Udają chudych.

Iluz między nami takich, którzy powoływani do podjęcia się jakiegoś obywatelskiego obowiązku, powtarzają: nie potrafię! choć wiedzą o tem bardzo dobrze, że przy dobrej woli potrafią lepiej od innych. — Udają chudych.

Iluz między nami takich, którzy usuwają się od pracy dla dobra powszechnego pod pozorem licznych obowiązkowych zajęć i braku czasu. „Nie wydołam!“ a jednak na polowania i wizyty, na kawiarniane pogawędki i preferansa do północy czasu im nie braknie. — Udają chudych.

Iluz między nami takich, którzy niby to niedomagają na zdrowiu, a czerstwi i rumiani, jedzą i piją wybornie, niejedną noc przetańczą, nie jeden dzień przepolują o dwudziestu kilku stopniach mrozu, lecz na sesję wydziału powiatowego przyjeżdżają ledwo raz na miesiąc; jako delegaci objeżdżają okolicę ledwie raz na rok i t. p., a zawsze na ustach szkolna wymówka: boli brzuszek, boli główka. O moi panowie, powiedzcie raczej prawdę, że nie dbacie wcale o dopełnienie obowiązków, którychście się podjęli, a nie udawajcie chorych!

Szanowne panie, najłaskawsze czytelniczki! nie sądzicie, abym i dla was nie miał miejsca w moim

albumie. Wy wiecie, że wam tu właśnie miejsce się należy, gdy mowa o udawaniu chorowitości, delikatnego zdrowia, rozdrażnionego systemu nerwowego. Od iluż to przykrych i nudnych obowiązków uwolnić się można, wmawiając w ludzi i w siebie samą, że słabe siły nie wystarczą, wątłe zdrowie nie pozwala, drażliwe nerwy niemożliwym czynią to lub owo, co by się powinno, ale czego się nie chce... Nieprawdaż?

O niejednem mówi się także: „nie umiem, nie potrafię“ i t. p., a potrafiloby się, gdyby się chciało szczerze i serdecznie.

Niekiedy mówi się: „czas nie starczy“, a wystarczyłoby niezawodnie, gdyby mu się kazało stanowczo, jak królowej przystoi.

Czasem mówi się wreszcie rzecz gorszą od poprzednich: „nie wypada“, a powiedziałoby się: „należy...“ gdyby.. gdyby się więcej kochało... Wszak wiecie moje panie, że gdy się coś ukocha całą duszą, to wtedy naprzód wymazuje się z słownika ten bezduszny wyraz: nie wypada...

V.

Jeszcze chudzi. — Skromni.

W języku myśliwskim nogi zajęcze nazywają się skokami, uszy słuchami, oczy to ślepie, a całe indywiduum zajęczego rodzaju zwie się kotem, szarakiem lub kopera. O tem wiecie. Lecz niewiecie może o tem, że dobrze wypasiony, tłusty zając nazywa się „skromnym“.

Wbrew terminologii myśliwskiej zmuszony jestem w mej Pseudografii do jednej i tej samej zaliczyć kategorii skromnych i chudych. — Wedle mojej definicji zwie się „skromnym“ czleczyzna udający chudego w tym celu, aby się wydał tłuszcieszym niż nim jest rzeczywiście.

Miedzy skromnymi a innymi pseudo-chudymi kardynalna zachodzi różnica. Ci ostatni udają chudych i chorych w tym celu aby się uwolnić od ciężącego na nich obowiązku, wykręcić od trudu i pracy, od ofiary czasu lub grosza. Przeciwnie skromni używają swojej maski i swoich fortelów na to jedynie, aby dać ludziom

poznać własną wartość, wielkość ofiary jaką ponieść mają, wreszcie cały ciężar obowiązku, którego się ostatecznie po długich parlamentowaniach, namowach, prośbach i zakłękach podejmą, wyćiskani i wycalowani przez całe zgromadzenie.

* * *

Imieniny pana Bonawentury w Podchmiłowce, obchodzą się 14 lipca każdego roku, przy licznym udziale całego sąsiedztwa w sposób mało gdzie już praktykowany, prawdziwie szczeropolski. Francuskiego barszczyku tam nie znajdziesz ani na lekarstwo — bezbożny szampan tam nie strzela korkami do czerwonej lampki przed obrazem Matki Boskiej Począjowskiej, wiszącym w jadalnej sali (jak się to stało gdzieindziej) — nie masz tam nic prócz węgryna. Węgryn... ale gdybyście wiedzieli jaki!

Otóż na imieninach u pocziwego pana Bonawentury, powtarzają się od lat kilkunastu co roku 14 lipca o jednej i tej samej godzinie pewne ceregiele, przedstawiające w żywym obrazie jak to mądrze i praktycznie być „skromnym“.

Pan Zeno, który ma tęgą do węgryna głowę, wychyla duszkiem zdrowie po zdrowiu. Przy każdym ociaga się i skarży, że „będzie za wiele“, ale żadnego nie opuści a bywa ich szereg istotnie niemały. Po zdrowiu solenizanta z familijnego puharu,

świecącego rodowym klejnotem — i po kilkunastu następnych zwykłymi kieliszkami wychylonych, występuje na stół to poważny „Apostoł“ — kielich z odtłuczoną podstawką, to pękaty „Syndyk“, w którego blisko pół butelki się mieści, a kolejne zdrowia konsolacyi, dam, duchowieństwa, gospodarskie, zgody sąsiedzkiej i t. d. odetchnąć człeku nie dają.

Pan Zeno ceremoniuje przy każdym toaście coraz więcej. Potrzeba całej wymowy jego sąsiada z prawej strony i ciągłych przyjacielskich rad jego sąsiada po lewej ręce, aby go skłonić do wychylenia wszystkich tych toastów. Skarży się i wymawia, a jednak jak czarodziej wszystkiemu daje radę jakby to nic. Nie poczerwienieje na twarzy, oczy mu nawet nie zaświecą żywszym blaskiem. Częściej tylko niż zwykle i coraz prędzej powtarza swoje: „Panie — panie dodzieju!“ Tyle wszystkiego. A innym język chodzi już w pantoflach, a sala jadalna tańczy im w oczach walczyka.

Wtem jawi się na stole sławny w całej okolicy Toto, rostruchan — który napełniony po brzegi, pochłania całą butelkę i półtora kieliszka. Wyrte na nim jaśnieją herby Korony i Litwy a dokoła napis łaciński, zaczynający się od słów: *Toto animo et corde...* Pan Bonawentura napełni go po brzegi — powstanie — i podniesie olbrzyma ostrożnie w górę,

aby ani jednej kropli nie uронić. Następuje ogólny wykrzyk podziwu czy przerażenia: Aaaa!

Pan Bonawentura przekonawszy się, że wszyscy zmierzili oczyma rozmiary i skonstatowali sumienne napełnienie kielicha, woła donośnym swoim głosem: „Panowie!“ — a potem z akcentem serdecznego wylania: „Panowie bracia! Sandomierskie kochajmy się! W twoje ręce Zenonie!“ Tu pan Zenon czyni gest odmowny. Gospodarz przechyla kielich do ust, przechyla coraz bardziej, złoty nektar widocznie ubywa: milczenie ogólne, cisza głęboka. Pan Bonawentura ani odpocznie, ani odetchnie, pije i pije, aż w końcu próżnego Toto dnem na dół obróci i ostatnią kroplę wina wytrzęsie na paznokieć wielkiego palca, aby ją na paznokciu do ust swych ponieść. Brawo ze wszech stron a pan Bonawentura oddycha głęboko. — Podają kielich panu Zenonowi.

Pan Zeno. Nie mogę! Niepodobieństwo! — W żaden sposób! — Panie-panie-dodzieju!

Współbiadnicy zaczynają na pana Zenona krzyczeć ze wszystkich stron: Jakto? kochajmy się — nie wypijesz? A toby pięknie było! Nie możesz? — Cóż znowu? a przeszłego roku?

Pan Zeno. Chorowałem. Już ja nie ten sam. Postarzałem się panie. — Dajcie pokój. — Będzie mi szkodzić i t. d.

Pan Bonawentura. Zenonku! nie wyma-

wiaj się na próżno. Nie róbże mi tego. Kochajmy się musisz wypić — nie ci nie pomoże!

— Musisz! musisz! — wołają ze wszech stron.

Pan Zeno ofiaruje się wypić ten toast z byłym kieliszkiem.

Śmiech homeryczny.

Pan Zeno pod ogólnym naciskiem ofiaruje się, że „Syndykiem“ wypije to zdrowie.

— A fe! fe! Na Syndyku niema orla...

— I Pogoni! — dodaje pan Rufin — którego nazwisko kończy się na wicz a nieznajduje się w Niesieckim, a który z tego powodu utrzymuje, że rodzina jego pochodzi z Litwy.

Pan Zenon wreszcie przyparty ze wszech stron, oświadcza, że wychyli straszne Toto.

Podają kielich. Już nalany. Pan Zenon przypatra mu się i wzdycha ciężko. Podnosi go — i jakby tracił odwagę, stawia znowu na stole.

Oznaki zniecierpliwienia.

Wreszcie pan Zenon podnosi go i wychyla duszkiem. Ostatnia kropla na paznokieć a kielich w ręce sąsiada.

Zadowolenie powszechne i huczne oklaski zmieszane z wykrzykami: Kochany! Poczciwy!

Toto przechodzi z rąk do rąk. Kilkunastu dało mu radę. Kilku uciekło. Kilku po wypiciu wytoczyło się z sali. Jeden upadł pod stół. Toto wrócił do rąk gospodarza.

Pan Bonawentura napełnia go bezzwłocznie.

Podnosi w górę, ale ręka już nie dopisuje; T o t o przechyla się to na jedną to na drugą stronę, a wino się przelewa.

— To nie dość „kochajmy się” — woła pełną piersią gospodarz. — Nie dajmy się! W twoje ręce Zenonku!

Pan Zeno protestuje, trzęsąc głową na lewo i na prawo i podnosząc ręce do góry. Mówi coś przytem, ale grzmot oklasków i wykrzyk ogólny: „Nie dajmy się!” głuszy jego słowa.

— Wybijmy się! — zawołał głos z pod stołu.

— „Wybijmy się” to trzecie! — odparł pan Bonawentura.

— Nie, nie! — zaprzeczyła jakaś mała figurka z ogromnymi wąsami. — Wybić się a nie dać się to jedno i to samo.

— Nie jedno! nie jedno! — wrzasło kilka głosów.

— Najprzód wybić się, potem nie dać się! — rozumował leżący pod stołem.

Jedni w śmiech, drudzy wołają: Prawda! ma słuszność! Najprzód wybić się!

— Niema sensu! Nie dajmy się, ot, i koniec!

— Jakto? nie pierwsza dla nas rzecz wybić się? Hala, kto to mówi? — woła barczysty jakiś szlachcie w kontuszu.

Krzyk, wrzawa, hałas, kłótnia.

— Panowie bracia — zawoła wreszcie pan Bonawentura. — Szanujmy obyczaje ojców naszych... Nie dajmy się jak oni się nie dali! Wybijmy się

jak oni się wybili! Ale pamiętajmy o tem, że kiedy pili, a pili dzielnie, to „nie dajmy się” było zawsze drugie od Adama i Ewy, za Piastów i Jagiellonów, a „wybijmy się” było zawsze trzecie!

— Nie dajmy się! nie dajmy się! — wrzeszczy większość, głuszac przeciwne zdania oponentów, przy stole i pod stołem.

Wychylił pan Bonawentura butelkowy kielich do dna, lecz tym razem z dwoma przestankami i podał panu Zenonowi.

Pan Zeno wzbrania się przyjąć rostruchanu; o wypiciu go nie chce ani słyszeć.

Następują prośby, zakłęcia. Nic to nie pomaga. Ironiczne uśmiechy pod niektórymi wąsami, pogardliwe kiwanie głowami.

— Nie dać się nie chcesz?

— Wybić się nie chcesz?

— A, tegom się po tobie nie spodziewał!

— Wstydz się Zenonku! co robisz? zastanów się! opamiętaj się! boś ty chyba pijany... — namiętnie pan Bonawentura.

— Nie mogę... prawdziwie... to nad siły moje! Panie-panie-dzieju, ciężko odchoruję... To ogrom. Naparstkiem morza nie wyczerpie.

— Jak mnie kochasz! Zrób to dla mnie!

— Nie mogę... nie potrafię... nie porwę się z motyką na słońce...

— Jak ci twoje dzieci miłe, Zenonku!

— Nie mogę!

— Ehe, to nie uchodzi! — zakrzyknęła mała figurka z dużymi wąsami — to nie uchodzi na sucho tak między nami. Albo pij, albo się bij!

— Bić się nie będę i pić nie będę panie-panie-dzieju! Co nad siły to nad siły. Umarłbym, czuję to. Zginałbym marnie. Amenby mi było panie-panie-dzieju!

— Zenonku! Zenonku! — wołał gospodarz. — Siedzieliśmy na jednej ławce, Zenonku!.. — i pocałował go w rękę. Patrz, na kolanach cię proszę! — i ugiął solenizant kolana.

Nie skutkowała ta apostrofa.

— Na pamięć twojego ojca! na wszystko święte cię zaklinam!

I to nie pomogło.

— Jak ojczyznę kochasz Zenonku!

Zerwał się Zenonek na te słowa jak oparzony.

— Ha, panie-panie-dzieju, teraz muszę! Zmusiłeś mnie! Choćbym miał trupem paść!..

Pochwycił butelkę, żeby kielich napełnić. Lecz zanim to uczynić zdołał, już pan Bonawentura rozczulony leżał w jego objęciach. Sąsiad z prawej pochwycił go oburącz i całował, sąsiad z lewej uprzedzony w tej owacyi przez sąsiada z prawej, czynił daremne wysilenia, aby swemi wąsami dotknąć jego wąsów. Mała figurka pochwyciła go za rękę i całując rąbek jego czamarki błagała o przebaczenie. Barczysty kontuszowiec nie mogąc się do

niego docisnąć, wołał raz po raz: Dajcie mi go! dajcie mi go! — Pseudo-Litwin klepał go po ramieniu i powtarzał: To mi człowiek! To mi Polak prawdziwy! To mi szlachcic co się zowie!

Dorwał się wreszcie kielicha pan Zeno. Wypił duszkiem do kropelki.

— Na ręce go wziąć! na ręce! — wołano ze wsząd. Podniesiono go na szlacheckich barkach i noszono wkoło stołu.

— Nie dajmy się, a niech nam Zeno żyje!

— Niech żyje!

Ośmiu czy dziesięciu wypilo po nim napełniony Toto do ostatniej kropelki, a bez wszelkich ceregielów i namowy.

Nikt jednak prócz Zenonka nie doczekał się owacyi.

Czemu?

Oto właśnie dlatego, że nie robili ceregielów, że się nie dali prosić, że bez próśb i namowy i zaklęć, dopełnili „świętego obowiązku“.

Co roku p. Zeno powtarza z małemi zmianami ten sam manewr na imieninach p. Bonawentury, i co roku dostaje mu się w udziale mniejsza lub większa owacyjka.

— Trzeba się umieć dać prosić. Trzeba umieć się składać i sumitować: nie potrafię, nie mogę, to nad siły moje, zachoruję, umrę i t. d.

Trzeba umieć być skromnym. Podniosą cię na rękach, wypiją twoje zdrowie, wyszczególnią cię nad wszystkich, zostaniesz wielkim człowiekiem, choć nie zrobisz więcej niż inni zrobili. Ociagałeś się, dałeś się prosić, utrzymywałeś, że nie możesz — w tem twoja zasługa. Zapomną wypić toast na owo trzecie słowo sakramentalne: „wybijmy się!“ a niezapomną wypić twego zdrowia.

Sic itur ad astra.

* * *

Jak pan Zeno w sprawach toastowych, tak w sprawach publicznych daje się prosić — i nie uproszony ani palcem nie ruszy — pan Napoleon.

Winienem dodać tu objaśnienie, że imiona Zeno, Bonawentura, Rufin, Cezar, Napoleon są pseudonimami. Osoby te innych na chrzcie świętym dostały patronów. Niechże nikt się nie sili szukać ich między swymi znajomymi, chociaż zaręczyć mogę, że scena opisana jest co do joty prawdziwą i że jeśli któremu z tych panów szkic ten dostanie się do rąk, pozna siebie i swoich sąsiadów jak dwa a dwa cztery.

Ale wracam do pana Napoleona.

Pan Napoleon Skromny daje się prosić i stąd uchodzi za wielkiego człowieka w swoim powieście.

Daje się on długo prosić, wtedy szczególnie, gdy wie, że się bez niego nie obejdzie.

Pan Napoleon Skromny jest pocziwym człowiekiem. Pan Napoleon Skromny nie mało oddał usług współobywatelom, okolicy, w której zamieszkał i sprawie narodowej. W ciężkich czasach trudnego podjął się nieraz obowiązku z narażeniem własnej osoby i własnego mienia. Ale trzeba wiedzieć, jakich to potrzeba prośb, suplikacji, zaklęć, instancji, aby go skłonić do podjęcia się jakiegokolwiek obywatelskiej czynności, choćby to nie było nic więcej jak np. urząd superarbitra w jakiej sąsiedzkiej sprawie. Ileż to nasłuchać się trzeba narzekań, na liczne zajęcia, któremi jest obarczony, na złe czasy i zły stan własnych interesów, które wymagają wyłącznego oddania się im na lat parę, ileż skarg na znękanie moralne i fizyczne, na nadwreżone zdrowie skutkiem przetężającej pracy, ileż długich i szerokich wyluszczeń o nadzwyczajnych trudnościach, jakim traktowana sprawa podlega.

— Chory jestem. Nie mogę. Nie jestem w stanie. Postarzałem się. Już ja nie ten sam co dawniej. To nad moje siły. To niepodobieństwo. Nikt naparstkiem morza nie wyczerpie. Z motyką na słońce i t. p. i t. d.

Jednem słowem cała litania, którąśmy dopiero co z ust pana Zenona wobec pełnego Toto usłyszeli.

Bajki! panie Napoleonie, znamy cię dobrze. Tybyś żyć nie potrafił nie mieszając się do spraw publicznych i nie biorąc w nich udziału. Zjazdy, narady, mówki, sejmiki, urzędowanie, sesye, referaty, propaganda, agitacye — to twoje życie, to twoja druga natura. Nie udawaj. Ty to lubisz, tak jak pan Zeno lubi pełnego T o t o. To rozkosz dla ciebie.

Ależ po tem przesadnem wyliczeniu trudności, jakim ta lub owa sprawa podlega lub podlegać może, po sentencyonalnych kilku frazesach o odwadze cywilnej i abnegacyi, jakiej sprawa wymagać będzie lub jakiejby w danych okolicznościach wymagać mogła — do jakichże to kolosalnych rozmiarów wzrastają w wyobrażeniu panów braci zdolności pana Napoleona, a po ostatecznem skłonieniu się do powszechnych próśb, jakąż cześć budzi jego wysokie poczucie obywatelskich obowiązków, jego gorące przywiązanie do kraju, jego podziwiania godne poświęcenie!

Następują dziękczynienia i owacye bez końca. Pan Napoleon uchyla się przed nimi ze zwykłą skromnością, co go tem więcej w oczach wielbicieli podnosi. Pan Napoleon w własnem nawet wyobrażeniu rośnie jak na drożdżach.

Udajesz chudego panie Napoleonie, a zdaje ci się, że mało tak o t y ł y c h jak ty.

Mój miły bracie! nie grajże tej komedyi, bo

szkoda na nią czasu. Ty czas umiesz tak dobrze spożytkować. Nie rób z muchy wołu, a z drobnej rzeczy wielkiej. W ciężkich chwilach, gdzie czasem jesteś niezbędnym w twojej okolicy, nie ceremonij się długo i nie daj się prosić. Powiedz: zrobię lub nie, dam lub nie dam, bo wierzą mi, skrupi się kiedyś na tobie, przyjdzie kryśka na Matyska i znajdzie się ktoś inny, kto bez ceregielów da i zrobi niejedno i zastąpi cię tam, gdzieś ty być powinien. A ten ktoś może będzie mniej godnym od ciebie. — Ej, nie żartuj, bo się taki ktoś znajdzie! Nie święci garnki lepią.

Znałem rodzeniuteńkiego twego braciszka, pana Cezara. Na usilne prośby współobywateli raczył on zajmować przez długie lata rozliczne zaszczytne stanowiska obywatelskie w swojej okolicy i przyjmował różne godności — z poświęcenia. Przez wiele lat nikt nie czuł się na siłach, aby współzawodniczyć z panem Cezarem, choć skromny pan Cezar udawał „chudego i chorego“. Nagle zjawił się między wielbicielami pana Cezara młodzieniaszek, któremu urosły z czasem wąsy i który z wielbiciela zmienił się w rywala. Przy najbliższych wyborach — urząd jakiś piastowany dotąd przez pana Cezara, ofiarowany mu zostaje i nadal. Pan Cezar, jak zwykle, odmawia — chce być proszonym. Urząd tymczasem dostaje się mło-

dzieniaszkowi. Niepohamowana ambicja, zapamiętała zawiść owłada odtąd pana Cezara. Zrzuci maskę o wychudłej, chorowitej twarzy, prostuje się, nadyma policzki, wypycha sobie piersi i biodra, jednym słowem: z chudeusza staje się jak rydz zdrowiuteńkim, otyłym, barczystym jak dąb. Chodzi na szczudłach, aby się wydać wyższym od swego rywala. Prawi tylko o sobie, o swoich długoletnich pracach i zasługach, o swoim doświadczeniu, o swojej nauce, o swoich rozległych stosunkach, o poniesionych dla dobrej sprawy ofiarach. Kto znał dawniej pana Cezara, pewno by go nie poznał. Ja sam nie chciałem wierzyć, gdy mi o tem mówiono: pojechałem i przekonałem się. Co gorsza, że ta zmiana roli, ta ochoczość obecna pana Cezara w pełnieniu obywatelskich obowiązków, to ofiarowanie się w przyjmowaniu uciążliwych nawet godności — to wszystko nie zda się już na nic: młodzieniaszek wszędzie górą!

Niech ci to służy za przestrożę. Strzeż się panie Napoleonie. A przytem pamiętaj, że ceregiele i owacyjki, które ceregielami wywołujesz co roku, czynią ujmę zasługom twoim i twemu poczciwemu sercu. Mógłby ktoś pomyśleć, że głównym twoim bodźcem próżność, a nie miłość ojczyzny.

Pamiętaj także i o tem, że nie jesteś bożysz-

czem jakimś unoszącem się w chmurach nad ziemią rodzinną, do którego by się nam zwykłym śmiertelnikom o pomoc modlić należało, ale jesteś równym nam obywatelem kraju, a obywatelstwo — to obowiązek i służba.



VI.

Tłuści i dzielni — Błaga i pseudooptymizm.

.....
 — Nie mam pod ręką komedyi Aleksandra Fredry i nie mogę odzyskać w „Jowialskim“ głębokiej i trafnej uwagi pana szambelana strugającego patyczki do klatek, a od tych słów nieporównanego pana szambelana chciałbym rozpocząć niniejszy rozdział. — Szanowny czytelnik zechce łaskawie zastąpić mnie w tej mierze i wyszukawszy filozoficzne *dictum*, wypisać je dosłownie na miejscu wykropkowanych dwóch wierszy w cudzysłowie. W ten sposób dostąpię niezwykłego zaszczytu, pozyskawszy tak znakomitego współpracownika, za którego na niewidziane ośmielałam się poczytać cię Szanowny Czytelniku! Przyjm wyraz dozgonnej mojej wdzięczności!

„Łatwiej z grubego... cienkiego...“ nie, nie pamiętam. — Bądź co bądź, nie podlega wątpliwości, że i bez strugania łatwiej z grubego i tłustego cieni i chudy stać się może, niż odwrotnie, a to za-

równo pod względem fizycznym, jak umysłowym, a szczególnie zaś finansowym.

Inna rzecz jednakże stać się cieńszym i chudszy, a inna chudsze go udawać. Tu rzecz się ma wcale przeciwnie, niż twierdzi pan szambelan. Łatwiej chudemu tłustego, niż tłustemu chudego.

Że tłustemu grać chudego rolę nie łatwo, mieliśmy sposobność przekonania Szanownego Czytelnika w jednym z poprzednich rozdziałów, pisząc o worku pana Baltazara i krąglutkim młodzianie na reducie w głodowym roku. — Chudy aktor przeciwnie, snadnie wypchać się może watą, poduszkami, pęcherzami i stanie się sam jako pęcherz nadęty. Zamiast waty, poduszek, pęcherzy, lepsze jednak istnieje *arcanum* francuskiej inwencji. Środek uniwersalny dla pokrycia chudości moralnej, umysłowej, materyalnej, finansowej i t. d., a środek bardziej rozpowszechniony w całym cywilizowanym świecie, niż Le-Roy, Morrison, Cauvin, Leras, Wlinsky, Arrowroot, Revalenta arabica, Evalina, Anaterina, Ekstrakt Liebiga, Restitutions-Fluid i t. d. Środek ten, niemający sobie dotąd równego, nazywa się: błaga.

Gdyby w XIX stuleciu, miasto nowoczesnych narodów, Grecy i Rzymianie dzierżyli jeszcze berło cywilizacji a politeizm był panującą religią, niewątpliwie stanęłaby w Panteonie wśród zastępu bogów i bogiń *minorum gentium*, gallicka bogini Błaga. Podobna modro-okiej Minerwie, z hełmem

na skroni, stałaby w pancerzu i z tarczą; w tem cała różnica, że przyłbicą zakryte u niej oblicze, a w ręku jej zamiast ateńskiej włóczni... pęcherz nadęty.

Dzięki tej potędze, biedny chudzina wydaje się tuczny kapitalistą, próżniak i niedołęga dzielnym i dobrze zasłużonym obywatelem, niedowarzony młokos wytrawnym politykiem, półgłówek znakomitym mężem stanu, rozpustnik obrońcą moralności i wiary, korsarz literacki oryginalnym pisarzem, krętacz i rabulista wcieloną prawością, tchórz lisami podszyty lwem albo tygrysem, człowiek wyszarzanej opinii męczennikiem idei, paszkwilant kondotier zawziętym radykałem, zauszniak magnacki niezawisłym, jawny oszczerca i denuncyant wzorem odwagi cywilnej, chciwiec, kutwa, samolub wzorem bezinteresowności i poświęcenia...

Dość już, dość na Boga! bo litanii tej nikt jednym tchem odczytać nie potrafi, a przedłużaćby ją można nieledwie w nieskończoność. Dałoby się nawet z pewną słuszością twierdzić, że każde pseudo na świecie jest tylko błagą i niczem więcej. My jednakże nie podzielamy tego zdania, a pod „błagą“ w ściślejszem znaczeniu rozumiemy tylko takie pseudo, które chudeusom na ciele i na duszy dozwalają udawać otyłych, a dzielnych, dziarskich, zdrowych chyrlakom i ludziom słabych sił, słabej zdolności, słabej reputacji i t. p.

Przyznajemy zresztą, iż błaga jest zwykłą przy-

prawą każdego pseudo, każdej maski niezbędnym prawie dodatkiem i ozdobą.

Prócz tego pominąć nie możemy innego jeszcze gatunku blagierów, a mianowicie tych, których nazwaćby należało bezinteresownymi blagierami. Są to tacy, którzy nie siebie samych przystrajają w sztukowane pióropusze i szychem lamowane szaty, ale bądź to sprawę jakąś, którą ukochali, bądź też jej obrońców. Są to fałszerze historyi lub gorsi od nich jeszcze fałszerze teraźniejszości; wierzą oni, że fałszem skuteczniej dobrej sprawie służyć można, niż prawdą... Ileż to skutkiem ich obłądu marnieje ludzi, sprowadzonych błędnym ognikiem z prostej drogi na bezdroża! Ile sił najlepszych zużyć muszą ich przeciwnicy lub następcy, aby zbalamuconemu przez nich ogółowi zdjąć bielmo z oczu!

Są nakoniec inni jeszcze, których nazwać można fałszerzami już nie przeszłości lub teraźniejszości, ale fałszerzami przyszłości, fałszerzami nadziei; puszcza ją w obieg optymistyczne kulfony za prawdziwą monetę. Szaleńcy! — sądzą, iż mnożąc ilość niewypłacalnych asygnat, podniosą kurs ich, przywrócą zachwiany kredyt pocziwej sprawie.

I blagierów egoistów i blagierów bezinteresownych niestety niemała u nas liczba, a często zaiste trudnoby przyszło rozstrzygnąć, czy pod błagą bezinteresowną nie kryją się osobiste widoki.

Gdybyśmy chcieli wszystkie rodzaje i odcienia blagi, których wyżej sążnistą lecz niekompletną spisaliśmy litanie, osobnemi ilustrować obrazkami, tom cały nie wystarczyłby na to.

I na cóżby się to zresztą przydało? Spójrz łaskawy czytelniku na lewo i na prawo i poza siebie, ogłdnij się w kółko, przypatrz się tym, którzy wyżej od ciebie stoją w hierarchii społecznej, i tym, co stoją niżej, i tym, którzy czują twą wyższość moralną lub umysłową, i tym, od których ty sam niższym się czujesz (przewiduję, że tych ostatnich albo bardzo niewielu lub wcale ich nie ma) — i powiedz teraz ile tu blagi! I na cóż przesuwac ci po przed oczy gryzmołone inkaustem obrazki? Wszak masz codzien tych obrazków do syta! Kto wie? Może ty sam szanowny czytelniku znalazłbyś się na którym obrazku? Może twoja żona? Twoje dzieci?...

Przeczysz temu? Ha, to się przekonamy. Spiszemy z sobą protokół... przepraszam: wywód słowny — bo to zrozumialsze wedle twierdzenia purystów. Wywód oznacza wprowadzić także jakąś poślubną ceremonię kościelną i inne jeszcze rzeczy, a słowny to tyle co dotrzymujący przyrzeczenia, ale te dwa wyrazy sprzężone razem, są zrozumialsze niż obcy wyraz „protokół“.

Piszemy więc wywód słowny szanowny czytelniku.

* * *

Czy jesteś gospodarzem wiejskim?

Przyjechał twój sąsiad z wizytą. Ach, jakże rad jemu jesteś! Czy tylko szczerze?

Jaki ruch na dziedzińcu!... Wojtek biegnie czemprędzej wciągnąć na siebie liberyę, Maciek lata ciągle do kuchni i do klucznicy z rozkazami twojej żony, obmyślającej suplementa i apendyxa do zadysponowanego obiadu.

Córki twoje się przebierają, nawet najmłodszy twój Beniaminek musi przemienić dziurawe buciki i wyszarzaną codzienną bluzkę.

Z lamusu wynoszą srebrną tacę i półmiski i szkło z rżniętego kryształu. Jeśli mały Beniaminek nie zdradzi się objawem podziwu lub zadowolenia, gość twój będzie sądził, że ty codzien jadasz z srebrnych półmisków siedm potraw i pijasz Bordeaux-St-Julien z kryształowych kieliszków, rozumie się jeśli sam nie pozna austriackiego Vösslauera pod francuską etykietą. Wszystko blaga.

Twoja szanowna małżonka ma na głowie przynajmniej pół funta fałszywych włosów, w uszach kolczyki z fałszywemi brylantami, na piersiach broszkę a na rękę bransoletę z białego złota i z ciemno-niebieskiem szkiełkiem we środku, które ma szafir udawać. Że te włosy, brylanty i szafiry fałszywe, tego nie zdradzi ani twoja żona, ani ty, ani nawet twój Beniaminek, bo mu to niewiadome. Dobrze, że tylko tyle blagi na twojej żonie.

Gość rozpoczyna rozmowę o teatrze, o karna-

wale i t. p. Żona twoja miasta nie lubi, wieś przenosi nadewszystko. Dodać należy, że w tym roku fundusze nie starczą. aby zimę w mieście przepełnić jak się układało. Dobrze, że tyle tylko blagi na twej żonie.

Twoja córka starsza produkuje się śpiewem. Oto właśnie przysłano jej świeże nuty. Spróbuje. Ot gra i śpiewa *prima vista*. A z jaką pewnością siebie, z jakim zrozumieniem melodyi, z jaką werwą!... Błaga! Śpiewa ona tę aryę już po raz siedemset czternasty.

Młodsza... ach, ta nieszczęsna lewa łopátka złe w tej sukni różowej przywatowana. Szczęściem że twój gość ma wzrok tak krótki... Lecz kto wie, może to blaga z jego strony, te okulary na nosie? Wszak on ma pretensję do reputacji uczonego?... Młodsza twa córka na trzykrotnie powtórzoną prośbę twego gościa i na wyraźny dwukrotny rozkaz matki, przynosi obraz olejny swojej roboty — obraz wcale niezły. Talent niewątpliwy... Błaga! Obraz ten w trzech czwartych malowany przez jej metra.

Ale wynosicie się z twoim gościem na cygara. Twoja żona nie znosi tytoniu... Błaga! sama pali papierosa, gdy ją zęby bolą. Dziwna rzecz, bolą ją coraz częściej. — szczególnie ten na przedzie... wstawiony przez Ujhelego...

Z fajkami w ustach rozmawiacie o gospodarstwie. Aaa, wybornym jesteś gospodarzem! Jakiż to ład u ciebie, jaki wzorowy porządek. Wszystko

jak w zegarku... lecz mówiąc między nami, jak w zegarku nieczyszczonym od lat dziesięciu a nakręcanym bardzo nieregularnie — i to nie przez ciebie, ale przez twego ekonoma, który daleko lepiej umie blagować przed tobą, niż ty przed twoim sąsiadem. Twój sąsiad śmieje się w duchu, bo wie, żeś już trzy tygodnie nie był w oborze.

Ależ bo to z twoim sąsiadem trudna sprawa. To zawołany agronom! U niego to uczyć się postępowego gospodarstwa! Wszystkie genialne wynalazki i nowe poprawne narzędzia i maszyny on pierwszy sprowadza i zastosowuje z pożytkiem. A jaka owczarnia! A jakie bydelko holenderskie! Łąki drenowane sownie wracają poniesione kosza. — Na każdej wystawie rolniczej on zawsze jedną z pierwszych zyskuje nagród. Szkoda tylko, że mimo sposobu życia więcej niż oszczędnego, majątek odziedziczywszy czysty i znaczne kapitały, brnie coraz więcej w długi i właśnie przyjechał do ciebie, aby ci zaproponować...

— Nie dam.

Nie dasz szanowny czytelniku? A! to zapewne się omyliłem. Kto tak śmiało mówi: „Nie dam“ — chyba nie jest gospodarzem wiejskim.

* * *

Może jesteś kupcem galanteryjnym lub towarów bławatnych?

W takim razie nie pytaj co to jest blaga, bo napatrzysz się na nią codzień do syta i nasłuchasz się jej codzień od rana do wieczora, oczywiście jeśli pilnujesz handlu i siedzisz w sklepie. Zresztą niewątpię, że sam jej posiadasz niemały zapas, skoro dobrze ci idzie interes, jak mówią w mieście, i skoro już jesteś blizki ugody o kupno wioski z panią X., która tyle prześlicznych cacek przez lat wiele nakupiła u ciebie. Umiesz bo ty wybornie zachwalać twoje towary, te drobne eleganckie graczki z Wiednia, z Paryża lub z Londynu — zgrabniutki a bezpożyteczne, których wielką praktyczność, co więcej, niezbędną konieczność ich posiadania z niezbitą potrafisz udowodnić logiką. Mistrzem jesteś w tej sztuce. Warto ci się przypatrzyć z boku, gdy sprzedajesz: rozmowny, dowcipny, usłużny, ugrzeczniony od rana do wieczora, tak iż każdy kupujący lub kupująca sądzi, iż ty tylko jego samego lub ją samą wysz zególniasz. Miło mu przyjść do twego sklepu, napatrzy się na cacka, nasłucha się grzeczności, a ty odchodzących zapraszasz:

— Za tydzień otrzymam świeżą przesyłkę. Zapowiedziano mi prześliczne rzeczy, całkiem coś nowego. Sam jestem nadzwyczaj ciekawy. Może pani dobrodziejka raczy wstąpić do mego sklepu. Będę to sobie miał za zaszczyt... Oh, ja bynajmniej w tym zamiarze nie mówiłem, aby pani dobrodziejka koniecznie miała kupować... Ślicznie dziękuję...

Wiesz dobrze szanowny panie, że jeśli tylko owa „dobrodziejka“ przyjdzie do twego sklepu, w celu kupienia mydełka, sznurowadła, dzióbka do paznokci lub innej podobnej bagatelki, lub jeśli nawet przyjdzie bez zamiaru kupowania, twoja to już rzecz pokazywać jej inne nieco droższe bagatelki, a gdy się decyduje już kupować, pokazywać jej coraz droższe i piękniejsze i nie wypuścić jej z twych szponów, dopóki nie porobi sprawunków przynajmniej za kilkanaście jeśli nie za kilkadziesiąt reńskich.

A jakie to wszystko tanie w twoim sklepie! Zrazu gdy powiesz cenę, zdaje się drogo, ale gdy zaczniesz wyluszczać, ile to różnych rzemiosł przyłożyło ręki dla zrobienia tego cacka, ile przytem było pracy, ile transport z zagranicy kosztuje, ile ażyto wynosi, ile przedmiotów przez transport uszkodzonych nadchodzi, za które ty jednakowoż zapłacić musisz, jak mały masz zysk na tej sprzedaży; gdy wreszcie przypomnisz, ile to dawniej tego rodzaju przedmioty kosztowały, przekonany twą wymową dziwi się człowiek, że tak tanio kupuje.

Tanio — i w samej rzeczy może taniej niż w innym sklepie, ale na dziesięciu kupujących dziesięciu idzie do ciebie, a zaledwie jeden do twego współzawodnika. Ściąga ich twoja blaga. Ty umiesz sprzedawać, a on nie. On gotując sobie upadek, toruje wstęp kupcom cudzoziemcom; ty sam nie tylko majątek znaczny zrobiłeś, ale ile razy potrzeba

grosza na jaką sprawę krajową — ty nigdy nie odmówisz. Możesz dać i dajesz.

A więc póki dajesz, blaguj dalej szczęśliwie i z ironicznym uśmiechem przypatruj się blagierom, którzy u ciebie kupują.

Blagierom? A to czemu? Opowiem, co dziś, dziś właśnie widziałem w twoim sklepie.

Pani Rozalia i pani Hortenzja kupiły za kilkadziesiąt guldenów różne niepotrzebne im graty, dlatego tylko, bo się wstydziły nie kupić, skoro je oglądały — nieżądając widzieć. Każda z nich wstydzi się mniej kupić od swej towarzyszki, licytują się tedy nawzajem, która więcej wyda z swej portmonetki papierków. Pani Rozalia zwykła się targować długo; w obecności pani Hortenzji nie śmie i nie żąda opuszczenia kilku reńskich, którego przy znacniejszym kupnie niezwykle odmawiać.

Pani Hiacenta czuje się obrażoną, żeś ją oddał w opiekę subjektowi, a sam kręcisz się na pięcie koło pani Rozalii i pani Hortenzji. Przyszedszy z zamiarem kupienia tylko pary rękawiczek, wydaje dwa razy więcej od tamtych dwóch pań, aby ci pokazać, że ona większa pani od nich, że zatem jej a nie im winienesz nadskakiwać.

Pan Eryk ma do wyboru dwa szale. Tańszy lepiej mu się podoba — i miał go już kupować, gdy w tem nadeszły te panie i zmusiły go obecnością swoją kupić droższy, aby nie sądzono, że go nie stać na to.

Pan Cypryan ma tyle odwagi cywilnej, aby powiedzieć, że nie kupi zachwalanego przez ciebie dużego wazonu z sewrskiej porcelany, bo za drogi dla niego.

— Pan dobrodziej raczy żartować — odpowiadasz z ukłonem. — Ja wazon odeszłę do hotelu z rachunczkiem dawniejszym i dzisiejszym.

Pana Cypryana opuszcza odwaga cywilna. Nie protestuje — *et qui tacet consentire videtur*.

Czy to nie blagiery?

Hrabina *** około lat 50, wysokiego wzrostu, cery trędowatej, włosów szpakowatych, waha się w wyborze między materią zieloną *moire-antique* i taką materią popielatą.

— Pani hrabino! zielona materia jest wprawdzie znacznie droższą od tej popielatej, ale dla osób mających... (tu spojrzenie ukradkiem na cerę i włosy, o których nic się powiedzieć nie dało) dla osób mających... mających wzrost pani, niema nic nad kolor zielony!...

— Błaga, mój autorze, błaga! Takiego głupstwa nigdy w życiu nie powiedziałem.

— Niech mnie... niech mnie nikt nie czyta, jeśliś pan tego nie powiedział!

* * *

Chodźmy do kasyna.

Gruba gra przy tym stoliku. — Spora kupka

wygranych banknotów przy panu Fortunacie, pan Feliks przegrywa. Nie udawajże pan, że ci tak obojętna wygrana. Żle udajesz. Choć blagierską maską lekceważenia zakryłeś twarz — świecą ci się chciwością oczy z głębokich dołów. Uśmiechnijże się do tych pomiętych i zabrukanych papierków. Jutro za nie kupisz brylantowe kolce, które się tak podobały pannie X. i złożysz jej w hołdzie podczas próby.. Kto wie? może to stopi lody...

Panie Feliksie, nie udawaj i pan, że nie dbasz o przegraną sumę. To błaga z twej strony. Jutro termin płacenia weksłu a w kieszeni pustki, choć żona zastawiła już srebra. Drgają ci muszkuły twarzy — drżą ręce...

.....
Dobry wieczór panu, panie Chryzostomie! Niema od pana wymowniejszej osoby, większego oratora ani w radzie miejskiej, ani w żadnym z licznych towarzystw, do których pan należysz.

Zabierasz pan głos przy każdej sposobności, a nawet i wtedy, gdy się żadna do tego nie nastrocza sposobność. W sprawach najobojętniejszych, w którychby bez dyskusji *en bloc* głosować należało, bo wszyscy są jednego zdania, zabierasz pan drogi czas uwagami co do traktowania rzeczy, żądaniem specjalnej dyskusji; następnie półgodzinną przemową *quo ad meritum*, wnioskami, poprawkami i dodatkami, prosisz o głos powtórnie i dajesz są-

żniste objaśnienia i suplementa do poprzedniej gawędy, a gdy już ku wielkiemu zadowoleniu twoich kolegów dyskusja zamknięta zostanie, zabierasz jeszcze głos w kwestyi formalnej, a nakoniec w kwestyi osobistej, jeśli najmniejszy do tego nastarczy ci się powód.

Przemawiasz w sprawach, z którymi wcale nie jesteś oznajomiony, a jeśli nie pleciesz andronów, to przynajmniej nie takiego nie powiesz, coby wszystkim lepiej od ciebie nie było wiadomem.

I pocóż to wszystko? jeśli ci już nie żal płuc i języka, to niech ci będzie żal czasu, którego nie-mało koledzy twoi, częstokroć z uszczerbkiem dla osobistych interesów, sprawie publicznej poświęcają.

Chcesz pokazać, że w każdym przedmiocie stać twoją głowę na to, abyś przemówił i to do rzeczy... Daleś już tego nie-mało dowodów. Wierżaj mi, że dalsze dowody zbyteczne. Przekonani już wszyscy, a co do mnie, gdybym nawet przypuścił, że dotąd zawsze do rzeczy przemawiałeś, muszę ci jednak szczerze powiedzieć, że nawet mówienie do rzeczy staje się niedorzecznością, gdy jest bezpotrzebnem i oprócz zadowolenia twej próżnotki i zmęczenia słuchaczy żadnego za sobą nie pociąga rezultatu.

Miej litość nad kolegami twymi. Bądź zdrow, a nie gniewaj się na mnie.

.....
I pan tutaj, panie dyrektorze banku? Służysz

krajowi jak możesz. Straciłeś skromny mająteczek, popierając wzrost krajowej produkcji przez powiększenie konsumpcji, a w uznaniu tych zasług otrzymałeś korzystną posadę dyrektora banku X. w mieście Y., chociaż na bankowych interesach i manipulacji tyle się znasz, co pewne brodate stworzenie na pieprzu, a pewne skrzydlate na piwie. Nie możesz się skarżyć na niewdzięczność narodu. Ale i ty umiesz cenić daną ci w tak delikatny i nieżenujący sposób *sineturę* i przy każdej sposobności, szczególnie wobec podwładnych twoich, starasz się okazać, jak gruntownie obezprany jesteś z powierzonymi ci sprawami. — Jakie z tego powodu powstają czasem *qui pro quo* — to chyba podwładnym twoim wiadomo. Radzę ci szczerze: siedź cicho i nie blaguj, wybieraj co miesiąc regularnie swoją pensyjke, a wyrzeknij się dla dobra publicznego wszelkiej zachcianki odgrywania roli. Pamiętaj przytem potakiwać twemu naczelnikowi zawsze i wszędzie, nawet i w pozabankowych sprawach. Jeśli miałeś kiedy samodzielne w czemkolwiek zdanie, zapomnij o tem. *In hoc signo vinces* przy najbliższem podaniu o podwyższenie płacy z powodu mnożących się czynności i rozszerzonego zakresu działania.

Witam pana konsyliarza! po całodzienniej pracy przyszedłeś tu nieco odetchnąć. Tylu masz chorych! a wszyscy w tak niebezpiecznym stanie! Inni leka-

rze opuściliby ich już zapewne. Powiedzieliby, że niema nadziei, że niema tam już co robić. Cudów pan prawdziwie dokażesz, jeśli ich przyprowadzisz do zdrowia. Symptomata wprowadzisz z pozoru nie zdawałyby się tak zatrważające, ale czegoż niedostrzeże wprawne oko biegłego lekarza, jakim pan jesteś. Jak Cuvier'owi wystarczała skamieniała kość goleniowa nieznanego zwierzęcia, aby z matematyczną obliczyć ścisłością i odrysować cały szkielet przedpotopowego potwora, tak panu wystarcza najniewinniejsze na pozór krząknięcie lub zaledwie dosłyszalna przez stetoskop nieprawidłowość szmerów oddechowych, zaledwie dostrzegalna nieregularność pulsacyi, aby przewidzieć w mikroskopijnym zarodzie kielkującą straszliwą, a bodaj czy nie śmiertelną chorobę, którą jednak zawczasu zażegnać potrafisz lekami twemi.

Patrz pan jaki świat złośliwy, jak zawistni sławy koledzy pańscy! Oto mówią n. p., że kaszel twego pacjenta, pana A., który wedle twego twierdzenia ma tuberkuły w wysokim stopniu, dałby się wyleczyć cukierkami Kocha lub ślazowem ciastem! Mówią, że reumatyzmowi pana B. zaradziłaby jedna łaźnia parowa; że niebezpieczny katar kiszkowy pana C. jest tylko najzwyczajszą niestrawnością skutkiem obżarcia, którąby porcja lemoniady magnezjowej lub proszek seidlcki wyleczył; że uporczywy *dolor Fotergilli* czyli *tie douloureux* pani D. ustąpiłby po wyrwaniu spróchniałego zęba; że powracające

coraz częściej, a przerażające rodziców i budzące w nocy ze snu wszystkich mieszkańców z domu pod nr. *** przy ulicy *** spazmatyczne napady, śmiechy, płacze i krzyki, jęki, piski, wrzaski i skomlenia panny E. dałyby się usunąć samem pokazaniem jej przez ojca wierzbowej gałązki...

Mówią to wszystko i jeszcze wiele innych rzeczy. Jednem słowem oskarżają pana o błąd.

Zemścij się pan i opowiedz ludziom o tysiącnych błagach, jakich się codzień do znudzenia nasłuchasz od twoich chorych. Przesadzają oni przy egzaminie i wymyślają niebывałe zastraszające symptomata, aby cię do większej troskliwości przynaglić. A hypochondrycy! A nerwowe panie! A mężatki zdrowe jak rybki a pragnące abyś je wysłał do kąpiel! Ach

Dobry wieczór panu Mecenasowi! A, prawdziwie, powinszować muszę. — Bronił pan dziś przed krótkami niepoprawnego złodzieja i podpalacza po mistrzowsku. Szmata z żarzącym węglem w jego rękę widziana przed pożarem, i po gorliwym udziale w wynoszeniu rzeczy z płonącego domu znalezione u niego przedmioty „uratowane“ — rzuciły wprawdzie fałszywe światło na oskarżonego, ale czyż jego przeszłość spędzona w kryminale za podobną zbrodnię, którą ciężko odpokutował, nie każe raczej przypuszczać, że te poszlaki dzisiejsze to

tylko pozór ludzający nieszczęsnym dla niego zbiegiem okoliczności?

Prześliczna była twoja mowa, panie menecasio, przekonywujące argumenta! Szkoda tylko, że oskarżony, chociaż szczwany lis, przy najpiękniejszym ustępie — nie wiem z jakiego powodu parsknął nagle rubasznym śmiechem. — Śmiech był zaiste kompromitujący. Nie straciłeś jednak przytomności.

— Czy winny śmiać się tak potrafi w tak stanowczej chwili? — zapytałeś z emfazą.

Otóż i nasz znakomity artysta dramatyczny! Pozwól pan abym mu wynurzył uwielbienie moje dla jego gry wczorajszej. Ta nagła przerwa w monologu pańskim w trzecim akcie, podczas której pan w niemej grze postąpiłeś chwiejnym krokiem na przód sceny, ogromne sprawiła wrażenie. Wiadziałem już artystów europejskiej sławy w tej roli — a efektu, jaki to wczorajsze przerwanie monologu na mnie wywarło, nigdy nie doznałem jeszcze. Nikt jeszcze roli tej tak genialnie nie oddał.

Ale publiczność tutejsza! To zgroza! Wcale nie zrozumiała tej tak wybornie obmyślanej przerwy. Sądziła, że pan, zapomniawszy roli, ratowałeś się niemą gestykulacją, aby przez ten czas zbliżyć się do budki suflera...

Czyż się godzi tak znakomitego artystę o podobną błądę posadzać!

Słyszę, słyszę panie poruczniku, że opowiadasz o roku 1863. — Zgadłbym, że teraz mowa o twoich czynach bohaterskich pod Fajslawicami albo o wyprawie Aladara. Słyszałem już o jednym i drugim. Pierwszemu nie wierzę, o drugim wszyscy wiedzą.

Nie. Ty opowiadasz o genialnym planie strategicznym naszego Fabiusza Cunctatora, o szachowaniu półrocznem armii nieprzyjacielskiej nad granicą Podolską. Daj pokój, o tem nie opowiadaj przynajmniej, bo w to nawet generał nigdy nie wierzył.

O bohaterstwie twojem nie mów — bo choćbym nie miał powodu powątpiewania o twojej odwadze — obudziłaby się niewiara w mej duszy wobec ciągłego „szwadronowania“. — Ludzie prawdziwej odwagi inaczej mówią od ciebie.

Mam dobrego znajomego, który dał niejeden w życiu dowód prawdziwego męstwa. Miał on to nieszczęście, że nie żywiąc w sercu najmniejszej nienawiści do Włochów i Francuzów, zmuszony był potykać się z nimi pod Solferinem. Wśród gradu kul stał on jak na mustrze, a zapalał spokojnie papierosa, gdy całe szeregi padały pod morderczym ogniem armatnim. Cuda opowiadano mi o jego waleczności.

Gdy wrócił do kraju po skończonej kampanii, zapytałem go otwarcie:

— Powiedz mi szczerze, skąd cię zebrała ochota do tych bohaterskich czynów, o których opowiadają?

— Nie wierz temu — odrzekł — to bajki. Skóra na mnie drżała, bałem się okrutnie, aby nie stehórzyć, bo toby był wielki wstyd. Ta bojaźń uratowała mnie. A te czyny bohaterskie, o których opowiadają!... Zmuszony byłem do tych junakeryi, boby się było inaczej z pewnością wydało, że tchórzę.

Upadam do nóg panu preze... marszałkowi do brodziejowi. Jakto, opuściłeś pan swój powiat i przyjechałeś do nas do miasteczka? A czy na długo?

Prezes. Najdłużej na kilka dni. Trzeba wracać do domu. Tyle mamy czynności w wydziale powiatowym! Wydołać trudno. Dwa razy tyle liczb mamy w naszym protokole podawczym co powiat X., z którym graniczymy na zachód, trzy razy tyle niż powiat Y., z którym graniczymy na północ.

Ja. Słyszałem, słyszałem, że w pańskim powiecie starostwo i wydział rywalizują z sobą w tej mierze... Tyle liczb w protokole podawczym! Jakież piękne świadectwo gorliwości! Matematyczne! (Na stronie: szkoda tylko, że drogi w pańskim powiecie takie fatalne, że wszystkie mosty dziurawe, że w gminach nieład większy niż gdziekolwiek indziej, że inwentarze majątków gminnych nie spisane, że szkoły w zupełnem zaniedbanu...)

Prezes. Robię co mogę...

Ja (na stronie). Sekretarz pisze Schieber a pan podpisujesz.

Prezes. Zaniedbuję własne interesa.

Ja (na stronie). Tak jak pan zawsze czyniłeś.

Prezes. Nie tak jak inni prezesowie, którzy częstokroć nie mieszkają nawet w swoich powiatach..

Ja. O tych przypuszczać należy, że zaprowadzili taki ład wzorowy w swoich powiatach, iż się tam teraz już bez nich obejdzie..

Prezes. Tylko oni bez prezesostwa obejść się nie mogą.

Ja. Czy tak?

Prezes. Oczywiście. Co do mnie posądzonym być o to nie mogę, a mam nadzieję, że żywotne krajowe sprawy, któreśmy poruszyli w naszej radzie powiatowej i kilkanaście memoriałów, któreśmy w tych sprawach przedłożyli sejmowi, znajdą kiedyś należyte uznanie. — I tak podaliśmy n. p.:

1) memoriał w sprawie wykupna propinacyi;

2) w sprawie powiększenia wywozu surowych naszych produktów, projekt nowej regulacyi żeglugi na morzu śródziemnem i zmiany niektórych punktów obowiązujących dziś w tej mierze traktatów — celem poparcia tegoż przez sejm krajowy;

3) wniosek motywowany, aby z powodu wielkiej wadliwości ustaw krajowych z jednej strony, a rzadkich i krótkich zebrań sejm z drugiej, sejm

przełał na wydział krajowy prawo uchwalania zmian potrzebnych w istniejących ustawach i przedkładania takowych do sankcyi;

4) memoriał w sprawie zaopatrzenia wojska, a przynajmniej urlopników w tak zwane „brod-saki“ z mocniejszego niż dotąd płótna — gdyż przez prędkie darcie się takowych zwiększają się wydatki na cele wojskowe, a stąd i podatki, któremi nasz powiat i tak przeciążonym się czuje;

5) podanie o wyznaczenie z funduszów krajowych odpowiedniej kwoty celem ogłoszenia konkursowej nagrody za napisanie najlepszego dzieła, któreby wykazywało wyższość religii katolickiej nad wszelkie inne, a oraz podawało środki zapobiegające szerzącemu się między ludem wiejskim niedowiarstwu i obojętności w wypełnianiu niektórych nakazanych przez kościół obrządków;

6) okólnik do wszystkich rad powiatowych z wezwaniem, aby przez wzgląd na gwałtowną potrzebę zaprowadzenia w gimnazyach nauki nowożytnych języków, dopominając się u rady szkolnej krajowej i u rady państwa o tę reformę, zechciały zwracać uwagę tych wysokich władz na ważność nauki języka angielskiego i t. d. i t. d.

— Ach! kogóż to ja widzę! kochany panie Tobiaszu! Skądże to z powrotem? Pewnie z zagranicy?

— A tak, wyjechałem na parę miesięcy, aby trochę odetchnąć i orzeźwić umysł.

— Czy po jakim natężającym zajęciu?

— Ależ nie potrzeba „natężającego zajęcia“, aby tu osłabnąć ze znużenia i zanudzić się na śmierć. Dość tego gospodarstwa wiejskiego i tej autonomii, a tego gadania i gadania o rezolucyi i tych sporów i dzienników i tych trzysta towarzystw zawiązujących się lub zawiązanych! Nie należę do tego wszystkiego, ale uszy mnie bolą już i z tego, czego się mimowoli nasłuchiwać muszę.

— Gdzież pan byłeś?

— Zwiedzałem Szwajcaryę i Włochy. Spędziłem potem dłuższy czas w Nicei.

— Czy życie tam kosztowne?

— A broń Boże, żyćby tam można za bezcen, gdyby nie wydatki nieprzewidziane. Ach, ta emigracya! To istna plaga dla podróżujących! Czyhają na ciebie. Gdy tylko się dowiedzą, żeś Polak, oho! już przepadłeś. Grubo się musisz opłacić. Odczepić się nie chcą. Niepodobna się opędzić. O, grubo to kosztuje, grubo!

— A w Monaco dużo pan przegrałeś?

— Skądże panu wiadomo o tem?

— Wiem że to niedaleko od Nicei i że tam istnieje bank gry; przypuszczałem tedy, że wydawszy tyle na emigracyę, pojechałeś pan tam zapewne, aby się zrewanżować.

— Istotnie grałem trochę nieszczęśliwie tym ra-

zem. Ja nie lubię gry. Pojechałem tam nie dla własnej przyjemności, ale dla towarzystwa pewnej precudnie pięknej Włoszki, śpiewaczki z teatru „della Scala“, która...

— ...która zapewne także bardzo wiele świadczyła emigracyi naszej i chciała się zrewanżować...

— Nie żartuj pan. Patrz pan, dziennikarze siedzą tuż koło nas. Gotowi...

Jako? Czy sądzisz panie Tobiaszu, że dziennikarze nie wiedzą, co to jest błaża? że sami nie zanoszą czasem gorących modłów do tej bogini?

Zwierzył mi się były współpracownik pewnego organu, że redaktor tego pisma ma w szufladce swego biurka zawsze kilka szablonowych artykułów wstępnych w zapasie, które w każdym czasie drukowane być mogą i do każdej sytuacji politycznej się stosują. Treść ich upstrzona kilkoma komunałami, naszpikowana dziennikarskimi terminami, w zawitych frazesach wypowiada rzecz bardzo prostą i zwykle prawdziwą. Oto np. jeden z tematów wiecznie się powtarzających:

„To, cośmy przed miesiącem przepowiadali, spełniło się najzupełniej. Przedłużająca się niepewność pod względem obrotu, jaki sprawy na porządku dziennym będące wziąć mogą, wznieca we wszystkich dalej widzących uzasadnione obawy. Jakkolwiekby, przeciąganie się tego stanu niepe-

wności, pomimo ważnych zdarzeń, które co chwila sytuację polityczną zmieniać się zdają, uważać się godzi za opatrne zrządzenie, które uwadze stojących dziś u steru mężów ująć nie powinno... i t. d.“ — Albo:

„Sprawdziły się przewidywania nasze. — Zbiegi dyplomacyi, o ile domyslać się można, przyczyniając się w małej części do wyjaśnienia obecnego położenia i wzajemnych stosunków mocarstw europejskich, niemniej wedle wszelkiego prawdopodobieństwa nie zdołały dotąd uchylić wątpliwości niepokojących na przyszłość, a nawet, jak się zdaje, poniekąd do większego rzeczy doprowadziły zawikłania. Opatrzne zrządzeniem... i t. d.“.

Czy powiedzieć szanownym czytelnikom nieco jeszcze o korespondencyach pisywanych z różnych okolic świata na stole redakcyjnym? Czy może o liczbie prenumeratorów?

Agentura berlińska p Rudolfa Mosse wydaje corocznie tak zwaną taryfę inseratów, t. j. spis wszelkich ważniejszych pism czasowych i dzienników w pięciu częściach świata, z wykazem, ile które pismo ma prenumeratorów i ile żąda od wiersza za umieszczenie inseratu. Wpadł nam do rąk taki katalog z r. 1869. Wedle tego wykazu z pism berlińskich największą liczbę prenumeratorów ma *Kladderadatsch*. Z politycznych pism naszych najwięcej rozechodzi się (zawsze wedle wykazu pana Mosse) *Czasu* i *Gazety narodowej*, któ-

rych nakład ma wynosić po 3.500 egzemplarzy. Nad wszystkimi krajowemi pismami góruje jednak *Strzecha*, odtłaczana w 8.000 egzemplarzy, a tuż po niej *Pocztą handlowo-przemysłową*, w 6.000 egzemplarzy rozsyłana po kraju! Tego ostatniego pismka wyszło podobno na pół arkusza dwa numera, poczem — jak się zdaje — z braku prenumerantów zaprzestano wydawnictwa. Dość na tem.

Panie Hubercie, na pana teraz kolej. Wracasz pan z polowania. Błaga będzie mieć zatem czysto swoje pole do popisu. Wszak widocznie wyraz „uysliwy“ od „zmyślania“ pochodzi. Słuchaczów masz dosyć. My z szanownym czytelnikiem nasłuchaliśmy się już nieraz twoich opowiadań — wolimy zatem pomówić o czemś poważniejszym.

VII.

Jeszcze blaga. Przywóz i wywóz.

Czytelnik. Nazwałeś mój autorze blagę gallickiem bożyszczem, powiedzże mi, jak się to stało, że w naszej Galicyi bogini ta tytułu zyskała czeicieli, tak, iż jak widzę, wedle twego zdania, nie znajdziesz u nas i z latarnią człowieka, któryby jej nie hołdował — oczywiście oprócz mnie i ciebie?

J a. Nazwałem ją gallicką boginią, idąc za powszechnem zdaniem, lecz mówiąc szczerze, nie zastanawiałem się nad tem bliżej, czy bóstwo to i u nas od czasów niepamiętnych nie miało namiętnych wyznawców, jednym słowem, czy nie jest bóstwem rodzimem. Zresztą, skoro jeden z uczonych naszych dziejopisów dowiódł w sposób niezbity, że Krakus i Gracchus rzymski, to jedna i ta sama osoba, któż wie, czy się nie znajdzie drugi, który udowodni, że „Galicya“ od Gallów pochodzi? Nicby w tem nawet nie było dziwnego. Jeżeli bowiem nazwa „Galicyi“ pochodzi od Halicza, czemużby Halicz nie miał pochodzić od Gal-

lów? W takim razie byłbym usprawiedliwionym, nazywając blagę „gallicką“ boginią, wyrazy bowiem gallicki i galicyjski stałyby się nieledwie synonimami. — Nazywają nas „Francuzami północy“; czyż i to tak rozpowszechnione zdanie nie zdaje się świadczyć o wspólności naszego rodowodu z starożytnymi Gallami?

Nie dość na tem. Zamierzam z pomocą pewnego uczonego profesora napisać i przedłożyć towarzystwu naukowemu krakowskiemu do osądzenia kilkutomowe dzieło, w którem udowodnię, iż wyraz „blaga“ pochodzi ze Samskrytu i wykazę, jak brzmi w tej mowie; dalej, że pochodzące z odszukanego przez nas samskryckiego pierwiastku wyrazy, znajdują się we wszystkich aryjskich językach, a mianowicie także i w słowiańskich.

W polskiem słowie „błagać“ mamy ślad, że blaga odbierała cześć boską od naszych praojców, że się do niej modlono, że ją błagano.

Bardziej rozjaśnia rzecz wyraz rosyjski „blagorodny“. — Jakiż bowiem może być źródłosłów tego wyrazu? Człowiek blagorodny przychodzi na świat, rodzi się w ten sam sposób, jak każdy inny śmiertelnik, jak każdy inny żywocina-ssa-wiec, któremu tytuł blagorodnego nie przysłuża; cała różnica w tem, że blagorodnego matka wydaje na świat z pewną blagą, że blagorodny z blagą rodzi się. „Blagorodny“ oznacza zatem tyle, co z blagą urodzony, a „wysoko-

blagorodny“ tyle, co z wysoką blagą urodzony.

Dowodów takich rodzimości blagi mam więcej, a spodziewam się, że wyżej wspomniany uczony profesor, którego niniejszem do współpracownictwa najuprzejmiej zapraszam, w trójnasób mi ich tyle dostarczy.

* * *

Zapuszczając się w dalsze badania nad pytaniem, skąd blaga pochodzi, skąd się u nas wzięła, należałoby zastanowić się nad tem, o ile uzasadnionem jest mniemanie, że „młody człowiek“ (wyrażenie salonowe), wyjeżdżając z kraju „na wojaż“, przywozi z zagranicy sporą porcję blagi. Możeby się okazało, że „młody człowiek“ przeciwnie z sporą porcją blagi z kraju wyjeżdża, a popisując się nią za granicą, wraca do kraju nie z większą blagą, lecz tylko z większą wprawą w posługiwaniu się nią przy każdej sposobności.

Zaledwie minie słupy graniczne naszej ziemi, zaledwie stanie w pierwszym większym mieście. dajmy na to w Wrocławiu, w Wiedniu lub w Dreźnie, *un jeune homme comme il faut* zmienia zaraz całą swoją postawę. nastraja minę wedle zupełnie innego kamertonu. Pugilares jego dmie się i pusz, jakby miliony w sobie mieścił. Biedny pugilares — jakże on chudym powróci do domu! Chudym, ale jednakowoż nadętym.

Już na dworcu kolei szuka nasz wojażer uprzejmie dwukonnego fiakra, choć mu się omnibus i kilka jednokonek nastręcza. Gdzieżby taka wielka figura do wielkiego miasta jednym koniem wjechać mogła! Gdyby mógł, wjechałby czterema lub sześcioma końmi. Na nieszczęście niema tam ani poczwórnych, ani poszóstnych powozów. Pyta woźnica, dokąd ma zajechać. Na ustach młodzieńca stoi nazwa jednego z tańszych, ale porządných hotelów, który mu w domu zalecono, lecz żenuje się wobec cudzoziemca wymienić hotel tań; cudzoziemiec sądziłby, że go nie stać na to, aby do najdroższego zajechał. Fiakier miałby go za nic. I nasz młodzieniec odpowiada z lekceważeniem: „Naturalnie, że do Munscha!“ — „Naturalnie, że pod złotą gęsć!“ — „Naturalnie, że do Wiktoryi!“

Zajeżdża przed wskazany hotel. Wylatuje szwajcar, *Zimmerkelner*, wytacza się gospodarz. Mały pokój na drugim lub trzecim piętrze wystarczyłby młodzieniaszkowi; on pyta o pomieszkowanie na pierwszym. Wprowadzony do przepysznie umeblowanych i dywanem wyścielonych pokoiów, okazuje niezadowolnienie.

— *Ist kein Salon dabei?* — pyta np. dwudziestoletni pan Mulcio, który w domu rodzicielskim w Liczykopach przeżył lat kilkanaście w małej izdebce w oficynach, w której zaledwie łóżko, szafa, stół i cztery krzesła się mieściły.

— *Ja, Herr Graf!* — i do dwóch obszernych pokojów przybywa trzeci salon.

Herr Graf! Herr Graf! co za dźwięczny wyraz! Mulcio czuje się godnym tego tytułu. Tak mu jakoś dziwno się robi na sercu, jakby w samej rzeczy był hrabią. Ślubuje sobie w duszy wszystko czynić, co w jego mocy, aby i nadal okazać się godnym tytułu, którym go, w jego własnem przekonaniu, uzacnił *Zimmerkelner*. Ale co tu zrobić? Aha, już wie.

— Zamów mi pan łożę na dzisiejszy wieczór w operze...

— *Ja, Herr Graf!*

— Potrzebuję remizy na cały dzień...

— *Zu dienen, Herr Graf!*

— *Lohndienera* na wyłączne moje usługi...

— *Ja wohl, Herr Graf!* — i na te wszystkie żądania odpowiada kelner z tym samym zawsze spokojem, z obojętnością, jakby to nic. Mulcio dziwi się, że się kelner nie dziwi. Przestrasza go to. Bije się z myślami, jakby tu okazać, że jest wielkim panem, że jest prawdziwym grafem! To kłopot! Czegoby tu jeszcze zażądać?

Nie bój się Mulciu, nauczysz się.

Jakiż pierwszy sprawunek w wielkim mieście? Mulcio zamawia sobie bilety wizytowe z herbem i dziewięcioperłową koroną. Między imieniem i nazwiskiem umieszcza nazwę szlacheckiego herbu,

która jednakowoż żadnemu z jego antenatów za przydomek nie służyła.

Mulcio idzie na obiad. Je *à la carte*. Wybiera potrawy nie te, które lubi, ale co najdroższe. I znowu się dziwi, że nie zaimponował kelnerowi. Próbuje innego środka. Podane mu przewybornie sporządzone potrawy, którymby i najwybredniejszy gastronom nie zarzucić nie mógł, Mulcio kosztuje i odsuwa z kwaśną miną, narzekając przed kelnerem, że wszystko niesmaczne, nie do jedzenia. Używa przytem nawet wyrazu dość niegrzecznego, który naszym kopcidymom często się o uszy obija. To kelnerowi nie imponuje, ale go obraża. Mulciu! Mulciu! jadłeś w domu z apetytem kapuśniak, białą szluskę mięsa, pierogi z serem, nie grymasujesz teraz, bo mi wstyd za ciebie.

Jedź na operę, bo już późno. A pamiętaj, wejdź dopiero w połowie pierwszego aktu do twej łoży i z hałasem. A podczas przedstawienia nie patrz bezustannie na scenę, bo to nie wypada; odwracaj się jak najczęściej, jakbyś tę operę już ze sto razy słyszał; udawaj roztargnionego, znudzonego i ziewaj *comme un jeune homme blasé*.

Brawo Mulciu! Możesz wracać do domu. Nie potrzeba ci jechać do Paryża „dla ukończenia edukacji“ i uczyć się blagi francuskiej. Masz już polskiej blagi dostateczny zapas. Wystarczy dla ciebie i dla twoich współobywateli. Przyniesiesz zaszczyt nazwisku twemu i twemu krajowi. Błaga

twoja znajdzie dość sposobności w ojczyźnie, aby w całym zaświecić blasku, lecz niestety, polem jej chwały nie będzie restauracya ani łoża opery...

* * *

I nasz Staszek pocziwy wyjeżdża za granicę. Skąpi, oszczędza jak może i umie, bo fundusz niewielki dali rodzice na drogę, a i to z trudnością im przyszło. Sami się teraz będą musieli ograniczyć w wydatkach i niejednego sobie odmówić. Wie on o tem i pamięta. Ciągłe ma to na myśli i nie wyrzuci dla swoich fantazyi z mozołą uzbieranego grosza. Chciałby on za ten szczupły fundusik cały świat objechać, gdyby wystarczyło. Cóż, kiedy nie wystarczy. A tu jeszcze chciałoby się chłopcu przywieść choć drobne jakieś upominki i matce i siostrze i... jeszcze komuś.

Z ściśnionem sercem opuszczał on dom rodzinny, tak samo jak gdy go ojciec po raz pierwszy do szkół odwoził, do pobliskiego miasteczka, o trzy mile. Wszak to pierwsza jego wycieczka w świat daleki. Pierwsza, a kto wie czy i nie ostatnia. Wróciwszy, trzeba będzie jąć się pracy: rodzeństwo liczne, mająteczek nieduży, obowiązki ciężkie.

Odpędza Staszek teraz te myśli o przyszłości, a rozważa tylko jakby tu najwięcej widzieć, najwięcej skorzystać. Za pomalą czas mu bieży, za wolno leci lokomotywa, chciałby już czempnąć

urzęc te arcydzieła sztuki, te cuda europejskiego przemysłu. A jeszcze jedną nadzieją pieści się w duszy. W pularesie ma listy polecające do kilku znakomitości naszych na tułactwie.

Z Kohlfurt aż do Drezna jechałem z tobą Staszku samotrzeć w jednym wagonie. Miałeś mnie za Niemca i nie zwracałeś na mnie uwagi, a ja milczałem, aby tem lepiej cię poznać przysłuchując się twojej rozmowie z trzecim naszym towarzyszem podróży, z którym jechałeś razem zapewne z Wrocławia. Był nim jakiś Amerykanin z Filadelfii, od lat kilkunastu we Francyi zamieszkały i płynnie po francusku mówiący. Pół-Amerykanin, pół-Francuz. Twardy republikanin, a jednak rozmowny jak Francuz i z stosunkami europejskimi o tyle przynajmniej obeznany, iż nie była mu obcą legendowa jakaś wiadomość o nieszczęściach Polski, a Kościuszkę i Puławskiego (o których wiedział z dziejów własnej ojczyzny), nie poczytywał za liberałów moskiewskich, jak to czyni wielka część jego współziomków.

Opowiadałeś mu o Polsce kochany Staszku, o jej republikańskiej swobodzie i republikańskich cnotach jej synów, o misyi, jaką przez tyle wieków wiernie spełniała, wreszcie o przyczynach jej upadku i niepowodzeniu jej powstań. Amerykanina zrazu niewiele historia nasza zdawała się obchodzić. Był jednak grzecznym jak Francuz, słuchał i zapytywał. Zdziwiło go tylko, gdy się dowiedział,

że Polska była rzecząpospolitą. Widocznie zjednało go to dla naszego narodu. Wyraził przekonanie, „że naród, który zaznał swobód republikańskich, nie może długo pozostać w niewoli“ i począł wypytywać o stan obecny trzech części rozszarpanej ojczyzny.

Zacząłeś mu Staszku opowiadać o prześladowaniach narodowości naszej i o strasznym uciemieniu, które nam jednakże nie odebrało wiary w lepszą przyszłość. Była mowa i o rzezi prąskiej i o porywaniu dzieci, o cytadeli i o Kufsteinie, o Sybirze i o nerczyńskich kopalniach, a wreszcie o ostatnim powstaniu i ostatnich mordach i ukazach moskiewskich. W opowiadaniu twem dobiebrałeś barw najjaskrawszych, podnosiłeś fakta nieznanego w dziejach okrucieństwa, a nawet zdarzenia, które się stały głośniami i pamiętnymi przez swą wyjątkowość, przedstawiałeś jako rzecz zwykłą i codzienną, jako regułę, jako normę postępowania ciemieńców. Powiem ci szczerze, uczyniłeś rzecz, którą dotąd w tym przedmiocie uważałem za niemożliwą: przesadziłeś.

Amerykanin kilka razy spojrział powątpiewając, raz się nawet uśmiechnął. Czuć było odtąd z jego uwag i zapytań, że chłodnie dla sprawy, dla której chciałeś zjednać jego sympatyę. Błaga przeciwny zamiarowi osiągnął skutek.

Spostrzegłeś zobojętnienie twego słuchacza, lecz nie domyśliłeś się przyczyny. Owszem, chcąc roz-

grzać i porwać swoją wymową oziębłego przemysłowca, wpadałeś w coraz większy zapal, przesadzałeś coraz bardziej i coraz niezręcznie.

Chciałeś pocziwy Staszku przysłużyć się po drodze ojczystej sprawie, korzystając z nadarzonej sposobności spropagować Amerykanina bodaj na apostoła krucjaty cywilizowanego świata przeciw Moskwie. Osiągnęś skutek wręcz przeciwny, bo Amerykanin dostrzegłszy przesady, w końcu wszystko coś mówił poczytał za humbug, a ciebie porównał w myśli do wędrującego kaznodziei Metodystów lub Shakerów.

— Czy wielu masz pan podobnie myślących patriotów republikańców w swej ojczyźnie? — zapytał wreszcie.

— Cały naród! starzy i młodzi, bogaci i ubodzy, mieszkańcy miast i wieśniacy!

— A, jeśli tak — zauważył Amerykanin — toby Polska dawno już była niepodległą, gdyby nie była tak małym krajem.

— Jaki to mały kraj? — oburzył się Staszek. — Od Bałtyku po Czarne morze!

— Ileż ludności? kilkanaście milionów najwięcej?

Zgniewało to Staszka, że kilkanaście milionów to mało. Chciał zaimponować Ameryce.

— Trzydzieści i siedm milionów jednolitego narodu! — zawołał. — Zdaje mi

się, że się zarumienił przy tem. Zdaje mi się, żeśmy się oba zarumienili.

Staszku! Staszku! zostawiłeś najgorsze w świecie wspomnienie o sobie i o Polakach w pamięci cudzoziemca. Uwierzy on teraz lada jakiemu Prusakowi, że „stronnictwo przewrotu“ w Polsce to stronnictwo reakcyi, to klika zamaskowanych arystokratów i klerykałów, uwierzy Moskalowi, że Polaków tylko cztery miliony Pan Bóg jeszcze cierpi na kuli ziemskiej.

Blagowałeś przed pierwszym cudzoziemcem, z którym przypadek na kilka godzin w jednym cie zamknął wagonie, cóż ty dopiero nagadasz współbraciom na tulaństwie dla ich pociechy i pokrzepienia na duchu! Jakimiż ty majakami ludzi ich będziesz o olbrzymim postępie moralnym w kraju, o stanowczem zwycięstwie postępowych zasad we wszystkich kierunkach narodowej pracy, we wszystkich warstwach naszego społeczeństwa, o patriotycznym usposobieniu ludu wiejskiego, o wzrastającej potędze demokratycznego stronnictwa i t. d. i t. d. Ludzić ich będziesz, przygotowując im tem boleśniejsze rozczarowanie.

I ty to robisz w dobrym celu?... Nie mógłbyś nic gorszego wymyślić w celu najgorszym.

Sprzeniewierzasz się najświętszym zasadom twoim. Wierzysz bardziej w potęgę kłamstwa niż w potęgę prawdy.

Zapominasz o słowach apostoła, stwierdzonych tylokrotnie w historii ludzkości:

Cognoscetis veritatem et veritas liberabit vos.

* * *

Czy znasz Staszku dzieje roku 1846?

W zwyczaj już weszło walić cały ciężar odpowiedzialności za wybuch z taką zbrodniczą lekko-myślnością obliczony i rozpoczęty na t. zw. centralizacyę. Nie wiele w tem zdaniu prawdy.

Ci, którzy może najwięcej byli winni, po strasznej katastrofie umyli ręce, powiedzieli że ich zwiedziono, i zwykłym trybem umysłu ludzkiego, który nierad się sam obwinia, wmawiali i wmówili wreszcie w drugich i w siebie samych, że winnymi są nieobecni, emigracya, towarzystwo demokratyczne.

Ach, z jakąż skwapliwością pochwyliły i podniosły te oskarżenia pewne koterye magnackie! Wszak uśmiechała im się nadzieja zdeptania raz na zawsze w opinii narodu nienawistnej hydry demokratycznej! Niewystarczało im jednak obwiniać, potrzeba było oszczerstwa. Za szalone teoryjki terrorystyczne i bezmyślnie a na własną rękę rzucone w świat hajdamackie piosenki kilku niedowarzonych zapaleńców, zrzucać poczęto odpowiedzialność w złą wierzę na całą demokrację, posunięto się nawet do bezczelnego twierdzenia, że to

ona i z świadomością celów swych wywołała rzeź! Za nic Metternichy i Breindle! Mniejsza, że teoryjki te nigdy do ludu nie doszły, mniejsza, że piosnek tych Szelowe bandy nie śpiewały. Mniejsza i o to wreszcie, że to nie nasz lud rolniczy skalał się mordem współbraci, ale tylko jego męty, parte niepo- hamowaną żądzą rabunku i swawoli, a suto opła- cane przez urzędowych podżegaczy. „*Calomniez, ca- lomniez seulement, il en restera toujours quelque chose*“ — powtarzała w duchu klika magnackich zauszników i robiła swoje.

A wiesz Staszku kto najbardziej winien nie- wczesnemu ruchowi i krwawym jego następstwom? Powiem ci. — Najbardziej winna bła- ga polska. Wierżaj mi: ona gorsza od Moskali i Niem- ców najzacieklejszych przeciw narodowi naszemu. Winni byli poczciwcy tobie podobni i wielu lepszych od ciebie. Jeśli emigracya w czem winna, to tylko uzurpacją kierownictwa, lecz czasy owe i apatya kraju starczą na jej usprawiedliwienie. Plany swoje budowała ona na podstawie sprawozdań przesyłanych z kraju. — A wiesz ty jakie były te sprawo- zdania?

Twoi sąsiedzi, twoi krewni, twoi starsi bracia po duchu. jeden wynosił się nad drugiego błagą i przechwałkami. W tej podziemnej robocie każdy chciał się wydać lepszym od swych sąsiadów patryotą, gorliwszym i gorętszym od innych...

Udało się komu wciągnąć trzech znajomych do

związku, to wystarczało mu już ich zapewnienie, że zjedną swoich przyjaciół, liczył zatem spisko- wych trzydziestu; udało mu się na dziesięciu wy- módz połowiczne jakie przyrzeczenie lub ogólni- kowe tylko oświadczenie, „że się nie schowają za piec, gdy ojczyzna zawoła“ i t. p., to on już wpi- sał ich na listę. Zdarzyło mu się słyszeć w swej wiosce chłopą użalającego się na niesprawiedliwość tego lub owego niemca urzędnika, na pobór rekruta, na podatek i daniny, powtórzył mu który owo odwieczne zdanie: „Ciężkie czasy, dawniej lepiej bywało!“ i t. p., on już doniósł w sprawo- zdaniu o powszechnem rozjątrzeniu ludu wiejskiego i nienawiści jego do rządu, o niecierpliwem oczę- kiwaniu sposobnej chwili, aby zrzucić cisnące go jarzmo, o tęsknocie jego za dawnymi czasami. Udane częstokroć i interesowane oświadczenia przy- wiązania „poddanych“ do swego „dziedzica“, wy- jątkowe dowody rzeczywistej przychylności ze strony tego lub owego włościanina, stanowiły najobfitszy materiał pseudo demokratycznych przechwałek.

Co szczególniejsza: nie sama tylko chęć wynie- sienia się nad innych, okazania się gorliwszym, zdobycia sobie urojonego dygnitarstwa, wywoły- wała tę zgubną dla sprawy błagę w ludziach — zresztą prawych i zdolnych do poświęcenia. Nie sam także lekkomyślny optymizm był jej przy- czyną. Pożyteczność wzajemnego okłamywania się była aksjomatem, o którym nikt prawie nie wątpił.

Nie głoszono, nie uczono jej wprawdzie jawnie, ale powtarzano sobie na ucho, że „nie bardziej ducha nie podnosi, że niema skuteczniejszego środka propagandy, niema lepszego bodźca do obudzenia sprężystości w związkowych“. „Bez tego się nie obejdzie“ mawiano. Błaga była systemem.

Konieczność ustawicznego kłamania wobec rządu argusowemi śledzącego oczyma, usposobiła tak umysły najpocziwsze, nastroiła je tak, przetworzyła, że kłamstwo stało się im drugą naturą, kłamstwo było w ich pojęciu najcenniejszą sztuką, uniwersalnym środkiem.

Po szczeblach związkowych szło kłamstwo w kształcie raportów z dołu do góry, na każdym szczeblu rosnące w sile i większą okryte powagą. A na fałszywych raportach budowano w górze plany i pisano odezwy również nie bez kłamliwej ułożone blagi.

Oklamano się wzajemnie i zawiedziono się na sobie.

Ileż krwi, ile łez to kosztowało! Przesadne raporta ze strony jednostek zdawały się małym grzechem, rzeczą nie wielkiej wagi, lecz te kropelki spłynęły razem i zalały kraj powodzią!

* * *

Dziś inne czasy. — Minęły, bodaj na zawsze, czasy spiskowe dla Galicyi. Po ciężkich zresztą

doświadczeniach, jakie Polska przeżyła, nie znajdziesz już blagierów *à la* 1846 ani w kraju ani w emigracyi. Inne dziś rodzaje blagi, lecz równie szkodliwe zapanowały u nas. Różnemi truliśmy się już truciznami, dziś założyliśmy nogi pod siebie, pofałdowaliśmy czoła i palimy opium. *Allah il allah!*

Blagiery w dzisiejszej emigracyi są stosunkowo mniej liczni niż dawniej. — Oprócz znanego blagiera „z brodą rozczochraną od Nadiru do Zenitu“, nie zdajdziesz może nikogo ze znakomitszych ludzi pomiędzy nimi. Zwinięte od dawna kancelarye i biura dyplomatyczne hotelu Lambert, przestały już imponować przybyłemu szlachcicowi liczbą niby zatrudnionych darmozjadów. Nie podają tam już do przeczytania owego memoriału usiłowań i związanych stosunków dyplomatycznych ze wszystkimi prawie dworami europejskimi i z niektórymi w Azji.

Zmarły w domu obłąkanych sekretarz nie zaręcza już słowem honoru, że „książę jest najlepszym demokratą w Polsce“, że Tomasz Antoni Olizarowski jest większym wieszczem od Mickiewicza, a kozacy Sadyka Paszy najdzielniejszym wojskiem na świecie. Przestały wychodzić *Wiadomości Polskie*, w których raport o jakiejś stoczonej przez kozaków Sadyka utarczce kończył się dosłownie wiadomością, — że „przeszło dwóch“ zginęło.

Inne dziś czasy. Inne dziś blagi!

VIII.

Owce i Pseudo-owce.

Gdybym miał pióro autora „Szkiców z nieodległej przeszłości“, opowiedziałbym wam szanowni czytelnicy scenę wyborczą, która się działa w pewnym miasteczku, a z której okazało się jak na dłoni, co to są owce i czem się pseudo-owce różnią od owiec. Niestety, pióra tego nie mam, a gdybym je miał, nie umiałbym może niem władać. Mieć go zaś nie mogę, bo je sam autor podobno czy skruszył, czy zgubił, jak się z jego milczenia od lat kilku okazuje. Zamienił je na pióro dramatyczne. Winszujemy mu dotychczasowego sukcesu na nowej drodze i życzymy powołania na przyszłość, a jednak żal nam, że zaprzestał pisywać to jednym piórem to drugim na przemiany i jesteście przekonani, iż owe skruszone czy zagubione ostre piórko zjednałoby mu pierwszorzędne stanowisko w zacnej humorystyce polskiej. Wobec tak licznych teraz u nas a nawet utalentowanych humorystów-paszkwilantów, którzy

zamiast wyszydząć wady społeczeństwa i jego warstw, rzucają się na osobistości, rozdrażniają zamiast prowadzić do opamiętania, nie godziło się przecież młodemu autorowi rzucać w kąt pióro z tak serdecznem uznaniem powitane przez wszystkich ludzi dobrej woli, kazać umilknąć satyrze, którą dobrze mógł usłużyć krajowi. Przyjaciół nasz nie weźmie nam za złe tego pierwszego upomnienia, może co napisze o owcach i owczarstwie polskiem, tej prawdziwej pladze narodowej.

— Co to są owce?

Co są owce czworonożne, to zapewne wiadomo każdemu z szanownych czytelników naszych. Nie wątpimy nawet, że z łatwością odróżnić potrafią zwykłą rasę naszych górskich „koziarek“ czyli pospolitych owiec od elektoralnych merynosów, negrettów i Shirtingów. Szanowna czytelniczka wychowana w klasztorze, być może, iż nie widziała dotąd żywego egzemplarza tego stworzenia i nasłuchawszy się do przesyty o owieczkach z ust księdza katechety, niema dokładnego wyobrażenia jak prawdziwa owca wygląda, ale przypuszczamy, iż wie przynajmniej o tem, że oprócz dwunożnych, istnieją także czworonożne owieczki. Inni przeciwnie, wiedzą tylko o czworonożnych owcach, a o dwunożnych wiedzieć nie chcą; przeczą nawet, że takowe istnieją, a to z obawy, aby w razie skonstatowania tego

faktu przez opinię publiczną, nie zaliczono ich samych do tej rasy.

Otóż istnieją dwunożne owce! dalipan istnieją! a co więcej, dwunożnych, wąsatych owiec jest tak wiele w naszej Galicyi po wsiach i po miastach, iż istnienie ich nie da się zaprzeczyć, jak n. p. przeczą istnieniu smoków, feniksów, jednorożców i t. p.

Charakterystyczną jest rzeczą, iż owcę czworonożną zarówno łatwo jest poznać, czy to, gdy osobny tego rodzaju egzemplarz przedstawia się oczom naszym, czy też, gdy widzimy ich wiele stojących obok siebie.

Przeciwnie, owcę dwunożną najbieglejszy badacz czasem nie pozna, jeśli w jednym przedstawi się jego oczom okazie, wydaje się bowiem nader podobną do człowieka. Natomiast pozna je każdy początkujący nawet naturalista, gdy ich się zbierze cała gromada, a owczarz stanie między niemi. Wtedy nikt się nie pomyli i za ludzi ich nie poczyta. Bez owczarza idą zaraz w rozsypkę; ta i owa przyłączy się do innej owczej gromadki, inne zaś blakają się samopas między ludźmi i wydają się podobnemi do ludzi. Zdarza się nawet podobno, iż owieczka taka zbłąkana, stając się coraz podobniejszą do człowieka, w końcu w rzeczy samej człowiekiem się staje. Co do nas jednakowoż nie moglibyśmy za ten fakt zaręczyć. Zdaje nam się, że przyrodnicy, którzy mieli być świadkami takiego nadzwyczajnego przeistoczenia, zaślepieni transmu-

tacyjną teorią Darwina, dali się złudzić pozorom. Wszakże sam genialny autor dzieła: „On the origin of species“ przyznaje, iż do tak wielkiego przekształcenia potrzeba znacznego przeciągu czasu, często wielu pokoleń. My atoli na własnem opierając się badaniu, mamy nadzieję, iż metamorfoza w danych okolicznościach rychlej przyjść może do skutku i tuszmy, że już jagnięta splodzone z wyżej wspomnianych owiec wyrosną na ludzi. Co dai Boże. Amen.

Inna jest jeszcze, niemniej charakterystyczna cecha, różniąca dwunożne od czworonożnych owiec. Dwunożne owce nie cierpią, aby je zwać owcami. Owczarze wiedzą o tem dobrze i wystrzegają się nawet, aby wobec swej trzódki wyraz „owce“ wymówić.

Pewien znakomity owczarz oczerniony raz został przez pewnego demagoga, (przepraszam — chciałem powiedzieć wilka), że potulną swoją trzódkę nazwał „owcami“. Owce uwierzyły wilkowi — i wyobraźcie sobie moi państwo! wszczął się formalny bunt: owce poczęły się rozbiegać na cztery wiatry, a kilka baranów dało nawet słowo honoru, że owczarza poczęstują rogami. — Cóż się stało?

Wkrótce potem odbyła się pamiętna w owej okolicy wystawa gospodarcza. Znakomitsi gospodarze mieli przy tej sposobności odczytać różne wypracowane przez się rozprawy w przedmiocie

uprawy roli, nasion pastewnych, chowu bydła, technologii, jedwabnictwa i t. p. Naszemu owczarzowi przypadło zadanie powiedzieć coś o chowie owiec. Stał więc na zaimprovizowanej trybunie i wyjął z zanadru przygotowaną rozprawę. Zdaje się jednak, iż ktoś go musiał przestrzedz o niegodnej potwarzy którą wilk na niego rzucić się ośmielił, dość, że ilekroć przychodził w jego rozprawie ten fatalny, o dwuznaczność inkryminowany wyraz „owce“, nasz prelegent zniżał swój głos i wymawiał dwuznaczne słowo w zaledwie dosłyszalny sposób. Obawiał się widocznie, aby liczni reprezentanci owczego rodu na wystawie nie poczytali pierwszego spadku liczby mnogiej za piąty. Mówiąc „owce“, zniżał głos, — aby *nominativus* drażliwego wyrazu nie brzmiał jak *vocativus* z wykrzyknikiem.

Okazało się tedy najdowodniej, iż wilk rozmiął się z prawdą. Skupiły się owce bardziej niż wprzód koło swego owczarza, oddając mu w ręce swoje losy. — A ten je prowadzi gdzie chce.

A wiecie jak się prowadzi wąsate owce? jak się je nawołuje? Nie woła się na nie baś-baś-baziu! ani na-na-na-na! ani jak na Podolu: na byrr-na pyrr! Zgania się je do kupy staropolskim sposobem: czapką i papką. Są nawet czy okolice tak sprzyjające owczarstwu, czy też trzodki takiej rasy posłusznej, że samą już czapką spędzić się dają, a bez papki się obejdzie. Wiele jednakże zależy od dwóch rzeczy. Naprzód: od

kształtu owczarskiej czapki. Powtóre: od ruchu ręki przy uchylaniu czapki z głowy.

Kształt czapki najczęściej bywa podobnym do mitry lub korony, czasem podobnym do pełnego worka. Jest jednak odrębna pewna rasa owiec po miastach, które takimi czapkami zganiać się nie dają. Nie mniej przeto i w miastach nie brak owiec pierwszego gatunku.

* * *

Nie pamiętam, a może nie chcę przypomnieć sobie roku, w którym się to działo, dość, że się działo w Galicyi, w obwodzie xxxskim. Dość to daleko od miejsca mego zamieszkania, które dla ciebie Szanowny Czytelniku wieczną powinno pozostać tajemnicą.

Pojechałem tam, aby odwiedzić szkolnego koleżę, przyjaciela, osiadłego na wsi, którego od lat kilkunastu nie widziałem. Mój miły Boże! jakżeż on się zmienił! Z marzyciela, poety, pragnącego ogarnąć żrenicą i sercem „ludzkości całe ogromy“, snującego dalekie plany, stał się najprozaiczniejszą istotą pod słońcem. Treścią jego marzeń, jego planów, jego usiłowań i wytrwałej codziennej pracy, a osnową słów jego była teraz owczarnia — owczarnia i tylko owczarnia.

W owczarni mnie powitał, pożegnałem go w owczarni. Przez półtora dnia mego pobytu

u niego, oprócz pory obiadowej i wieczora spędzonego z nim na pogawędce o owcach i przeglądaniu metryki jego wychowanek, cały boży dzień przesiadzić musiałem dla jego towarzystwa w owczarni i słuchać jednostajnego beczenia, które memu przyjacielowi milej brzmi w ustach od najpiękniejszej symfonii.

Sortował, kazał łapać owcę po owcy, oglądał ją, przypatrywał się przez lupę jej kozuchowi na krzyżach, na karku, na łopatkach i pod brzuchem, macał jej zęby, jej kopytka, zapisywał starannie każdy szczegół do księgi, znać, wydawał rozporządzenia.

A ja tymczasem, jako niemy świadek, nie rozumiejąc tych manipulacji, zadumałem się nad tem, czy w tym jednostajnym blekocie: mee-mee! bee-bee! malują się jakie odcienia różnorodnych uczuć, czy wiecznie jedno i to samo.

Zdawało mi się, że beczenie to brzmi czasem jak przeciągłe „nie-nie!“, czasem jak żalosne „zł-zł!“, a czasem jak „wie-wie!“ — I tyle było rezultatu mych półtoradniowych owczarskich studyów.

Mój przyjaciel tymczasem nie zapominał o mnie i po swojemu starał się mnie zabawić. Ile razy przyprowadzono mu który z celniejszych egzemplarzy, wpadał w formalne zachwycenie i obracając się ku mnie, wołał:

— Patrzno, jakie to krzyże. Co? szerokie! Nogi krótkie, grube! A patrz, jak szeroko chodzi za-

dniemi! Welna po kolana! Krótka szyja, główka mała, podniesiona, welnista między uszami. A co? Oczy wesołe, nozdrza wilgotne: samo zdrowie!

— Obaczno, co za sztapel! runo zwarte! jak mur! Przypatrzyć się. Cóż welna? Nitkowata? Pajęczasta? Jak puch panie, a w karbiki!... Powiedz sam: Laryssowska nie lepsza. Bohorodeczany za nic, Strussów, Jagielnica! Takiego barana, jak ten, to w Kurowicach szukać, w Olejowie, w Giermakówce! Nie znajdziesz!

Słuchałem cierpliwie tych wywodów; powiem nawet, że słuchałem z pewnem uszanowaniem. Mój przyjaciel stał się z poety owczarzem, pomyślałem, ale owczarz to całą gębą. — To nie pseudo. Lepiej być owczarzem i tylko owczarzem, ale jak Bóg przykazał, niż pseudo-poetą, lub pseudo politykiem.

W nagrodę za zajęcie, jakie starałem się okazywać owczarskim wywodom mego przyjaciela, dostałem na dobranoc parę książek do czytania; po gazetę bowiem zapomniano posłać na pocztę. Weckerlin, Ywart, Mentzel, Oczapowski, Wodzicki: wszystko o owczarstwie. — Okropność!

Otworzyłem na los szczęścia którąś z tych książek i zacząłem czytać. Przedmowę i wstęp przeczytałem z uwagą, tembardziej, iż w nich o owcach nie było mowy. Dalsza jednakże lektura musiała

być nader zabawną, bo tak mnie rozmarzyła, że wkrótce zasnąłem, nie zgasiwszy świecy, która spaliła się przez noc do szczętu. Przez sen zdało mi się jeszcze, że słyszę niezapomniane „mee, mee! niee, niee! wiee, wiee!”

Nazajutrz rano gospodarz zastał mnie jeszcze w łóżku. Jakto? całą noc czytałeś? zapytał obaczwszy wypaloną świecę i rozłożoną na kołdrze książkę, która mi z ręki wypadła. Spojrzał ciekawie na tytuł.

— Aha, „Vademecum!” To sumienna praca. Ale na czym skończyłeś?... O kołowaciznie... O, w tej mierze autor się myli. Nie czytał Eschrichta, nie zna on przyczyn właściwych kołowacizny... Kołowacizna, czyli krętogłów jest to...

— Mój drogi — rzekłem zniecierpliwiony — nie mów dalej. Mam już dość twoich owiec i owczarstwa. Całą noc zdawało mi się słyszeć niee-niee i wiee-wiee! Śliczne to i niewinne stworzenia owce, bardzo poetyczne i wielce pożyteczne, ale cóżem temu winien: oto mam do nich jakąś wrodzoną i nieprzewycięzoną awersję! — Wyczytałem w Vademecum, że awersja do owiec jest zwykłą cechą każdego „ekonomy”, ale choćbyś mnie nazwał „karbowym” nawet, to ja się nie nawrócę. Wolę już dwunożne owce. Czy nie znasz jakiego środka na ich kołowaciznę?

Przyjaciel mój patrzył na mnie z zadziwieniem i boleśnie się uśmiechnął kiwając głową.

— Wolisz dwunożne owce — rzekł po chwili. — Ja — nie. Jeśli je jednak zobaczyć pragniesz, to pojedziemy dziś do miasteczka na przedwyborcze zgromadzenie. Będzie ich tam dosyć.

— Czy i właściciel tej owczarni dwunożnej tam będzie? — zapytałem.

— Nie. Będą tylko jego parobcy.

— Czy będzie zacięta walka wyborcza?

— Przy takiej przewadze liczebnej owiec, walka byłaby daremną.

Pojechaliśmy tedy.

* * *

W gościnnej sali małej oberży odbywało się przedwyborcze zgromadzenie. Nie powiem czy to była narada wyborców miejskich, czy wyborców z większych posiadłości, mniejsza o to. Wyborcy niektórych miast tak wybitnie okazali, przy ostatnich mianowicie wyborach do sejmu, swój owczy charakter, iż pod tym względem niewielkie między owcami tych dwóch grup zachodziła różnica.

Na wstępie uderzyło mnie spostrzeżenie, które mam zawdzięczyć świeżo nabytej w domu mego przyjaciela znajomości owczarskiej literatury. Píše Oczapowski, że owca przede wszystkim powinna być „beczkowatą”. Otóż dwunożne owce, które w ściśniętych szeregach większą połowę sali zajmowały, z małymi wyjątkami były beczkowate.

Za stołem przy ścianie siedział na fotelu beczkowaty prezydujący z łyżką w ręku. Ile razy wszczął się w zgromadzeniu niepokój, dzwonił on tą łyżką w stojącą przed nim szklankę, dzwonka bowiem zabrakło. Obok prezydującego stał mowca, wrzeszczał i gestykułował.

— ...Mój szanowny preopinant twierdzi, że nasi poprzedni posłowie nic nie zrobili. Ja się was pytam szanowni panowie, czy oni mogli co zrobić?...

— Nieeee — nieeee! — zawołała chórem gromada.

— Czy sprzeniewierzyli się zasadom swoim?...

— Nieeee — nieeee!

— Czy zawiedli zaufanie wasze?...

— Nieeee — nieeee!

— Mój szanowny preopinant zarzuca jednemu z posłów naszych, że milczał w sejmie, że w radzie państwa nie zabierał głosu... Ja się pytam, czyby się to na co było przydało, gdyby był mówił? Ja się pytam szanownego preopinanta i was wszystkich moi panowie, powiedzcie, ale szczerze, po staropolsku, z ręką na sercu: gdyby drogi czas i tak krótko wymierzone chwile sejmowej kadencji zabierali byli wszyscy oratorskimi popisami, czyby dobrze byli zrobili czy źle?

— Żleee — żleee! — wtórzyła gromada.

— Żle! — ciągnął mowca dalej. — A więc nie godzi nam się czynić zarzutów z tego właśnie, że jak prawemu obywatelowi przystoi, umiał posel

nasz wyzuc się z wszelkich osobistych ambicijek i próżności i izby sejmowej nie uważał za pole do zbierania łatwych wawrzynów a może do wywoływania oklasków galeryi...

Huczne oklaski. Pauza. Zasapany mowca pije wodę. Po chwili daje znak prezesowi, że chce mówić dalej. Prezes uderza łyżką w szklankę.

— Szanowny preopinant żąda jeszcze, aby nasi posłowie składali przed nami wyznanie wiary! Jakto? czyż my nie wiemy w co wierzą posłowie nasi? Wierzą w to, w co my wierzymy wszyscy jak jeden mąż!... A my wierzymy w nich i nie zawiedzie nas ta wiara. Wszakże znamy ich nie od dzisiaj... a choćbyśmy im nie dali mandatów, to samo ich stanowisko społeczne, ich ród i ich nazwisko czyni ich naturalnymi reprezentantami naszego obwodu... Żądać wyznania wiary? Moi panowie, czy sądzicie, że posel nasz nie wie czego od niego wymagamy? Czy sądzicie, że nie wie co nam najbardziej dolega? Czy sądzicie, że nie wie?...

— Wiece — wiece! — beczano dokoła.

— Chodźmy! — szepnąłem memu przyjacielowi. — Już mam dość.

— Czyż nie lepsza moja owczarnia? — zapytał.

— Prosić! tak jest, prosić wypada nam — ciągnął dalej orator — prosić naszego szanownego posła, który tyle cierpkich doznał zawodów, tyle gorzkich a nie zasłużonych przemówek za swoją

abnegację i poświęcenie, prosić, aby zechciał i nadal...

— Chodźmy! — powtórzyłem raz jeszcze i wyciągnąłem mego przyjaciela za ramię z sali.

* * *

Po najgorszej drodze tłukliśmy nasze kości przez trzy mile do owczarni mego przyjaciela.

— Wiesz co — rzekłem, dłuższe przerywając milczenie — ja to opiszę.

— Nie radzę — odpowiedział. — Pamiętaj coś czytał w *Vademecum*: „Mimo że owca ma reputację głupiego stworzenia, co nawet w przysłowie przeszło, jest ona drażliwą...”

— Tem lepiej: jeśli obaczą się w zwierciadle, może się zmieniać.

Mój przyjaciel potrząsł głową z niedowierzaniem.

— Czy sądzisz zresztą, — zapytał — że w tem zgromadzeniu same tylko były owce?

— Nie — odrzekłem. — Widziałem tam w kącie pod oknem garstkę ludzi, którzy nie beczeli z innymi. To zapewne oponenty?

— Oprócz nich było tam w tej gromadzie beczących nie mało ludzi rozsądnych, których tak jak ciebie raziła śmieszność tego postępowania.

— Niepodobna! Czemuż więc sami popadli w tę śmieszność?

— Gdybyś ich słyszał w domu, jak wygadują

na to nieszczęsne czapkowanie i służalstwo wobec naszych oligarchów, nie poznałbyś ich pewnie. Rozumieją oni bardzo dobrze położenie kraju. Wiedzą, że tak jak jest, jest źle i że rzeczy na lepsze zmienić się nie mogą, dopóki kraj na inny nie zdecydować się kierunek i innych nie obierze reprezentantów. Owca prawdziwa przeciwnie: ślepo ufa, ślepo wierzy. Dla niej rodowód i majątkowe stanowisko dostateczną jest zawsze rękojmią zdolności i dobrej woli kandydata, a co do jego zasad politycznych pod względem celu i środków, o to nie pyta, bo sama nie ma żadnych.

— A więc są owce prawdziwe i pseudo-owce! Ale wytłómaczcie mi powód tak niegodnego zachowania się owych pseudo-owiec.

— *Video meliora, proboque, deteriora sequor.* — W tem cały powód ich opaczego postępowania. Gdyby chcieli przyłączyć się do nielicznej opozycji, musieliby się narazić całej parenteli i klienteli jasnie wielmożnego posła, a może zerwanoby nawet na prawdę wszelkie z nimi stosunki. Próżność osobista a czasem i materialny interes stoi temu na zawadzie, a najbardziej przyzwyczajenie, lenistwo, kwietyzm, apatya. Przypisz to brakowi gorliwości obywatelskiej. — będziesz miał słuszność, ale są inne jeszcze powody. Porozumienia pomiędzy nimi niema i jest ono nawet niemożliwe, nie znają się bowiem wszyscy o tyle, aby mogli wiedzieć ile w tej gromadzie prawdziwych jest owiec

a ile ludzi w owczych maskach. Żaden z nich nie ma dość odwagi cywilnej aby zrzucić tę maskę przed innymi. Czują oni zresztą, iż opozycja nie-raz jeszcze w naszym obwodzie będzie musiała uleść owczej większości zanim sama zwycięży. Wielu z nich zwątpiło nawet zupełnie, aby opozycja zwyciężyć mogła. — Zrzucenie haniebnej maski odkładają zatem *ad calendas graecas, ad meliora tempora*, które może wnukom zaświecą... — Co więcej, trudności te w zerwaniu z służalczą tradycją powiększa jeszcze wzgląd na jeden ze skutków takiego kroku. — Gdyby wzięli na kiel i usiłowali nie dopuścić wyboru kandydata, którego, jak wyraził się fagas orator „samo stanowisko społeczne, ród i nazwisko czyni naturalnym reprezentantem obwodu“, w takim razie musieliby inną postawić kandydaturę. — Tu nie mała trudność, bo kandydatów opozycyjnych byłoby kilku, a żaden drugiego o głowę nie przerósł, to też prawdopodobnie żaden z nich nie chciałby ustąpić z placu. I tak, chociaż każdy z nich byłby lepszym od dzisiejszego posła, jak mówi Słowacki: „dla niezgody słońce, królem jest miesiąc“.

— A wiesz, jaka tego ostateczna przyczyna? — zawołałem. — Gdzieindziej ludzie skupiają się i łączą pod sztandarami zasad, u nas tylko w koło osobistości!

— Tak, ale przecież te osoby reprezentują zawsze jakąś zasadę.

— Niestety, rzadko kiedy. Bywają między niemi tacy, którzy nie są zdolni reprezentować jakiejś zasady, bo sami żadnej nie mają. Inni (a nie jednego takiego mamy posła) w ciągu swego posłowania zmienili już kilkakrotnie przekonania swoje i kierunek, — a wyborcy nie żądają od nich nawet ani tłumaczenia ani sprawozdania i przy następnych wyborach ani im przez myśl nie przejdzie, aby ich wezwać do złożenia wyznania wiary. Wybierają kota w worku z zawiązanymi oczyma; znają tylko nazwisko kandydata i jego stosunki prywatne i majątkowe. Ci wybierają posła dla tego, że już był posłem — nie wybrać powtórnie byłoby obrażą. Ci wybierają znowu innego dla jego finansowego położenia, dla miru, jaki posiada z powodu towarzyskich swoich zalet, dla jego gościnności i dobrego kucharza. Inni wybierają kogoś dla jego historycznego nazwiska, dla korony nad herbem, dla cnót i zasług jego antenatów, do których potomek podobny jak pięść do nosa. Inni wreszcie wybierają dla dużych wásów albo rogatywki...

— I przepadają z swoim kandydatem. Duże wasy, duża broda, rogatywka, szczególnie czerwona, to zły omen i nie zalecający. — Chyba w miastach...

— Niekoniecznie. Mielśmy przecież z większych posiadłości...

— Patrz, patrz! — przerwał mi mój przyjaciel z wyrazem najwyższej radości i rozczerwienia. — Czy widzisz, tam, na lewo... za tą brzezina...

— Cóż takiego?

— Moje owce!

IX.

Polakerya.

Onego czasu wychodziło w Galicyi i Lodomerii jedno tylko i jedyne pismo polityczne. A zwało się *Gazetą lwowską*. Gazeta zaś ta, była gazetą urzędową. Raz na tydzień obdarzała ona czytelników literackim dodatkiem. *Rozmaitości* było mu na imię. A literacki ten dodatek był jedynym onego czasu literackim czasopismem w Galicyi i w Lodomerii.

I nastały inne czasy. Znalazł się we Lwowie krawiec, który począł wydawać drugie pismo literackie: *Dziennik mód paryskich!*

I pod wpływem tego słońca rozwijać się począło piśmiennictwo narodowe i krzepić się poczęli autorowie nadzieją lepszej przyszłości. I oto stała się niedługo rzecz niesłychana dotąd w Galicyi i Lodomerii: autor pewien otrzymał honorarium za swój artykuł! A otrzymał je nie od rządu, ale od wspomnianego wydawcy *Dziennika mód paryskich*.

Gratyfikacją tą była sztuczka materyi na kamizelkę. A szczęśliwym owym autorem był ś. p. Jan Wagilewicz, filolog, bibliograf, archeolog i badacz dziejów ojczyrstych... Niebezpieczny stał się precedens i okazało się dowodnie, że autorstwo jest intratnem zajęciem...

Nadszedł rok 1848 i poczęły się pisma polityczne i literackie rodzić jak grzyby po deszczu. Autorowie zaczęli wymagać zapłaty, wydawcy musieli dawać honorarya, a co najgorsza, posesyonaci musieli.. prenumerować i prenumerować! Niedosć podatków i dodatków rządowych, opinia publiczna czy moda nałożyła na posesyonatów nieznany dotąd w dziejach podatek... prenumeracyjny!... Stało się! A wszystkiego narobił krawiec. Pamiętajcie o tem wysokourodzeni, urodzeni i sławetni panowie...

Krawiec dał hasło, zaczęło się od dziennika *Mód* i oto pisarstwo stało się modą. Później stało się nałogiem i choć „wyszła z mody literatura“, nałóg pozostał. „Więcej dziś piszących niż czytających“. Nie moje te zdania w cudzysłowie. Nie chcę się stroić w cudze piórka. Powiem od kogo je zapożyczyłem.

Pani hr. *** zobaczywszy wczoraj przypadkiem na stoliku swego synalka zaczęłą korespondencyę do pewnego dziennika, zgańiła mu to surowo, bo: „literatura wyszła z mody; pisać, a szczególnie pisać do dzienników, to *mauvais genre*...

Z dwojga złego wolałabym już, abyś podpisywał... bo toby była tylko lekkomyślność, ale pisać i to do takiego dziennika *pour un jeune homme* z twojem nazwiskiem, to nie do darowania!“

Ile mamy tych *bon genre* wzorowych młodzieńców, podpisujących swoich ojców, których zapewne pani hr. *** miała na myśli, niech szanowny czytelnik raczy sam obliczyć, jeśli mu choć trochę znane zakulisowe i niezakulisowe zdarzenia w świecie *de la haute volée* Galicyi, Lodomeryi i W. ks. krakowskiego.

Więcej dziś piszących niż czytających. Pewien podstarzały literat, którego talent już na schyłku, wyrzekł to zdanie nie dalej jak przedwczoraj. Chciałby on zapewne być ostatnim w dziejach piśmiennictwa polskiego autorem, aby publiczność chcąc nie chcąc musiała czytać jego kwaśne koncepta, wodnisto-świętobliwe wiersze, szablonowe krytyki...

Daremnie! nie powstrzymasz panie autorze tej młodzieży leżącej w otchłań literacką z kałamarzami w ręku. Przeklnij krawca, który dał hasło, aby nie dać umrzeć literatom bez kamizelek, albo sam zostań krawcem. Wszakże i tak na starość zbudził się w tobie talent przyszywania błazeńskich łątek i nicowania pocziwych dążeń. a zeszycie polskich powiastek z cudzoziemskich tandeccianych wyrobów już ci dawniej wytknęła owa

„psiarnia literacka lwowska“, której tak nienawidzisz.

Krawiec tego piwa nawarzył!

* * *

Krawiec tego piwa nawarzył!

Nawarzył on jeszcze innego piwa, o którym właśnie pisać zamierzamy, ale tym razem nawarzył go nie już skutkiem literackiego przedsiębiorstwa, lecz czysto krawiecką sztuką. On to wykroił pierwszą formę owego kusego żupanika i węgiersko-polskiej czamarki, które wraz z wysokimi butami, szerokimi szarawarami, konfederatą i czerkieskim paskiem stanowią od r. 1848 tak zwany polski strój XIX wieku.

Nie jesteśmy nieprzyjaciółmi tego stroju. Owszem, dla tych, którzy zawzięli się, aby się nosić po polsku, uważamy go za odpowiedniejszy i godniejszy krój od średniowiecznych i półwschodnich szlafrokowatych żupanów i kontuszów o papuzich kolorach. Musimy jednakże wyznać, iż polakerya, o której zamierzaliśmy pisać, najczęściej i najwydatniej w tym się jawi kostyumie.

Ale do rzeczy.

Wspomnieliśmy o onym czasie, gdy urzędowa *Gazeta lwowska* stanowiła jedyny pokarm krajowych polityków naszych. Biesiada ta, powtarzająca się, o ile pamiętam, trzy razy tygodniowo, zaczy-

nała się zwykle od rubryki *Hyszpania* (przez y), a wiadomości z tego kraju obfitsze były i szczegółowsze od innych i czasem kilka zajmowały kolumn. Redakcja widocznie z jakimś zamięłowaniem obznajmiała publiczność ze stosunkami tego kraju. Czy chciała tem może tylko dogodzić istniejącemu już upodobaniu publiczności, czy przeciwnie sama dopiero zdołała rozbudzić w publiczności zajęcie się temi sprawami, dość, że dysputa o hiszpańskich stosunkach tak była zwykłą w onym czasie w towarzystwie politykujących mężczyzn, jak np. rozmowa o pogodzie między zakochanemi, a rozmowa o karnawale w większym towarzystwie dam i kawalerów.

Kto się „umiał znaleźć“, mówił o Hiszpanii, o psuciu się kartofli, lub o karnawale, stosownie do towarzystwa, w jakim się znajdował. *Gazeta lwowska* nie pomijała żadnego z tych trzech tematów.

Matka... nie, przepraszam, babka szanownej czytelniczki, zapewne pamięta te czasy. Może sobie tedy przypomni pewien artykuł wstępny *Gazety* (*Gazeta lwowska* miewała czasem artykuły wstępne), który uznano za nadzwyczaj *spirituel*, i o którym przez całą jedną zimę mówiono, jako o arcydziele rodzimego dowcipu... W tym wstępnym artykule politycznego pisma była mowa o... karnawale. Było to politycznie, bo było na czasie, właśnie bowiem karnawał się zaczy-

nał. Twierdził autor, iż wesołą tę porę zapust wszystko zdaje się wróżyć i zapowiadać, nawet turkoczące po miejskim bruku koła eleganckich karet wymawiają najwyraźniej czarodziejskie słowo: „*Karrrrrnawallll!*“... Co za spostrzeżenie genialne, co za dowcip! Godny zaiste owej epoki, w której „robił furorę“.

Bywały i reduty w czasie owego karnawału, a bardziej uczęszczane od dzisiejszych. Jednym z ulubionych naówczas kostymów był rzadziej dziś używany strój hiszpański. Babka szanownej czytelniczki, która na tych redutach bywała, przypomniał sobie zapewne znaną naówczas powszechnie komiczną figurę, która nigdy reduty nie opuściła. Był to mężczyzna czarno ubrany, w kusym manszestrowym spencerku z mosiężnymi guziczkami, z hiszpańskim krótkim płaszczykiem na ramieniu, w kapeluszu z szerokimi kryzami i olbrzymiem piórem, z długą szpadą przy boku, w krótkich manszestrowych pantalonkach i w pończochach przyozdobionych trzema czy czterema fontazikami o wiszących czerwonych wstążeczkach. Dumnym aktorskim krokiem przechadzał się po redutowej sali. Nie zaczepiał i nie intrygował nigdy nikogo, nie zdawał się nikim interesować. Gdy jednak zaczęła go jaka maska, lub gdy obaczył że zwraca kto na niego uwagę, stawał natychmiast w teatralnej pozie, prawą nogę wysunął naprzód, a podpierając rękę na biodrze, podnosił dumnie głowę i z wyzywającą miną

jedno tylko wygłaszał słowo: „Jestem Hirrrszpan!“

Tam od wejścia nowe jakieś zbliżają się mąski. Nasz bohater zbliża się bezzwłocznie ku nim, staje w pozycyi, tupie nogą i oznajmia dumnie: „Jestem Hirrrszpan!“

Grupa osób otacza go, przypatruje mu się ze wszystkich stron; on mierzy je z góry imponującym wzrokiem i powtarza swoje: „Jestem Hirrrszpan!“

— Cóż więcej? — zapytał go ktoś ciekawy.

— Jestem Hirrrszpan! — była odpowiedź.

— No, ale cóż z tego?

— Jestem Hirrrrrszpan! — z większym jeszcze przyciskiem powtarzała figura.

Nie zapomnę tego Hirrszpana do śmierci.

Ileż to podobnych Hirrszpanów zdarza nam się dziś spotykać! Na wszystkich uroczystych zebraniach, na bankietach i obchodach publicznych pełno ich, pełno! Zamiast hiszpańskiego płaszcza przywdziali dziś na siebie staropolskie szaty, żupany i kontusze, pasy lite i konfederaty, ale to zawsze ci sami Hirszpanie. W wysokich butach krocą dumnie jak zdobywcy świata, rękę zakładają za pas, potrząsają karabelą, podkręcają wąsa, nasuwają czapkę na bakier i każdym ruchem starają się zwrócić na siebie uwagę, jak gdyby mówili: patrzcie na mnie, Polak jestem!

Ale też tyle tylko ich polskości, ile w stroju.

Wydaje im się, że zadość już uczynili najwybredniejszym wymaganiom, jeśli przywdziali polski strój. Wąs zawiesisty, mina djabła: oto wszystko.

Pan Pafnucy czuje się wolnym od wszelkich obowiązków obywatelskich, od wszelkich ofiar na cele narodowe, dlatego że sobie sprawił kontusz i karabelę. Gdy mu kto zarzuci brak gorliwości, zupełną nawet obojętność dla spraw publicznych — on się odwołuje do tego, iż od lat dwudziestu chodzi w kontuszu, że przeto nigdy się nie zaparł iż jest Polakiem i czuł to zawsze bardziej od innych.

Pięknie to i chwalebnie, panie Pafnucy, ale ja cię zapytam, jak pytano owego Hiszpana na reducie:

— Cóż więcej? cóż z tego?

Rób co przecie panie Pafnucy, czemuś udowodnił, iż twój strój polski nie jest tylko redutowym kostyumem i maską. Kiedy nie żałujesz grosza na pasy lite, kosztowne spinki i guzy, na karabele w jaszczur oprawne, to nie pożałuj go także i na sprawy publiczne.

Forma bez treści, to łupina bez jądra, to pochwa bez karabeli. Strój polski bez polskiego ducha — to nie polskość, ale *polakerya*.

* * *

Gorzej od pana Pafnucego postępuje pan Ziemomysł, a i on także od niepamiętnych czasów nosi się po polsku.

Był czas, kiedy strój polski bardzo był źle widziany ze strony rządu. Studentów przywdziewających rogatywki prowadzono na policyę, aby tam doraźnym sądem uciąć jeden róg u czapki. Precedens taki stawał się nawet czasem powodem prześladowania i wypędzenia ze szkół. Starsi noszący się po polsku byli zwykle pod nadzorem policyi i prawie bez wyjątku notowani w czarnej księdze, jako *angehende Staatsverbrecher*.

Do nielicznych wyjątków, na których strój inkryminowany nie ściągł sekatury, należał p. Ziemomysł. Pan Pafnucy bowiem, chociaż nigdy nie robił, do polityki się nie wtrącał, pasł się, tył i popuszczał pasa, był przecież z powodu tego pasa na liście podejrzanych. Pan Ziemomysł umiał tego uniknąć, okupując nielojalność swojej garderoby służalstwem bez granic wobec niższych i wyższych biurokratów.

Panu Ziemomysłowi braku ruchliwości w sprawach publicznych zarzucić nie można. Polityka to najmiłsze zajęcie. Wszędzie umie się on wkręcić, wszędzie musi wściubić swoje trzy grosze.

Ile razy przysłano z Wiednia nowego urzędnika, a choćby tylko nowy *Kreishauptmann* objął rządu obwodu, p. Ziemomysł był pewnie jeden z najpierwszych dla złożenia mu łamaną niemczy-

zną swęj czołobitności i zapewnień o niezachwianej wierności dla dynastji i rządu, a oraz dla uproszenia sobie łaski, aby mógł przedstawić rozliczne uwagi i spostrzeżenia, dotyczące stosunków krajowych.

Jeśli raczono go słuchać, ofiarował i nadal swoje usługi; w przeciwnym razie wyczekał sposobniejszej chwili i gotów był przesiedzieć nieraz pół dnia w przedpokoju, byle doczekać się audyencyi. Jeśli interes jaki ważny skierował tam kiedy twoje kroki, szanowny czytelniku, spotkałeś niezawodnie w przedpokoju pana Ziemomysła w papuzim żupanie i przy karabeli, podręczającego wasy i zarzucającego amarantowe wyloty...

Mówią, że przez Świętych dostać się można do Pana Boga. Pan Ziemomysł, wedle tej postępującej reguły, dobijał się z móżołą stosunków coraz w wyższych sferach.

Nastało wreszcie w Austrii pewne ministerjum, którego efemeryczny żywot stanowił oraz najświetniejszą epokę w życiu pana Ziemomysła. Co miesiąc prawie jeździł on do Wiednia w ważnych sprawach, plótł trzy po trzy łamaną niemczyzną o potrzebach kraju, o koligacyach domu rakuskiego z Jagiellonami, o tradycjach szlacheckich i o komunizmie chłopskim i przeplatał to wszystko cytami z Szylera.

Tempi passati! Nie odbyła się ongi ministerjalna herbatka bez pana Ziemomysła, a gdy go

cudem jakim zabrakło, pytał się zaraz ekscelencya kogo z swych konfidentów: *Wo ist denn mein polnischer Papagei?*... Nosił się p. Ziemomysł już z myślą stałego osiedlenia się w stolicy państwa, gdy ku jego wielkiemu zmartwieniu, a ku wielkiej pociesze rządzonych... ministerjum upadło.

Czy sądzicie, iż tu koniec zabiegom pana Ziemomysła? Bynajmniej. Jakiegokolwiek będziemy mieli rządu, jakiegokolwiek system przeważy, pan Ziemomysł nie zaprzestanie swoich oświadczeń lojalności i ofiarowania usług. Gdyby nawet han tatarski lub turecki basza zawojował Galicyę, pan Ziemomysł pójdzie mu złożyć hołd w kontuszu i przy karabeli.

Czy pan Ziemomysł schlebiając satrapom i biurokratom pragnie usłużyć krajowi, lub czy może dobija się jakich osobistych korzyści? Broń Boże. Lojalność tego rodzaju, to druga jego natura. Oświadcza nieustannie swe wiernopoddańcze uczucia bez dalszego celu, czyniąc tem tylko zadość potrzebom własnego serca.

Lecz, zapyta kto, na cóż ten kontusz?... Oto, pan Ziemomysł nosząc się po polsku, czyni i w tym względzie przedewszystkiem zadość potrzebom własnego serca. Oprócz tego jeszcze pan Ziemomysł chciałby być czemś na świecie, chciałby odgrywać jakąś rolę, chciałby, aby na niego zwracano uwagę, aby o nim mówiono. To nie ambicya daleko sięgająca, to tylko próżność. Kontusz i konfederata

obok zapewnień lojalności, to był niegdyś w samej rzeczy wyborny środeczek, aby zwrócić na siebie uwagę... Dziś, środek to już zużyty, spowszedniały. Ale p. Ziemomysł kontusza już nie zrzuci. Nie otwiera mu on już wprawdzie podwoi ministerjalnych, jak niegdyś, ale jeśli nie w kraju, to za granicą zwraca jeszcze uwagę na siebie.

Pan Ziemomysł wyjeżdża za granicę prawie co roku, aby gapiącym się cudzoziemcom pokazać strój polski w całym przepychu.

W Niemczech znają się jeszcze na tem, o tyle przynajmniej, że go nie poczytują za Azyatę. — *Ungar oder Pole?* pytają się wzruszając ramionami Niemcy w restauracjach i kawiarniach, gdy pan Ziemomysł przesunie koło nich z butną miną jakby sto djabłów zjadł.

W Szwajcaryi nie umiano już sobie wytłumaczyć ani stroju ani miny.

— To pewnie jakiś Nabob detronizowany, — zauważał jakiś Genewczyk, widząc bundziucznego szlachcica przechadzającego się po wyspie Russa.

— Ale pocóż te buty wysokie? — zapytał drugi.

— No, to zapewne oznaka tamtejszej arystokracji albo sportu. Można się domysleć zaraz, że poluje.

— A pocóż on ma brzuch przewiązany tym szerokim pasem?

— *C'est qu'il a mal à l'estomac, probablement.*

Na paryskiej wystawie powszechnej spotkałem pana Ziemomysła stojącego przed gablotką z wyrobami nadesłanymi z Persyi. Żupan morowy turkusowego koloru, pas poczwórny Masłowskiego roboty obrócony na stronę złotolitą, duży kołpak z czaplem piórem spiętym klamerką wysadzoną turkusami.

— *Ah, voilà l'expositeur en personne!* — zawołał jakiś Francuz do swego towarzysza, przypatrując się ciekawiej mniemanemu wystawcy perskiemu, niż jego wyrobom w gablotce.

Pan Ziemomysł znać czuł się obrażonym tym domysłem Francuza, wyprostował się i obejrzał pogardliwie, a potem podkrecając wąsa, z senatorską powagą ruszył naprzód.

— Patrzno — zauważył znowu Francuz — jak ta figura chodzi dumnie, jak się rusza! Istny tryumfator! Jemu się zdaje, że te złotem tkane lachmanki, które umieścił w gablotce, to ósmy cud świata. *Quel imbécile!*

— Ale sądząc z tych okazów i po jego stroju, to musi być bogaty kraj, Persya?...

— Ah, to żebraczka między narodami...

— A patrząc na jego pyszną minę, myślałbyś, że Persowie to pierwszy naród na świecie!

Trzeci Francuz przyłączył się do towarzystwa. Zwrócono jego uwagę na rzekomego Persa.

— Ależ to nie Pers! — zawołał śmiejąc się. —

Znam go osobiście, *c'est un Polonais de la haute noblesse...*

Uciekłem co prędzej, nie chcąc być świadkiem dalszej rozmowy. Czulem tylko, że wszystko co mówiono o Persyi, zastosują teraz do Polski... a niestety, nie bez słuszności.

Krzywdę, wielką krzywdę Polsce wyrządzasz panie Ziemomyśle, ty i tobie podobni waszą polakeryą za granicą. Każda śmieszność, którą popełnisz, a popełniasz ich niemało, spada tam mimo twej woli nie na karb twej osoby, ale na karb polskości. To też polskość i polakerya poczytywaną tam bywa częstokroć za jedno i to samo.

Kontuszem twoim wycierasz kąty po przedpokojach gubernatorskich i ministeryalnych, to znów czynisz z siebie dziwowisko za granicą. Nie szanujesz tych znamion polskości, które nietylko uczucie narodowe, ale i własne tradycje rodzinne równemi świętości czynić ci powinny...

Wspomnij na twego sąsiada panie Ziemomyśle i stań się jemu podobnym, stań się godnym stroju, który nosisz. Albo przywdziej frak i wąskie spodniki, a na szyję załóż krawatę, którą sam nazwałeś „niewolniczą obróżą“ i „godłem służalstwa“.

* * *

Znasz panie Ziemomyśle sąsiada twego pana Ziemowita.

Za młodu odziedziczywszy po ojcu małą wioseczkę, bardzo obdłużoną, pasował się z biedą jak mógł, aby uratować rodzinną siedzibę. Ożenił się z ubogą dziewczyną a z każdym niemal rokiem powiększała się rodzina o syna lub córkę. Podwoiły się i potroiły wydatki, trzeba było podwoić i potroić pracy, aby wyżyć przyzwyczajone choć skromnie, a działawę uczciwie wychować.

Poszczęściło się wytrwałości i pracy. Oczyszcili wioskę z długów pan Ziemowit a nawet dokupił do niej przyległy folwark, własność jakiegoś przybłądy z zagranicy.

Ale wobec tyloletnich starań o chleb powszedni i o dobro własnej rodziny, nie dziw, że zapomniało się o innych szerszych obowiązkach, a pomimo gruntownych wiadomości w dziedzinie nauk administracyjnych i ekonomicznych, nie brało się udziału w życiu publicznem.

Dopóki bieda dopiekała srodze a dłużnicy siedzieli na karku, niepodobna czynić zarzutów panu Ziemowitowi. W ciągłej pracy pot kroplisty spływał mu po twarzy przez cały boży dzionek od świtu do zmroku a wieczorem trzeba było pogawędzić z pocziwą Anusią i „odpocząć“ ucząc chłopców jeździć stępem, klusem i galopem na ojcowskiem kolanie.

Gdy się dzieci spać pokładły, trzeba było jeszcze

zapisaćienne wydatki, a sen morzył czleka, dopominając się o swe prawa. Ach, jeszcze gazetę przeczytać wypada, ma tam być coś ważnego. Ale *ultra posse nemo obligatur*. Kleiły się powieki, a tak gazeta wypożyczana z łaski księdza proboszcza, najczęściej nieczytana wracała na plebanie.

Tak było przez lat wiele. Odwyknienie uspiło wreszcie ciekawość, co się tam dzieje na świecie, za płotem rodzinnej wioski: stępiało uczucie narodowe i obywatelskie.

Tymczasem udało się panu Ziemowitowi wyjść zwycięsko z nierównej walki z dłużnikami, oczyścił wioskę, dokupił folwark, a nakoniec stara jakas panna, ciotka żony, zapisała tejże dość znaczną fortunę. Pan Ziemowit czuł potrzebę odpoczynku i mógł teraz odpocząć. Zarząd majątku oddał szwagrowi, którego sam wykształcił na gospodarza, a sam wolne od trosk rozpoczął życie.

Ale przyzwyczajenie jest drugą naturą. Pan Ziemowit przywykł do zajęcia i nie mógł się bez niego obejść. Nie polował, nie odwiedzał sąsiadów, nie spraszał gości do domu, bo to było przeciwne dotychczasowemu trybowi jego życia; nie lubił zresztą hałaśliwych zgromadzeń, a o swoich sąsiadach nie najlepsze miał wyobrażenie, nie szukał zatem bliższych z nimi stosunków. Cisza rodzinnego kółka była mu najmiłszą.

Co miesiąc przychodziła z księgarni spora paczka książek do „przejrzenia i wyboru“, a gazety już

pan Ziemowit nie wypożyczał od proboszcza, ale sam trzy dzienniki zaprenumerował i proboszczowi udzielał. Przynoszono je na plebanie z widocznymi śladami, że przeszły przez ręce pilnego czytelnika, wszystkie bowiem ciekawsze wiadomości zakreślone były zawsze czerwonym ołówkiem.

Podkreślał pan Ziemowit, znaczyl, robił znaki, zapytania i inne uwagi na marginesach gazet i broszur, ale nie zmieniał w niczem trybu życia, nie mieszał się do spraw publicznych, a chociaż go widocznie interesowało, co się w kraju dzieje, zajmowało go to jak spektatora ciekawe widowisko, a nie jak własna sprawa. Czytał z uwagą i zrozumieniem rzeczy, przysłuchiwał się i przypatrywał chłodno, z założonemi rękoma.

Było to w r. 1861. Interesa jakieś żoninego spadku zniewoliły pana Ziemowita do wyjazdu do Warszawy. Przypadek zrządził, że bawił tam jeszcze w czasie pamiętnego zgromadzenia gospodarczego i widział na własne oczy niesłychane bezprawie, popełnione dnia 8 kwietnia 1861 r. na Krakowskiem Przedmieściu.

Chwila ta była dlań stanowczą w życiu. Ocknęła się dusza polska od strzałów moskiewskich, rozgrzało się zaskrzepłe serce dźwiękami narodowego hymnu.

Wrócił pan Ziemowit do domu innym człowiekiem, tysiące planów ważąc w swej głowie, wyrzucając sobie stokroć więcej niż zasłużył, dotych-

czasową beczynność i obojętność dla sprawy narodowej.

Ale jak tu zerwać z dotychczasowym trybem życia? jak tu wyrzec się tej milej nadewszystko ciszy domowej, niezamąconej najazdami nudnych i dość ograniczonego umysłu sąsiadów? Jak tu rozpocząć życie czynne, ruchliwe, połączone z częstymi wycieczkami do miasta lub do sąsiednich dworów, z ciągłą zatem niebytnością w domu? Pierwszy krok najcięższy.

A miał pan Ziemowit wtedy już blisko połowy piątego krzyżyka i włosy na dobre śnieg mu już przypruszył. W tym wieku niełatwo ruszyć z miejsca.

Trapił się myślami swemi pan Ziemowit i nie miał odwagi aby zerwać z przeszłością. Życie mu szło dotąd tak regularnie jak zegarek i jakże tu zdruzgotać ten zegarek? Jak struty chodził pan Ziemowit z kąta do kąta po domu. Stracił humor, apetyt i sen.

Choroba przyszła mu w pomoc. Ciężko zanie-mógł, a ksiądz proboszcz już nawet na śmierć go dysponował. Dzięki jednakże silnemu organizmowi, a bardziej troskliwości Anusi, po kilku tygodniach minęło niebezpieczeństwo i zaczął wstawać. Wychudł, zmizerniał: twarz, dotąd zawsze gładko ogolona, zarosła krótkimi szpakowatemi włoskami.

— Tatusiu! — narzekała siedząc mu na kola-

nach mała pieszczołka, najmłodsza córeczka Zosia — pocałować tatusia nie można, bo włosy kłują. Niech tatuś ogoli brodę. Ale wąsy niech tatuś zapuści jak dziadzio na obrazie.

Na ścianie wisiał w samej rzeczy portret dziada pana Ziemowita, w kontuszu i z dużemi wąsami. Myśl jakaś błysła panu Ziemowitowi. Dziwnym jakimś blaskiem zaświeciły mu oczy.

— Czy i w kontusz mam się ubrać jak dziadzio? — zapytał.

— O tak, tak, w kontusz i w pas taki... I szablę tatuś przypnie do boku... koniecznie, koniecznie!

— Czy słyszysz Anusiu, czego ona chce ode mnie? Cóż ty na to?

— Mamo, mamó — wołała Zosia, nie dając matce mówić — niech mama powie, że dobrze.

— Dobrze.

— Dobrze? A więc dobrze Zosiu, niech tak będzie! Żono, każe mi sprowadzić krawca z miasteczka...

— Żartujesz? — zapytała pani Ziemowitowa niedowierzająco.

— Nie — odrzekł pan Ziemowit uroczyście. — Stało się, przyrzekłem już Zosi!... Pas i spinkę mam po dziadzie... Potrzeba mi tylko ubrania... Po mojej chorobie nie wyjdę z domu, dopóki nie będę miał polskiego stroju. Daję ci na to święte słowo!

I zaczerwieniała rumieńcem wybladła twarz pana Ziemowita.

Zosia klaskała w dłonie, pani Ziemowitowa wzruszyła ramionami, tak jej się wydał dziwacznym zarówno zamiar męża, jak i sposób oznajmienia go tak uroczysty. Nie pojmowała symbolicznego znaczenia tej zmiany, jaką ona miała dla Ziemowita; nie przeczuwała następstw, jakie ten pierwszy krok w całym sposobie życia jej męża wywoła. Byłaby może nie powiedziała „dobrze“ na żądanie Zosi, gdyby wiedziała, że to „dobrze“ zada cios śmiertelny cichemu szczęściu domowemu i że mąż od chwili włożenia na siebie pasa, rozbrat weźmie z pożyciem rodzinnem, oddając cały czas i siły swoje służbie narodowej.

Odsunął pan Ziemowit szufladę, w której mieściły się drogie po dziadku pamiątki. Wyjął turkusową spinkę, pas słucki, karabelę i — zapłakał...

Taki był początek rekonwalescencji pana Ziemowita...

...Pytajcie się uczestników organizacyi pomocniczej powstania z roku 1863, pytajcie się dziś sąsiadów pana Ziemowita i kolegów jego w pracach autonomicznych. Nie było i nie ma w okolicy gorliwych i dzielniejszych obywatela.

I na słońcu jednakże dostrzeżesz plamy... Pomiędzy całej trzeźwości zdania i nadzwyczaj zdrowego poglądu na sprawy krajowe, ulega pan Ziemowit pewnemu uprzedzeniu, z którego do śmierci się już nie wyleczy. Jest on nazbyt gorliwym zwolennikiem i propagatorem polskiego stroju i zbyt wiel-

kie do tego małoważnego szczegółu przykładu znaczenie. Zdaje mu się, że strój ten na każdego równie zbawienny i równie stanowczy wpływ musi wywrzeć, jak wywarł na niego. Propagandą swoją w tym względzie zbyt natarczywą, niejednego odstręczył od siebie, nieraz już naraził się na posądzenie o drobiazgowość i małoduszny sposób widzenia... Przywdzianie francuskiego stroju przez kunsztowca, równa się w jego oczach jawnemu odstępstwu... Nie śmiecie się ze starca, wy panowie we fraku! czołem przed zasługą?

— Strój narodowy, rzekł on pewnego razu do mnie, to rzecz nieledwie równie ważna jak język narodowy. Czy znasz prawdziwie gorącego patriotę Polaka, któryby obcym wolał mówić językiem? Ja znam jednego tylko. Wychowany za granicą, przeżył całe prawie życie pośród cudzoziemców. Dziś, gorący to patriota, a jednak zapóźno poczuł się Polakiem, aby mógł na starość nałamać sobie języka do czystej polskiej wymowy. Mówi on po polsku, ale gdy w zapale żywszej dysputy słów mu zabraknie, prosi, aby mu wolno było mówić po niemiecku:

Ich muss deutsch sprechen! wenn vom Vaterlande die Rede ist, muss ich deutsch sprechen!

...On jeden tylko o Polsce może mówić po niemiecku. Ja o Polsce we fraku mówić nie potrafię. Na widok fraka serce mi chłodnie. A tak jak mnie, tak i wam wszystkim, ale tego nie czujecie.

...I cóż mi to za Polak, który w każdej chwili życia i który we wszystkim nie jest Polakiem — duszą i ciałem! Jak kapłan do mszy się stroi z poważną myślą i modlitwą na ustach, tak każdy z nas przywdziewając co rana strój polski, opasując się pasem, powinien czynić to w równie uroczystym duchu, jakby kapłańską szatę przywdziewał i szedł na służbę bożą. Ten strój to nie dziwactwo, to nie krój odmienny, ale symbol wielkiego znaczenia, przypominający każdej chwili tobie i tym co cię widzą, kim jesteście.

...W chwilach wahania, słabości lub pokusy, gdy się ujrzy w tym stroju, powiedz, czy nie ułatwi ci on zwycięstwa nad sobą samym? Czy wezwany do jakiej służby narodowej, zdołałbyś w tym stroju się usunąć? Czy przeniósłbyś na siebie, aby w tym stroju popełnić jakąkolwiek czynność, któraby nie tylko ciebie, ale ten symbol polkości naraziła na pośmiewisko lub lekceważenie?

...Chłop, nie mający poczucia narodowego, wdziawszy rogatywkę, staje się Polakiem.

W r. 1863 miałem dwóch parobków do usługi. Starszy, Antek, przyłączał się do każdego oddziału powstańczego, przekraczającego granicę. Bił się z Moskalami, a po wyparciu oddziału wracał do służby. Młodszy, Iwaś, śmiał się, wzruszał ramionami i drwił z niego, że naraża głowę Bóg wie za co i po co.

Darowałem Iwasiovi moją konfederatkę.

Ustroił się w nią i przeszedł się po wsi. Biegli za nim chłopcy wiejscy i wołali z urąganiem:

— Polak idzie! Polak!

Zawstydził się Iwaś i czapkę schował.

Po kilku dniach atoli żal mu się zrobiło, że tak piękna czapka leży bez użytku i wdział ją znowu na głowę.

— Polak! Polak! — wołali, urągając za nim ulicznicy.

Oburzył się Iwaś i odburknął zuchwale, nasuwając czapkę na bakier:

— No, to i cóż w tem złego? jestem Polak!

— A to idź na Moskala! — wołano szyderczo.

— Otóż pójdę!

I poszedł w samej rzeczy a bił się dzielnie.



X.

Urodzeni agronomowie. List do autora
i jeszcze polakerya.

Kraj nasz, przeważnie rolniczy... kraju naszego przeważnie rolniczego... — krajowi naszemu przeważnie rolniczemu... i t. d. i t. d. Nasłuchać i nacytać się u nas można do sytości tego wyrażenia we wszystkich przypadkach a w najrozmaitszym zastosowaniu.

A w tym kraju „przeważnie rolniczym“ mniej stosunkowo do obszaru wzięto ziemi pod uprawę, niż w którymkolwiek innym należącym do cywilizowanego świata.

Kraj przeważnie rolniczy! A w tym kraju rolnictwo na niższym stoi stopniu rozwoju niż gdziekolwiek indziej.

A w tym kraju przeważnie rolniczym, mniej dobrych gospodarzy rolnych, niż w którym bądź innym kraju cywilizowanej Europy; prawdziwej znakomitości w tym zawodzie ani jednej. Gleba

żywna z natury, mniej jednak wydaje plonu, niż gdzie indziej.

A więc ten epitet „przeważnie rolniczy“ nie ma bynajmniej oznaczać, że kraj nasz jest bardziej rolniczym od innych, ale chyba to tylko, że przemysł jeszcze niżej u nas stoi niż rolnictwo.

Gdy o kim nie mamy nic do powiedzenia, a chcemy się o nim przecież pochwalnie wyrazić, mówimy zwykle: „to dobry człowiek“. Pochwała taka oznacza tyle nieledwie jak gdybyśmy powiedzieli: to człowiek do niczego. Afirmacya ta mieści w sobie negacyę jego zdolności, jego wykształcenia, jego pożyteczności w społeczeństwie.

Podobnego wrażenia doznajemy słysząc tak często a tak bezmyślnie szafowany naszej ojczyźnie epitet: „kraj przeważnie rolniczy“.

Rolniczy? Gdyby rolniczym nie był kraj tak rozległy, to byłby chyba pustynią lub koczowiskiem nomadów.

Rolniczy! Oznacza to, że z pomiędzy źródeł narodowego dobrobytu, z jednego tylko niestety czerpiemy zasoby nędznego życia: z rolnictwa.

I jakąż ta agronomia nasza? Od chłopca pracującego w pocie czoła na małym kawałku ziemi, który bez postronnego zarobku najczęściej nie mógłby się wyżywić, niepodobna żądać racjonalnego, postępowego gospodarstwa.

Gospodarki takiej oczekiwaiby wypadało —

w tak zwanych większych posiadłościach. Pożał się Boże, jaka tam gospodarka! Albo tradycyjalnie zacofana, urządzona odpowiednio do stosunków, które niepowrotnie się już zmieniły, albo też nie urządzona wcale, w stanie zupełnej dezorganizacji, ślamazarna i niedołączna, bez sił, bez środków, bez systemu i bez dozoru. Ustała pańszczyzna roboczego ludu, ale ekonom, gumieny, karbowy, leśniczy i rządcą i sam właściciel gospodarują, przysłowio-
wem mówiąc wyrażeniem — „jak za pańszczyznę”. Ależ prawda! jest jeszcze trzecia kategoria gospodarstw naszych. Są to gospodarstwa mające pretensję do postępowości. Z małemi wyjątkami postępowość ta jednakże polega na innowacyach i reformach żywcem z zagranicy przeniesionych, nieodpowiednich i niezastosowanych należycie do naszej gleby i do naszych stosunków rolniczych i ekonomicznych. Kosztowne przyrządy, sprzęty, narzędzia, maszyny, z którymi nasz robotnik obejść się nie umie, nie licujące zresztą z całością systemu gospodarczego, obrane bez względu na potrzeby miejscowe i na ceny produkcji i produktów, jednym słowem: niepraktyczne. Chów bydła i koni w tymże samym tam rodzaju. Z nadzwyczajnym kosztem sprowadzone rasy, nie przydatne do naszego klimatu i do naszych stosunków, przy wielkiej staranności i znacznym nakładzie dają się Niemniej hodować, i to z takim powodzeniem jak n. p. południowe owoce w naszych cieplarniach.

Nie będą to figi, pomarańcze lub banany równie smakowite jak w swojej ojczyźnie, ale zawsze figi, pomarańcze i banany. Hodowanie ich jest amatorsstwem, kaprysem pańskim, ale nie sadownictwem lub gospodarką. — Hodowanie bydelka nieodpowiedniego dla nas, to chyba utrzymywanie kosztownej menażeryi, ale nie gospodarka.

Postępowość w gospodarstwie a dyletantyzm nowatorski to dwie wcale odrębne rzeczy.

Jeśli junackie chępczenie się polszczyzną i pseudo-patriotyczną fanfaronadę nazwalimy „polakeryą”, to już owe junactwo pseudo-patriotycznej rywalizacji z gospodarstwem zagranicznym, owe z pseudo-patriotycznych pobudek płynące naśladownictwo cudzoziemszczyzny — nie wiemy jak nazwać.

Ale to pewna, tak w niepostępowych jak pseudo-postępowych gospodarstwach naszych, źródłem złego: dyletantyzm gospodarczy.

Gdzież tego przyczyna?

Użalamy się na brak specjalistów w każdym zawodzie, na każdym polu pracy narodowej, społecznej, naukowej. Dyletantyzm w polityce, dyletantyzm w literaturze, dyletantyzm w badaniach przyrodniczych, w publicystyce, w archeologii, w sztuce, w gospodarstwie, w wojskowości, w przedsiębiorstwach przemysłowych, bankowych, handlowych.

Większa połowa naszej inteligencji, większa po-

Iowa ludzi mających u nas materyalną możność kształcenia się i obrania zawodu wedle skłonności i uzdolnienia, rozsiana po całym kraju w dworkach wiejskich, „gospodaruje“. Przytem każdy z tych t. z. „gospodarzy“ ma jakieś specjalne zamiłowanie do innego jakiegoś zawodu i uprawia po dyletancku bądź ekonomię polityczną, bądź numizmatykę, ornitologię, sanskryt, strategię, muzykę, mechanikę, dramaturgię, chemię, poezję, botanikę, malarstwo i t. p., najczęściej jednakże politykę i... dyplomacyę. Niemal i takich, którzy w wolnych od gospodarskich zatrudnień chwilach, zajmują się na przemiany raz jedną raz drugą umiejętnością lub sztuką, ten raz chemią, raz poezją, ten ornitologią i ekonomią polityczną, ten sanskrytem i strategią.

Nie dziw, że w tych wszystkich ubocznych studiach dyletantyzm nie sięgnie nigdy prawie po za granicę mierności. Ależ gospodarstwo! gospodarstwo ma być przecież głównem tych „gospodarzy“ zajęciem! Skądże ten dyletantyzm w gospodarstwie, większy częstokroć niż w owej niby ubocznie tylko z amatorstwa uprawianej nauce?

Oto dlatego, że gdzieindziej na świecie gospodarstwo jest zawodem, wymagającym osobnego wykształcenia i zupełnego oddania mu czasu i myśli, a u nas gospodarstwo nie jest zawodem na seryo, ale niejako tylko atrybucją stanu.

Właściciel majątku ziemskiego, syn właściciela, jest urodzonym gospodarzem.

Gdzieindziej każdy, kto ma możność obierania zawodu, obiera zawód w życiu wedle osobistych skłonności i uzdolnienia, wedle nauk, jakie ukończył i stopnia ukształcenia, jakie osiągnął.

U nas inaczej. Właściciel dóbr ziemskich jest urodzonym gospodarzem, musi być gospodarzem, tak jak np. w Indyach członek kasty wojowników musi być żołnierzem, członek kasty kupieckiej kupcem, rolniczej rolnikiem. Wolno mu być złym gospodarzem, ale gospodarzem być musi. Nadaje mu to prawo być oraz politykiem, choćby nawet żadnego politycznego wykształcenia nie posiadał, ale gospodarzem być musi.

Niech szkice, jego ręką w wolnych chwilach narysowane, każą się po nim spodziewać genialnego artysty, niech z całym młodzieńczym zapalem lgnie do nauk medycznych lub do filologii klasycznej, niech ma nieprzełamany wstręt do agronomii, niech wątle zdrowie nie pozwala mu oddać się gospodarstwu, mniejsza o to: on musi, musi być agronomem! Nie ukaz carski, ani uświęcona prawem kastowość, ani konieczność materyalna, a czasem nawet i nie rozkaz rodzica zmusza go do tego, ale tradycyjny obyczaj, wymagania rodziny, opinia sąsiadów... nie wiem już co, chyba jakieś przez naszych praojców z Indyi przyniesione instynkta, podobne do instynktu wędrownego cyganów lub

kupieckiego Izraelitów... jakaś polakerya gospodarza.

Ależ przynajmniej ten przyszły agronom odbiera wykształcenie odpowiednie zawodowi, któremu *nolens volens* oddać się musi?

Uchowaj Boże! Nie mogą dać sobie rady z aoristem greckim, porzuca on szkoły przeszedłszy kilka klas gimnazyalnych, albo skończy technikę, do której wielkie okazał zdolności, albo zdawszy doktorat z filozofii lub prawa, albo wreszcie w domowym wychowaniu nie nauczywszy się niczego, prócz języka francuskiego i choreografii, wraca na wieś i zaczyna „gospodarować“. Nie święci garnki lepią!

Gospodaruje tedy. A jak gospodaruje? Chciecie wiedzieć — to przypatrzcie się stanowi gospodarstwa w naszym kraju. Zapytajcie Niemców, co o niem mówią. Uderzcie się w piersi i powiedzcie, czy owe przysłowie niemieckie *von der polnischen Wirtschaft* tak bardzo jest niesłusznem!

Jeśli który zawód wymaga zupełnego oddania się, całego czasu, ciągłej i nieprzerwanej czujności i staranności, to już pewno zawód gospodarza. Jeśli w którym zawodzie najmniejsza przerwa w pracy, chwilowe tylko zaniedbanie dozoru, fatalne za sobą pociąga skutki, nieobliczoną sprowadzić może klęskę, to pewno w gospodarstwie.

Czemuż nie zostawić gospodarstwo tym, których wykształcenie, doświadczenie nabyte od lat

najmłodszych, których interes wreszcie materyalny lepszą stokroć jest rękojmią jeśli nie racjonalnego i postępowego, to przynajmniej starannego gospodarowania?

Czemuż nie zostawić gospodarstwa w ręku agronoma z powołania, w ręku uczciwego dzierżawcy lub ekonoma, a samemu oddać się nie po dyletancku, ale całą duszą zawodowi odpowiedniemu wewnętrznym skłonnościom i przebytej za młodu nauce?

Wtedy nie będziemy mieli dyletantów agronomów, dyletantów polityków, dyletantów literatów, dyletantów przemysłowców, dyletantów zoologów i geologów i t. d., ale prawdziwych ludzi nauki i specjalistów, biegłych w swoich zawodach.

Wtedy będziemy się mogli mierzyć z innemi narodami. A kraj nasz przestanie być „krajem przeważnie rolniczym!“

* * *

— Co za niedorzeczność! — zawołał pan Dezydery, czytając uwagi nasze i rady w sprawie gospodarskiej. I zapalił drugą fajkę. Wypuścił z pod zawieszistych wąsów olbrzymi kłęb dymu i powtórzył raz jeszcze: — co za niedorzeczność!...

Pan Dezydery jest w swojej okolicy zawołanym gospodarzem, pan Dezydery jak to mówią „zjadł zęby“ na gospodarstwie, pan Dezydery w sa-

mej rzeczy gospodaruje lepiej od wielu innych, -- może więc pan Dezydery ma słuszość.

A działo się to w Rzepakówce w poniedziałek o godzinie dziewiątej przed południem, po rannej kawie... O zgrozo! u gospodarza wiejskiego śniadanie dopiero o dziewiątej! Ha, cóż! każdemu to się przytrafi. W niedzielę zjechali się sąsiedzi, taroczek „z żydkim“ przeciągnął się do późna w noc, pan Kalanty wpadł na „ultimo“ dwa razy, pan Dezydery raz, a upragniony „pagacik“ zjawił się gdzieś dopiero nad ranem.

Rano, prawie ze świtem zjawił się jak zwykle ekonom, czekając na „dyspozycję“, ale szanowny pan Dezydery spał jak zabity. Staremu Grzegorzowi, który miał najsurowszy rozkaz zbudzenia pana, odburknął tylko przy pierwszym budzeniu: „dobrze, dobrze“, a przy drugim: „idź do diabła! czyż nie widzisz osła, że mam gości!“

Stary Grzegórz nie widział wprawdzie tych gości w sypialni swego pana, bo goście w swoich pokojach o tej godzinie spali jeszcze snem sprawiedliwych, ale odstąpił od silnego przedsięwzięcia zbudzenia pana, wiedząc o tem z doświadczenia, że mu się sprzeciwiać niebezpiecznie.

Pan Dezydery chrapał. Chrapał tak głośno, że tem chrapaniem sen jego szanownej małżonki, spoczywającej w przyległym pokoju, dwa razy został przerwany. Skutkiem tego dwukrotnego przerwania snu pani Dezyderowej, będzie niezawodnie cało-

dzienna migrena. A skutkiem migreny coraz częściej nawiedzającej delikatne zdrowie pani Dezyderowej, konieczność, aby i w tym roku jak w przeszłym pojechać do Krynicy a może do Spaa, jeśli tak zaordynują lekarze.

— Hm, hm, co się to w czasie tego bezkrólewia dziać będzie z gospodarstwem... Ot, lepiej jeszcze nie myśleć o tem! Może jejmość wybije sobie z głowy tę Krynice...

Markotno jednak zrobiło się jakoś na sercu pana Dezyderego, toż chcąc złe myśli zażegnać, pochwylił do ręki numer *Kraju*, kontent, że będzie mógł nałajać się, nagniewać, nazrędzić, nagderać, nawymyślać, a nikt mu nie odpowie.

Myli się jednak pan Dezydery. *Kraj* mu odpowie tak, jak dziś rano odpowiedział stary Grzegórz:

— Budziłem jaśnie pana, ale jaśnie pan spał. Budziłem jaśnie pana, ale jaśnie pan się zgniewał na mnie i obrócił się na drugi bok...

— Niedorzeczność! toż mi to rada? i czyja? jakiegos tam feljetonisty! pseudonima! Porzucić gospodarke i zdać się na łaskę ekonomy, albo wypuścić w dzierżawę! Chybabym oszalał! Porzucić gospodarstwo? Cóż to, czy on chce, abym ja książki zaczął pisać, albo gwiazdy liczył na niebie?

— Hola, panie Dezydery! nie tak gorąco! Nie o tobie była mowa, ani o żadnym gorliwym i doświadczoneym gospodarzu, ale o pseudo-gospodarzach naszych, których zły nawet dzierżawca nie

tyle zniszczy, ile niszczą się sami, którym naj-niedbalszy nawet ekonom służyć jednak może za wzór gorliwości.

W literata się nie baw ani w astronoma, nikt tego od ciebie nie żąda. Co najwięcej, popraw nieco ortografię twoich rachunków gospodarczych i zamiast „*wziemi pienc kruk*“ pisuj odtąd „wzięli pięć krów“, ale na tem basta. Gospodaruj jak gospodarowałeś, a nawet gospodaruj gorliwiej niż dotąd. Na zjazdy sąsiedzkie, na polowania, na wizyty i rewizyty nie mało dni w roku bez potrzeby marnujesz i dobrze ci wiadomo, jak na tem cierpi porządek twojego gospodarstwa. Ogranicz liczbę tych dni, o ile zdołasz, staraj się oprócz tego wymódl na lekarzu twojej szanownej połowicy, aby na jej migreny domową przepisał kurację, wyperswaduj jej, że zimę lepiej przepędzić na wsi niż w mieście, a gospodarstwo twoje niewątpliwie na tem zyska. Sława twoja gospodarcza, która dotąd jeden tylko zhołdowała ci powiat, gruchnie w całym obwodzie i w trzech jeszcze pogranicznych powiatach nieśmiertelny zjedna ci wieniec, spleciony z rzepaku, pszenicy i kartoflanych liści.

Nie daj się wybierać na delegata towarzystwa kredytowego, bo w sprawach bankowych takie masz niedokładne wiadomości, jak w sprawach ortograficznych; nie pozwól, aby przy przyszłych wyborach podnoszono twą kandydaturę poselską, a ze wszystkich godności obywatelskich, jakkolwiekby cię

do przyjęcia ich namawiała twoja żona, poprzestań na zaszczytnem stanowisku członka rady powiatowej i delegata drogowego wydziału powiatowego, bo tym obowiązkom sprostasz lepiej niż ktokolwiek inny, a nawet świetnie się z nich wywiążesz.

Niech każdy ima się tej tylko pracy, której po-dobać jest w stanie, niech każdy to tylko robi, co umie najlepiej. Ty umiesz gospodarować panie Dezydery, tego ci nikt nie zaprzeczy. Nauczyłeś się trzydziestoletniem przeszło doświadczeniem i gorliwością w pracy. Znam wprowadzić kilku młodych ludzi, którzy, odbywszy studia agronomiczne bądź to w Pruszkowie, bądź w Altenburgu, a nawet w Dublanach, po kilkoletniej praktyce świetniejsze od ciebie osiągli rezultaty, ale bądź co bądź umiesz i ty gospodarować.

Gospodaruj tedy, gospodaruj sto lat z okładem, a na pocziw sprawę nie skąp nigdy grosza, jak i dotąd nigdy nie skąpiłeś. Cześć komu cześć!

Oprócz ciebie niech gospodarują ci wszyscy twoi sąsiedzi, którzy gospodarują wprowadzić bardzo li-cho, ale którzy prócz lichej gospodarki nic nie umieją, niczego się nie nauczyli i już niczego nauczyć się nie są zdolni. Lepiej, że coś robią, niż gdyby nic wcale nie robili.

Niedowarzony ekonom polityczny zamąca ludziom głowy niedorzecznemi swemi teoryami, skrzypek rzępoła rozdziera ludziom uszy, ładajaki

pedagog tworzy nieuków a nawet często szkodliwych obywateli kraju, zły lekarz truje swoich pacjentów, szewc partacz nabawia ludzi nagniotów, tuzinkowy poeta zanudza na śmierć słuchaczy deklamowaniem swoich wierszydeł, bałamutny publicysta zawichrza zdrowe pojęcia, kucharz kopciuch psuje ludziom apetyt... wszyscy mniej lub więcej szkodzą społeczeństwu, a zły gospodarz sobie samemu tylko szkodzi. Zapewne, że przez wielu złych gospodarzy cierpi ostatecznie i ubożeje cały kraj, bo interes jednostek z interesem ogółu ściśle się łączy, ale najwięcej cierpią zawsze sami źli gospodarze.

— A więc pocóż znęcać się nad nimi, gdy im i tak już dość źle na świecie?

Żle im, niechże więc pamiętają, aby i dzieciom ich źle nie było. Niechże już raz przejmą się tem przekonaniem, że się nikt gospodarzem nie rodzi, rodząc się synem właściciela „większej posiadłości“, że aby się stać gospodarzem, potrzeba gruntownej w tym zawodzie nauki i kilkoletniej praktyki pod okiem wytrawnego agronoma, lub też w braku tych warunków, potrzeba własnego drogo zwykle okupionego, wieloletniego doświadczenia.

Niech oprócz tego pamiętają ojcowie rodzin, że człowieka niepodobna wytresować jak wyżła lub konia, i że tak jak chart do przepiórki nigdy się stawać nie nauczy, tak i młodzieniec, choćby nie

brakło mu zdolności i dobrej woli, gospodarzem dobrym nie będzie mimo Dublan i Proszkowa, jeśli do gospodarki nie ma skłonności i usposobienia. Dozwólcie mu obrać zawód, jaki sobie upodoba, niech będzie urzędnikiem, przemysłowcem, profesorem, lekarzem, literatem, wojskowym, byle nie pseudo...

Znamy młodzieńca z starożytnej szlacheckiej rodziny, który wyjechałszy za granicę, w bluzie prostego wyrobnika uczy się garbarstwa; znamy pewnego hrabiego, który mimo zgorszenia swej rodziny, obiera zawód lekarza; znamy innego, który zajmuje podrzędne stanowisko w pewnym banku dla wykształcenia się w obranym zawodzie; znamy młodego Maestro właściciela dużego majątku, który powierzywszy dobra swoje najlepszej opiece, sam oddał się wyłącznie sztuce, rokując nam utworami swemi znakomitego kompozytora; znamy wreszcie kilku utalentowanych młodzieńców, którzy nie wachali się połączyć tytułu profesora z starożytnym nazwiskiem rodzinnem. Cześć za co cześć się należy!

Znikają nedorzeczne przesady. Dzień świta.

* * *

Zapisałiśmy ploteczkę o młodym szlachciu uczącym się garbarstwa, a w odwet, któryś z czytelników podszeptał nam historyjkę o panu Saturninie.

Pan Saturnin odziedziczył po ojcu dość duży majątek w ziemi, bo mający przeszło dwakroć sto tysięcy wartości. Na szkolnej ławce nie siedziało się długo, młodość zajęła wojaczka, potem jeździło się po świecie — może trochę za długo, wyczerpały się wreszcie fundusze i trzeba było powrócić do domu, ożenić się i „gospodarować“. Gospodarka jednak, to nie zbyt zabawne zajęcie, szczególnie dla tych, którzy o gospodarstwie nie wiele mają wyobrażenia i gospodarują nie z ochoty ale — z konieczności czy z obyczaju. Życie towarzyskie i sąsiedzkie, odwiedziny i zjazdy, polowania z chartami i z pogonką, na grubego zwierza i na ptaszki, stajnia wreszcie zbytkowych koni — oto były główne zajęcia „gospodarcze“ pana Saturnina.

Gospodarstwo szło źle. Zaciężyła na majątku pożyczka w towarzystwie kredytu ziemskiego na podniesienie gospodarstwa zaciągnięta, a jednak mimo poczynionych wkładów, gospodarstwo szło źle. Po śmierci żony sprzedało się jej majątek dla oczyszczenia swojego z długów; syn pana Saturnina, pan Apollo, wyrósł już na dużego chłopca i nie skończywszy szkół zaczął pomagać ojcu w gospodarstwie, ale gospodarstwo pomimo tej pomocy szło źle i źle i coraz gorzej...

Zaczęła się w kraju jakaś ruchawka. Pan Apollo, idąc za tradycją rodzinną, nie wahał się ani chwili i wziął w niej udział. Ruch źle obliczony, nie w porę zaczęty, nie mógł mieć powodzenia, a po

klęsce pan Apollo znalazł się na emigracji a pan Saturnin w kozie. Ojciec uwięziony nie mógł synowi posyłać pieniężnego zasiłku, listy do rodziny w złych zresztą interesach będącej, bądź przypadły w drogę, bądź też trafiły na obojętność, dość, że pan Apollo znalazł się zagranicą bez grosza w kieszeni...

Czy demagog jaki i komunista zawrócił głowę szlacheckiemu dziecku, czy też nieubłagana zmusiła go konieczność, pan Apollo, szukając powszedniego chleba, musiał szukać zarobku, a nie mając żadnej nauki a wiele fizycznej siły, znalazł go... o zgrozo... jako posługacz przy jakimś młynie parowym...

Panu Apollonowi nie brakowało jednak wrodzonego szlacheckiego czy chłopskiego sprytu. Z posługacza stopień po stopniu doszedł on do godności maszynisty, a po kilku latach nawet i głównego dozorcę młyna i już wcale przyzwolitą pobierać zaczął pensyjkę gdy ojca wypuszczono z kozy. Po wydostaniu się na wolność, pierwszą czynnością pana Saturnina było wysłać do syna sporą paczkę banknotów.

Ucieszył się pan Apollo otrzymawszy równocześnie wiadomość o uwolnieniu ojca i pieniądze; przez chwilę oddał się słodkiemu marzeniu, że zrzuci fartuch młynarski i nagle ku zdziwieniu współtowarzyszy pracy przedzierzgnie się w wielkiego pana. Krótco jednak trwały te projekta. Żał się jakoś zrobiło panu Apollowi za tym młynem

i za tem zajęciem, które w emigracyi nie łatwoby mu przyszło zamienić na inne, i za tem stanowiskiem zdobytem wytrwałością i pracą. Nawykł on przez lat kilka do pracy — nauczył się ją cenić w innych i w sobie, wstyd mu było wracać do wygodnego *dolce far niente*. Pozostał przy młynie.

— Cóżbym ja robił na świecie? Na śmierć bym się zanudził próżniaczem życiem, bez zajęcia i bez celu!

I dowiedział się ojciec pana Apolla o kondycyi młynarskiej swego syna i o jego zamiarach i zmartwił się bardzo.

— Porzuć młynarstwo, — napisał mu — bo to zatrudnienie niegodne nazwiska, które nosisz.

— Porzucić młynarstwo? — rozumował syn. — Nigdy! Wszak to jedyna rzecz, którą u m i e m.

I dumnym się czuł pan Apollo, poczuwszy, że coś u m i e. A to uczucie dumy słusznem było i stokróć zacieńszem od owej dumy szlacheckiej, która dyktowała ów list jego ojcu.

Kilka lat jeszcze minęło, zanim pan Apollo mógł powrócić do kraju. Przez tych kilka lat pan Apollo oddawał się całą duszą swemu zawodowi i mając już dostateczne środki potemu, wykształcił się gruntownie w mechanice i manipulacyi młynarskiej.

Wrócił nakoniec. Czuł, że wrócić powinien, skoro wydana amnestya usunęła już wszelką przeszkodę powrotu do ojczyzny. A jednak, gdy jadąc koleją, po raz ostatni ujrzał w oddali ów młyn,

któremu zawdzięczał nietylko to, czego się nauczył, ale poniekąd całe swe moralne przeobrażenie, to mimowolnie Iza mu się zakręciła w oku...

Interesa majątkowe ojca stały jak najgorzej. Gospodarstwo w zupełnym było nieładzie i zaniedbaniu. Wyluszczył mu ojciec stan rzeczy i rzekł w końcu:

— Pożyczyłem dla ciebie od Icka na 16⁰/₀ ośm tysięcy. Jedź synu na karnawał i ożeń się bogato, aby oczyścić majątek, bo inaczej długi nas zjedzą i za lat kilka trzeba będzie go sprzedać za bezcen.

— Zapomniałem się wiercić po salonach, sprostać w młynie mój ojczu, żadna mnie panna salonowa nie zechce. Dla posagu żenić się nie potrafię. Nie zaprzędam domowego szczęścia za majątek.

Ucałował pan Saturnin głowę synowską. Przypominał sobie swoje młode lata.

— Nie dziwię się synu, że tak mówisz. I ja tak mówiłem za młodu. A więc weź się do gospodarstwa i ratuj jeśli można, bo ja w tych kłopotach już radzić nie zdołam. W więzieniu resztę straciłem zdrowia, chory jestem i stary. Weź się do gospodarstwa i pracuj jak ekonom.

— Nie ojczu, do gospodarstwa się nie wezmę, bo gospodarować nie umiem. Gospodarką moją bardziejbym sprawy zawikłał, a po kilku latach z majątku sprzedanego na licytacji nicby nam nie

zostało. Lepiej sprzedajmy go teraz, póki sprzedać go możemy bez pośpiechu, a ja ci młyn postawię, który nam w kilkunastu latach podwoi wyłożony kapitał.

Długo opierał się Saturnin, a sprawy szły coraz gorzej i gorzej. I uległ wreszcie starzec pod brzemieniem kłopotów.

Apollo sprzedał dziedziczny majątek, który od stu lat blisko był w ręku jego rodziny.

Niedaleko jednej ze stacji kolei żelaznej stanął młyn Apollona *** i spółki.... Ale długa to historia. Pomińmy milczeniem lat kilkanaście i powiedzmy lepiej, jak się kończy.

Oto koniec powieści: Dziś właśnie zawarty został kontrakt kupna i sprzedaży, mocą którego pan Apollo wszedł napowrót w posiadanie starodawnej siedziby swojej rodziny i odkupił ją wraz z grobami swoich rodziców. Kilkanaście tysięcy zapłacił za nią drożej, niż ją niegdyś był sprzedawał, ale kupił lepiej zagospodarowaną niż sprzedawał. Młyn, w którym mieszka wraz z liczną rodziną, pozostaje i nadal w jego ręku.

Czytelnik. Ależ mój panie Pseudonimie, mógłbym ci wyliczyć na palcach wszystkie młyny parowe i wiem, w czyjem są posiadaniu. Powiedz, gdzie się to działa ta historia? Chyba nie w Galicyi?...

— Na księżycu.

— Aaa! A więc to już nie plotka nawet, ale wierutna bajka?

— Niestety!

* * *

Powróćmy do Rzepakówki, do pana Dezyderego.

Pan Dezydery i pan Kalasanty siedzą obaj nad owym nieszczęsnym numerem *Kraju*, w którym pojawił się ów „niedorzeczny“ artykuł felietonowy o galicyjskich agronomach. Sierdzą się na dziennikarzy i demagogów, coraz bardziej utwierdzają się i przekonują wzajemnie o „niedorzeczności“ owych uwag i nakładają fajkę po fajce, a radzą i radzą.

— To widocznie do tego zmierza, zakonkludował pan Dezydery, aby nas szlachtę, nas gospodarzy, odsądzić od polityki, od wszelkich spraw publicznych. Jak dwa a dwa cztery! Bo już ci szlachcic a gospodarz to jedno i to samo.

— *Słownorzu*, że jedno! — zaklął się pan Kalasanty.

— Jeżeliś gospodarz, to znaczy jeżeliś szlachcic, to sobie gospodaruj, jeżeli umiesz, a jak nie umiesz, to zdaj się na łaskę ekonoma albo dzierżawcy, a sam idź do diabła...

— *Słownorzu*! do diabła.

— Gospodaruj, bo to twój fach, ale od polityki wara!

— Słowo honoru, że wara...

Nie, moi panowie! Między polityką a polityką są różnice. Obok obowiązków, jakie każdy specjalny zawód z sobą przynosi, obok obowiązków zawodu gospodarza, przemysłowca, wojskowego, literata, ciąży na każdym z nas obowiązek wszystkim wspólny, najświętszy: obowiązek obywatela.

Od spraw publicznych nikomu usuwać się nie godzi, ani zapominać o łączności wszelkich zawodów i wszelkich spraw społecznych ze sprawą narodową.

Od udziału w sprawach publicznych nie odsądzamy nikogo, lecz niech każdy umie się roztropnie ograniczyć na właściwym mu zakresie działania, odpowiednim jego wiadomościom i inteligencji. Niech każdy zresztą takie tylko obowiązki publiczne na siebie bierze, którym podołać jest w stanie, które nie po dyletancku, ale z całą gorliwością wypełniać potrafi.

Cóż mi to np. za poseł sejmowy, który w czasie posiedzeń kilka tygodni przesiedzi na ławce w sejmowej sali, głośnie wedle najlepszego zdania swego, przemówi nawet kilka razy i namozoli się w sejmowych komisjach, ale skoro sesje zamknięte, wraca do domu szczęśliwy jak chłop po odrobieniu „pańskiego“, że będzie mógł zapomnieć na czas jakiś o „polityce“ i odda się własnemu gospodarstwu lub innym zajęciom? Zdaje mu się, że spełnił wszystko co do niego należało, nie czuje

obowiązku robienia gruntownych studyów w przedmiotach prawodawczych, które na przyszłej kadencji przyjdą pod obrady, nie pomyśli o potrzebie niezbędnej wszechstronnego zbadania tych żywo-tych kwestyi, w których głosem swoim zaważyć mu wypadnie.

Przyjąć mandat poselski, powiedzieć mówkę dzięczynną panom braciom, zaprosić swych wyborców na suty obiadek, to wszystko rzecz łatwa, ale dobrze się z swego mandatu wywiązać, to wcale co innego. Na to nie wystarcza być właścicielem dziedzicznej włości, ani potomkiem starożytnej rodziny, ani dobrym gospodarzem, ani nawet dobrym patriotą i szanowanym powszechnie obywatelem.

Otrzymać mandat poselski, to rzecz zaszczytna ale cóż przyszło z tego zaszczytu tym panom posłom, którzy dotąd w swojej okolicy powszechnego używali poważania, nieznani w szerszych kołach, zjednali sobie długoletnią acz niegłośną działalnością cześć i zaufanie współobywateli i sąsiadów, a obecnie stanawszy na widowni politycznego świata, dając tyle dowodów nieudolności swojej i braku politycznego wykształcenia, stali się pośmiewiskiem całego kraju i celem pocisków humorystycznych pisemek? Najpoważniejsze postacie w niewłaściwą przeniesione sferę stały się karykaturami. Nie zadowolono już swoją, ale komicznością jedną sobie rozgłos, a choć to ludzie wzorowej prawości, dzie-

ciom jednak swoim zostawiają w spuściznie słusznie ośmieszone nazwisko.

Intryganci polityczni i menerowie stronnictw i koteryi wraz z swymi poplecznikami wyzyskują ich pocziwe imiona, stanowisko społeczne i zaufanie w obywatelstwie, karmią ich pochlebstwami, mydlą im oczy, ale w kraju... w kraju dość wspomnieć ich nazwiska w jakim poważnem gronie, aby śmiech wywołać.

— Ba, to może i prawda — odezwał się znowu pan Dezydery — ale czemuż to nam gospodarzom przed innymi wytykać dyletantyzm w polityce? Jeśli prawda, że każdy zawód wymaga wyłącznego oddania mu się, to nie tylko gospodarz, ale i człowiek każdego innego zawodu w polityce partaczem tylko być może, jeśli jej się wyłącznie nie poświęci?

Masz pan poniekąd słuszność panie Dezydery, ale chciej zważyć, że nigdzie u nas nie znajdziesz tytułu dyletantów - polityków, jak między dyletantami gospodarzami. Jest to zresztą fakt łatwy do zrozumienia. Powiedzieliśmy już nawet, że żaden zawód nie wymaga w tak wysokim stopniu zupełnego oddania mu się, ciągłej baczności i zapobiegliwości, nieprzerwanej działalności, tyle jednym słowem czasu, jak gospodarstwo.

W Ameryce szewcom i krawcom łatwiej niż gospodarzowi dostąpić godności prezydenta Zjednoczonych Stanów; a w samej rzeczy właścicielowi

wielkiego warsztatu w jednym mieszczącego się domu, więcej zostaje wolnego czasu do studyów politycznych, mieszkającemu w mieście więcej służy sposobności kształcenia się i wymiany zdań, niż osamotnionemu na wsi gospodarzowi, którego warsztatem jest przestrzeń kilkuset lub kilkutysięcy morgów, a którego powodzenie nie od samej tylko wprawy i pilności czeladzi, ale od niezliczonych innych zależy warunków...

Gdzie zresztą gospodarstwo dokładnie urządzone, gdzie wszystko obraca się jak w zegarku, tam i gospodarz, jeśli sam u siebie służy ekonomowi nie pełni, znajdzie dość czasu, aby z publicznymi obznajomić się sprawami. Ale powiedz sam panie Dezydery, w ilu to włościach gospodarstwo tak urządzone? Mało gdzie. Toż politykujący gospodarz jest zwykle dyletantem w polityce, albo dyletantem w gospodarstwie, a najczęściej dyletantem w jednym i drugim.

* * *

— Już tam gadajcie sobie co chcecie — ale mnie się to staremu w głowie pomieścić nie może, żeby szlachcic porzucał gospodarstwo, a może jeszcze wyniósł się ze wsi i szukał wiatru w polu po szerokim świecie. Szlachcic i nie gospodarz! tfu, do czarta!

I wzruszył pan Dezydery ramionami.

— Szlachcie i doktor! Szlachcie i profesor! Szlachcie fabrykant! może i szlachcie-szewc narzecie!

— Niech sobie stawia zresztą fabrykę kiedy chce, ale niech gospodarstwa nie porzuca, bo ziemia, to chleb, a na fabryce prędzej straci jak zyska, jak tylu już straciło... To jota w jotę, jak ten fabrykant powozów Kochanowskiego, co go grali w amatorskim teatrze.

— Słowonoru, w komedyi Korzeniowskiego — sprostował pan Kalasanty.

— A tak, Korzeniowskiego. Jak ty to wiesz panie Kalasanty, jak literat! a jednak gospodarstwa nie rzuciłeś. Ot, np. przeciw takiej literaturze nie mam. Gospodarujesz, a piszesz wiersze, no, żeby się i Korzeniowski zawstydził. Naprzykład ten twój toast na imieninach pana Jacka:

Gdzież się podziła ojczysta epoka,
Jak orzeł dziarska, jak gwiazda wysoka.

Pan Kalasanty przerwał, aby dokończyć:

— Jako falanga, co ku niebu wionie,
Smutna lecz chrobra po ojczyzny zgonie!
Ale Jacenty! dziś twe imieniny,
A więc wesołe płyną nam godziny,
Bo gościnności staropolska...

— Wiem, wiem — przerwał pan Dezydery; który już nie raz słyszał to areydzioło gospodar-

skiej muzy, z napuszystą werwą stentorowym głosem deklamowane przez autora. Wiem, wiem, taka literatura to aż ale! Ale np. ten Wojtuś! ten Wojtuś! oj, powiedziałem ja mu słowa prawdy, aż mu w piętę poszło. „Twój ojciec był dobrym gospodarzem, panie Wojciechu“, powiedziałem mu, I powtórzyłem: „dobrym gospodarzem! A ty porzuciłeś panie gospodarstwo i siedzisz w książkach jak mól!“

— Jak mól! Słowonoru! I cóż? zawstydził się?

— Gdzie tam panie! taka to młodzież wychowana w mieście! Oj, gdyby mi mój syn tak zrobił... ho, ho! Gdyby mi powiedział, że nie ma ochoty do gospodarstwa, — że co innego chce robić... a baty, panie baty! wyrzekłbym się, wydziedziczył! Dałbym ja mu ochotę!... Kto ziemi nie kocha, panie dobrodzieju, to i ojczyzny nie kocha!

— Słowonoru! nie kocha! — Tak jest, wytrwać szlachcicowi na stanowisku między ludem wiejskim, gdzie go Bóg postawił, jak ojca między dziećmi... A któż między tym ludem szerzyć będzie oświatę, a któż szczepić w nim będzie miłość ojczyzny, jeżeli się szlachcie do miasta wyniesie?

— Laryfary! to romanse panie Kalasanty! Chłopu miłości ojczyzny nie zaszczepisz, bo się na jego skórze nie przyjmie. Chłop, to nie szlachcie To inna krew. Szczepiłeś, szczepiłeś — no i cóż?

W r. 1846 zrabowali cię i zrabowaliby i teraz, gdyby im tylko wolno było. Już to mimo twego złotego serca i twojej łagodności, panie Kalasanty, mało kto ma tyle procesów i zatargów z chłopami, jak ty. A to właśnie przez twoją dobroć panie Kalasanty. Oto mojem zdaniem, to pierwsze szlacheckie przykazanie: siedź na wsi, ale dla gospodarstwa nie dla jakiejś tam demagogii szlacheckiej, oświaty ludu i t. p. Drugie: Chłopu książek nie trzeba ani abecadła, tylko tęgiego księdza i tęgiego bata nad głową. Trzecie:

— Nie zgadzam się, słowonoru! nie zgadzam się sąsiedzie! — przerwał pan Kalasanty gorączkowo.

— Nie trzeba abecadła! nie trzeba! — powtórzył po dwakroć pan Dezydery.

— Trzeba! słowonoru trzeba!

— Bata i księdza! bata i księdza! — wrzeszczał chrypliwym głosem pan Dezydery.

— Słowonoru, słowonoru, nie! nie i nie! — głośzył go basem pan Kalasanty. I zaczęli obaj sąsiedzi z wielkim ferworem gadać równocześnie.

— O czemże to sąsiedzi dobrodzieje tak żywo dysputujecie? — zapytał pan Tomasz, trzeci uczestnik wczorajszego taroczka, który dopiero teraz zjawił się w pokoju.

Obaj przeciwnicy wyluszczyli przed nim swoje zdania.

Pan Tomasz, były uczeń akademii rolniczej w Grignon, młody, ale praktyczny i postępowy gospodarz, zamyślił się głęboko.

— Moi panowie, rzekł po dłuższym namyśle, nie wierzę w to, abyśmy się w tej materii porozumieć mogli. Zdania nasze za nadto się rozstrzeliły. Muszę się wam przyznać, że co do mnie nie mógłbym się zgodzić ani z tobą panie Dezydery, ani z tobą panie Kalasanty...

— A tom ciekawy — zawołał gospodarz domu — jak tu można być trzeciego zdania!

— Słowonoru i ja! — zawtórzył pan Kalasanty.

— Oto, panie Kalasanty, wysoko ja cenię szlachetne pańskie usiłowania i tyloletne trudy, podjęte w celu zjednania sobie zaufania ludu wiejskiego i tę żelazną wytrwałość mimo tylu bolesnych rozczarowań w propagandzie narodowych uczuć pomiędzy tym ludem...

— Laryfary! — przerwał pan Dezydery.

— Na stu, na dwustu obywateli ziemskich nie wiem, czy znajdzie się jeden, któryby tak wytrwale w tym pracował kierunku. To nie komplement, to tylko prawda. Ale powiedz mi pan, jakie osiągleś rezultaty? Zjednałeś sobie dobrodziejstwami twemi kilku, może kilkunastu światlejszych i pocziwszych włościan, którzy, przypuszczam, że nie dla osobistej korzyści, ale szczerze ci są oddani. I cóż? Oto ci twoi zwolennicy stracili właśnie wszelkie

zaufanie w całej gminie, i żadnego na resztę wsi nie mają wpływu, dlatego jedynie, że się zbliżyli do dworu.

— No, słowonoru, to prawda... ale...

— Ale powiem panu coś więcej. Zaufanie ich do pana jest czysto osobiste — i do pana wyłącznie się odnosi, nie łagodząc bynajmniej ich niechęci i podejrzliwości ku innym „panom“, czyli jak oni mówią „ciarachom“. Zdarzyło mi się przypadkiem podsłuchać w oberży przeze drzwi rozmowę tych chłopów, których pan przywiozłeś z sobą na zgromadzenie filii towarzystwa gospodarczego. Oto w szynkfasie przy szklance piwa brali każdego z nas na języki. O panu Dezyderym naprzykład, mówili, że co roku jeździ do Lwowa, aby uprosić namiestnika o przywrócenie pańszczyzny i że namiestnik już mu to raz był obiecał, ale cesarz dowiedziawszy się o tem, nie pozwolił tego uczynić.

— A to lotry! — wrzasnął pan Dezydery. — I powiedzże sam sąsiedzie, wartoż tu dla nich co robić?

— Przypatrywałem się stosunkom społecznym we Francyi, w Belgii, w Niemczech, w Anglii. — Czy sądzicie panowie, że zaufanie wzajemne tych dwóch ostatecznych, krańcowych warstw społeczeństwa, gdziekolwiek istnieje? Czy sądzicie, że przy tak wielkiej różnicy stopnia wykształcenia, stanowiska majątkowego i społecznego, zaufanie takie wogóle jest możliwe? Wyjątkowo chyba zdobyć je

może tu i owdzie obywatel z podobnem poświęceniem. Ale takich jak pan nigdzie się wielu nie znajduje. U nas w Polsce antagonizm tych dwóch ostatecznych warstw, musi być z natury rzeczy tem większy i tem trudniejszy do złagodzenia, iż nie ma prawie u nas pośredniczącej warstwy, któraby zapełniła w organizmie społecznym przepaść między „chłosem“ a „panem“. Dopiero z czasem, przy wolności parcelowania własności, potworzyć się mogą obszary rozmaitej wielkości, tak, iż nie będzie można w końcu oznaczyć, gdzie się „chłosem“ kończy, a „pan“ zaczyna... Ale do tego daleko... Jednakże i dziś już walczący z biedą dzierżawca, lub nawpół schłopały dziedzic małego folwarku, więcej zwykle posiada zaufania u ludu wiejskiego, niż najzaciejszy właściciel wielkiego majątku, choćby prawdziwym był dla włościan dobrodziejem. Czy wobec takiego stanu rzeczy apostołstwo większych właścicieli między ludem wiejskim, jakiego się pan podjąłeś, panie Kalasanty, nie jest tylko zmarnowanym czasem?...

— Tak, tak! — wołał pan Dezydery.

— Słowonoru, że nie! — protestował pan Kalasanty.

— ...Jam Tomasz... może „niewierny Tomasz“ — pawał pan Tomasz dalej — ale pozwólcie panowie, że jedno jeszcze powiem. Pomyślcie panowie, jak długo, ile to wieków zajmowała szlachta to

patryarchalne stanowisko między ludem wiejskim. Jakież tego rezultaty?

— No, to cóż? słowonoru źle jest, ale czy mamy już ręce opuścić i na wieki pożegnać się z nadzieją? Jakąż pan dajesz radę, panie Tomaszu?

— Tegich księży i tegiego bata: oto wszystko! — przypomniał pan Dezydery.

— I tędzy księża byli i bat był tegi panie Dezydery, a jakoś nie pomogło — odparł pan Tomasz. — Jabym inną dał radę. Możeby to pomogło, co gdzieindziej pomaga. Możeby to umoralniło ten lud i wlało w niego narodowe poczucie, co żywi w samej szlachcie szlachetne uczucia i miłość ojczyzny: oświata... W oświacie ludu najwyższy interes i ludu i sprawy narodowej i nawet interes materyalny samejże szlachty...

— Et! — mruknął pan Dezydery.

— No, o tem nikt już nie wątpi — zauważył pan Kalasanty.

— Mało kto w to wierzy, powiedz pan raczej! — odparł pan Tomasz i dodał: — czy sejm jest reprezentacją kraju?

— Jest, jest! — odpowiedzieli zagadnięci.

— Jakąż uchwalił ustawę o konkurencji szkolnej, przewagą głosów poselskich z większej posiadłości? Oto ustanowił, że do utrzymania szkółki ludowej obszar dworski ma się przyczyniać w takim stosunku, w jakim stoi liczba zamieszkujących go osób do ludności gminy. W ten sposób obszary

mające kilkaset morgów ornej ziemi i kilkaset morgów lasu, płacą czasem tylko kilkadziesiąt centów rocznie. Powiedźże mi szanowny panie Kalasanty, czy wysoki sejm byłby podobną uchwalił ustawę, gdyby w samej rzeczy w oświacie ludu upatrywał zbawienie kraju?

— Sejm chciał zostawić każdemu możność dobrowolnej ofiary.

— A iluż z niej skorzystało? Obacz pan fasye szkolne. Możliwość ofiary zresztą, pozostałaby nie naruszoną nawet w razie ustanowienia sprawiedliwszego rozkładu ciężarów... Tak jest, panowie, mało kto jeszcze wierzy u nas w pożyteczność oświaty ludu. Towarzystwo Przyjaciół Oświaty ludu, którego roczna wkładka tylko 1 zł. reński wynosi, ilu liczy członków? Niespełna trzy tysiące. W ilu powiatach udało mu się pozakładać filie? Zaledwie w dwudziestu kilku...

Milczeli obaj sąsiedzi. Pan Dezydery znacząco spojrział na pana Kalasantego, pan Kalasanty równie znaczącym odpowiedział mu spojrzeniem.

— A zawsze na tę szlachtę nieszczęśliwą walić wszystkie winy, wy młodzi! Słowonoru!

— Ho, szlachta wszystkiemu winna! zawsze! — mruknął z przekąsem pan Dezydery.

— Postaw szlachcieu szkółkę...

— A potem wynoś się do stu...

— Na profesora...

— Albo na doktora...

— Albo na szewca...

— Ależ panowie sąsiedzi! — zaczął się usprawiedliwiać pan Tomasz.

Daj pokój panie Tomaszu, nie usprawiedliwiaj się nadaremnie. Nie w porę się wybrałeś z twemi uwagami. Ot, lepiej siadaj na bryczkę zaprzężoną już przed gankiem i wyjedź z Rzepakówki.

My pójdziemy za twoim przykładem, tem bardziej, że w tej chwili list nam doręczono, zaadresowany:

*Do Pseudonima, prawdziwego plotkarza
na ręce redakcyi „Kraju“.*

* * *

W liście stały następujące wyrazy:

„Szanowny Pseudo-pseudonimie czyli Pseudonimie bez pseudonimu, t. j. bez przybranego nazwiska, ergo szanowny anonimie! Popelnieś niesprawiedliwość. Napraw ją póki czas. Pisałeś o polakeryi i przedstawiłeś o zom naszym dwa typy: drewnianego, bezbarwnego pana Pafnucego i lojalnego pana Ziemomysła, bo jużci zacny pan Ziemowit, który wlaźł w ten rozdział jak Piłat w Credo, polakeryą nie grzeszy. — W Twoich jasełkach oczekujemy trzeciej figurki: reprezentanta o pozycyjnej polakeryi. Mogę ci wymienić typową postać tego kalibru, która ze wszech miar zasługuje na to, aby ją unieśmiertel-

nić w twoim albumie. Tą postacią jest pan... (tu imię i nazwisko) z... (miejsce pobytu). Jeślibyś go nie znał, to łatwo zasięgniesz o nim informacji. Zaręczam ci że warto: egzemplarz *non plus ultra!* — Przyjm i t. d.

Nie anonim“.

W odpowiedzi na to pismo, składamy szanownemu „nie-anonimowi“ wyrazy wdzięczności za uczynioną nam uwagę, której słuszność najzupełniej uznajemy, a oraz za poddanie wybornego typu, z którego nie omieszkamy korzystać, tem bardziej, iż wskazana persona osobiście nam jest znana. Nie wymieniając jej po nazwisku, damy jej pseudonim „pana Zbigniewa“.

Tak jest, gdy była mowa o polakeryi, jeszcze o tobie należy się wzmianka na tem miejscu, panie Zbigniewie.

* * *

Iwaś, poczuwszy się Polakiem, poszedł się bić z Moskalami. Niepiśmienny i niewykształcony chłopak innego dowodu swej polskości dać nie mógł. Dał największy a jedyny, na jaki go stało, wywiązał się świetnie z swoich obowiązków tak jak je rozumiał. Po tobie jednakże panie Zbigniewie, któremu nauki i wykształcenia odmówić niepodobna, mielibyśmy prawo oczekiwać czegoś więcej. Tymczasem oprócz tej krwi walecznej, którą ci dzida

kozacka usączyła z ramienia, wszystko prawie zresztą, czem nacechowałeś twe życie, nie było polskością ale polakeryą.

Nie chodzisz wprawdzie, jak pan Ziemomysł w turkusowym żupanie i w litym pasie po ulicach Wiednia i Paryża, nie migasz czapłem piórem poprzód oczy zagapionym Niemkom i Francuzkom, zrzuciłeś nawet, jak słyszałem, skromny żupanik XIX wieku i skórzany pasek z klamerką, ale ten wyraz „polakerya“ nie odnosi się tylko do śmiesznego popisywania się strojem i do próżniaczych kostyumowych manifestacji, lecz do całej tej pseudo-polskiej junackiej fanfaronady, w której odznaczałeś się zawsze z pośród dość liczного grona ludzi tobie podobnych.

Jeśli twą postać wybrałem do mego albumu a nie którego z twoich towarzyszy, czynię to także i dlatego, że rzeczywiste zalety, jakie pomimo polakeryi tej posiadasz, złagodzą nieco cierpki zarzut, którego ci nie oszczędzę.

Polakerya twoich towarzyszy jest najczęściej obrzydłą maską próżniaczego egoizmu i tchórzostwa, jest że tak powiemy wygodną taktyką „wykpienia się“ zdawkową monetą z ciężkich obowiązków narodowych. Wrzeszczą oni i „pomstują“, ale żaden z nich niezdolny i najmniejszej ofiary dla sprawy narodowej. Wrzeszczeli jak opętani w owym roku, gdyś ty mężnie czoła nadstawiał, ale żaden z nich bić się nie poszedł, żadenby i z pod

paznokcia krwi nie utoczył dla sprawy, za którą gardłuje. Junacka swawola tam gdzie ona nie nie kosztuje i na nic nie naraża — oto wszystko. Jak Ischariot za kilkanaście srebrników, za smaczne śniadanko i uścisk Annaszowej lub Piłatowej ręki, sprzedałby niejeden z nich tę matkę, o której wiecznie prawi...

Fatalnym jest wpływ ich na niedoświadczoną młodzież, a niestety tak łatwo wpływ ten zdobyć umieją. Znam wprawdzie kilku najzaciejszych młodzieńców, w których sercu czystą miłość ojczyzny tacy właśnie niecni propagatorowie zażegli, tacy, o których sądziłby można, że z ich zasiewu kłakół tylko powstanie. Ale to rzadkie wyjątki. Apostolstwo junaków-krzykaczy, junaków tylko i krzykaczy zwykle tworzy. Jeśli ich liczba w ostatnich czasach zamiast wzrastać zmniejsza się widocznie, przypisać to należy innym wpływom i zdrowemu instynktowi młodzieży.

Dość o nich. *Guarda e passa!* powtórzmy za Dantem.

Nie liczę ciebie do nich, panie Zbigniewie — chociaż pozory narażają cię na to. Nie zaciskaj pięści, nie przygryzaj wargi, posłuchaj cierpliwie. Przypomnę ci niektóre szczegóły z twego życia. Może przyznasz, że mój zarzut słuszny. Nie tracę nadziei że przyznasz, bo cię znam jako człowieka dobrej woli.

Przypomnij sobie czasy szkolne. Pamiętasz na-

szego profesora niemca, chudego jak szczypa, z krzaczastemi brwiami i olbrzymią brodawką nad lewem okiem? On cię pewnie pamięta jeśli jeszcze żyje, boś mu się dobrze dał we znaki. Nie cierpiałeś go — dlatego, że niemiec, chociaż nie należał on do wrogów naszej narodowości. Namawiałeś twoich kolegów aby nie uczęszczali na jego wykłady — dlatego, że niemiec. Płatałeś mu z twoimi przyjaciółmi tysiące psot, które on z stoiczną znośił powagą. Pilniejszych jego uczniów podawałeś na posmiewisko, piętnowałeś ich pogardą jako złych patriotów, rzucałeś na nich ubliżające a niesłuszne podejrzenia, nie szczędziłeś nawet pogroźek. Dziś oni stali się pożytecznymi obywatelami kraju, zjednali sobie powszechny szacunek. A ty panie Zbigniewie?...

Pamiętasz pewnie ów ciemny kurytarz, w którym zaczajony czatowałeś przez cały wieczór wraz z pięcioma pseudo-patriotami nieukami na niemca wracającego do domu. Znieważyliście i zbili biednego starca bez litości, za to, że się Niemcem urodził. Odchorował ciężko. Z was kilku wypędzono ze szkół, a tylko tobie rzecz uszła na sucho skutkiem wpływów twego ojca.

Szkoda, żeś pozostał w szkołach! Nienauczony doświadczeniem broiłeś dalej i dzięki twoim zabiegom kilkunastu jeszcze zdolnych i pełnych nadziei młodzieńców ze szkół wypędzono. Zagroziłeś im drogę do wykształcenia i uczyniłeś pasożytami lu-

dzi, którzyby mogli byli stać się chlubą ojczyzny.

To były polakerye, panie Zbigniewie. Zawiązane przez ciebie studenckie sprzysiężenie, bezcelne a schlebiające tylko twojej próżności, wydawany przez ciebie tajny pisany dzienniczek studencki, za który odsiedziałeś kilka miesięcy w kozie — to były dziecinne polakerye.

Gdybyś był na nich poprzestał jak poprzestało na nich tylu twoich kolegów! — Nie, zaledwie urosł ci wąsik pod nosem, na większą zacząłeś je wyrabiać skalę. — Jak w tak zwanej sztubie w poczuciu polskości tłukłeś żydków w kark i często wałęsałeś kuksami ziobra twoich kolegów, nie mających nazwisk zakończonych na ski albo wicz, tak dorosłym młodzieńcem zacząłeś deptać w tańcu po nogach oficerskich i synom urzędników potulnym jak baranki a czasem nawet zupełnie spolszczonym rzucałeś w twarz najdotkliwsze impertynencye. Nastąpiła dla ciebie epoka pojedynekowa. Odwagi ci nie zaprzeczam. Biłeś się dzielnie, rozdałeś szram nie mało i sam niejedną z tego czasu na ciele nosisz pamiątkę. Ależ to była polakerya panie Zbigniewie!

Znudziła cię nakoniec rola pojedynekowicza. Zawiesiłeś szablę i pistolety na niedźwiedziej skórce nad twem łóżkiem i wzięłeś się do pióra. — Wziąłeś się do publicystyki z taką pewnością siebie, jak gdybyś najrozleglejsze w tym zawodzie posia-

dał wiadomości i doświadczenie. Zaczęło się od uszczypliwych wiadomości miejskich i docinków dziennikarskich; w drugim stadium doszło do fabrykowanych korespondencji z nad rzeki tej lub owej i do zjadliwych felietonów; w trzecim stopniu choroby skończyło się na artykułach wstępnych.

W pierwszym stadium kąsałeś jak niedźwiadek winnych i niewinnych; w drugim rzucałeś kamieniem potępienia na najzasłużeńszych ludzi nauki za to, że niezużytkowują gruntownej nauki i zdolności na rzecz awanturniczego agitatorstwa, obrzucałeś błotem wszystkich inaczej od ciebie myślących; w trzeciej epoce nakoniec wytknąłeś nowe tory narodowej polityce, przemawiałeś do Europy w imieniu „dwudziestu milionów“, groziłeś jej jak swemu równemu, lub znowu ofiarowałeś laskawie przymierze pierwszorzędnym mocarstwom. Rozmachałeś się wreszcie tak dalece, że artykuły twoje stały się „niemożliwymi“ a najliberalniejsze nawet prawo drukowe przepuściłoby ich nie mogło bezkarnie. Skończyło się na konfiskacie kilku numerów, na procesie i na kilkomiesięcznej kozie.

Wszystko to było bezpożytecznym krzykactwem i donkiszcocką szermierką. Wytrawniejsi czytelnicy poznali się wprawdzie na niedouczonej i niedowarzonej autorze, ale szersza publiczność nie raz patryotyczną przyprawą tych niedorzecznych artykułów — zbałamuconą została...

Wtem autor nagle ucichł. Zapewne znudził go pojedynek na pióra i zawiesił swoje mordercze narzędzie na niedźwiedziej skórze nad łóżkiem, obok szabli i pistoletów.

Autor odziedziczył majątek i wyjechał za granicę. Któżby w jego wieku odziedziczywszy majątek, postąpił był inaczej...

Nieśmiertelna polakerya znalazła inne pole popisu.

W pewnej stolicy niemieckiej zatrzymał się Zbigniew czas dłuższy. Powodem jego dłuższego pobytu była panna Wanda ***, która tam bawiła z ciotką. Panu Zbigniewowi podobała się panna Wanda. Pannie Wandzie nie podobał się pan Zbigniew. — Rozmyślał tedy nad sposobem zwrócenia na siebie jej uwagi, zjednania dla siebie jej serca. Wiedział, że jest nieco egzaltowaną, czuł więc potrzebę otoczenia się przed nią aureolą bohaterstwa.

Środkiem tego miasta przepływa szeroka rzeka. Kilka mostów łączy oba brzegi. W narożnym domu z balkonem, tuż przy jednym z tych mostów, mieszkała panna Wanda. Tą drogą harcował często pan Zbigniew na dzielnym arabie, sadząc przez most w szalonych lansadach ile razy ujrzał na balkonie popielatą sukienkę panny Wandy.

Otóż pewnego dnia naprawiano bruk na tym moście, przejazd zamknięto łańcuchem, zostawiając tylko wolną jedną stronę trotuaru do przejścia

dla pieszych, po którym jak zwykle taki tłum się cisnął, iż zaledwie można się było wyminąć. Pan Zbigniew, nieważając na tę przeszkodę, przesadził śmiałym skokiem przez łańcuch i zamierzał przedostać się na drugą stronę, zmuszając konia ostrogą aby stapał po kupach kamieni, rumowiska i dylów, leżących na środku mostu. Przeszkody te były jednak za wielkie, aby i najposłusznieszego rumaka do przebycia ich nakłonić można. Pan Zbigniew myślał już o odwrocie. Tłum ludu, zatrzymawszy się na trotuarze, począł się przypatrywać tej scenie. „Tędy pan nie przejeźdiesz“ wołano. Robotnicy zagrodzili mu drogę. Niemcy zaczęli się śmiać, a pan Zbigniew nieco zmieszany spojrzął na balkon panny Wandy. Na nieszczęście zobaczył popielatą sukienkę!... Przyparł więc konia do drugiej strony mostu i po kilku daremnych usiłowaniach zmusił go wreszcie z podziwienia godną zrzęczością do postawienia przednich nóg na baryerze murowanej, zaledwie półtorej stopy szerokiej... Okrzyk podziwu i przerażenia... Jeszcze jedno pościśnienie ostrogą i arab stał już na murku, po którym teraz pan Zbigniew stępo wprowadzie, — ale z fantazją dostał się na drugi brzeg.

Most to dość długi, przez czas tej jazdy zgromadził się tedy tłum cały na wybrzeżu. Zbigniew zmuszony był zatrzymać konia wśród tego tłumu. — Wtem Niemiec jakiś zbliża się do niego z uniżonym ukłonem.

— Pozwól pan, abym mu powinszował i wyraził powszechne podziwienie jego prawdziwie rycerskiej odwadze. Miasto nasze nie miało jeszcze sposobności oglądać takiego jeźdźca. Mam zaszczyt przedstawić się panu: jestem Mayer, współredaktor tutejszego dziennika ilustrowanego. Czy mogę prosić o szanowne nazwisko?

— *Ich bin ein Pole!* — wrzasnął pan Zbigniew z teatralną ostentacją i dał arabowi ostrogę.

Przez cały tydzień opowiadali sobie Niemcy to zdarzenie i debatowali... o czym? czy o odwadze Polaka? — Nie, o polskim szaleństwie. Dziennik ilustrowany umieścił drzeworyt przedstawiający tę scenę i dodał przy tej sposobności uczoną rozprawę o naszych obyczajach, nacechowaną niepospolitą znajomością naszego narodu i naszych dziejów. Stało tam między innemi, że nikt w dawnej Polsce nie mógł dostąpić żadnej godności obywatelskiej ani urzędu, kto nie przedłożył świadectwa szkoły ekwitacyjnej, a dalej, że na polu wyborczem stała baryera, którą każdy kandydat poselski musiał przesadzić na koniu, chcąc być wybranym. Za czasów elekcyjnych zostawał królem zwykle najlepszy jeździec.

Panna Wanda czytała to wszystko i bolała nad tem. Zbigniew przy najbliższej wizycie chłodniejszego niż zwykle doznał przyjęcia. Nie wywarło to jednakże pożądanego skutku.

Po tej pierwszej zwycięskiej próbie jako kawa-

lerzysta, Zbigniew wpadł w prawdziwą gorączkę junackiego humoru. Polakerya opętała go jak zły duch; puścił jej najzupełniej wodze i leciał już na oślep z szaleństwa do szaleństwa.

Pewne koła towarzyskie zaczęły się nim interesować, szczególnie zaś tak zwana złota młodzież tamtejsza. Cywilizowane pseudo-lwy niemieckie uśmiechały się ironicznie, ale czuły w duszy, że mu żaden z nich nie dorówna.

Złota młodzież dawała sobie zwykle *rendez-vous* w południe w pewnej cukierni, sławnej wybornymi *briochez* i sławniejszej jeszcze pięknymi oczyma panny *Kathi*. Pewnego razu polakerya skusiła Zbigniewa aby tam poszedł. Zażądał od panny *Kathi* kieliszka wódki. Podała mu malutki kieliszek, jakim Niemcy zwykli pić likiery.

— *Zu klein!* — zaprotestował ostentacyjnie pan Zbigniew polskim akcentem. — *Kathi* podała większy.

— *Zu klein!* — powtórzył Zbigniew jeszcze głośniej i zaśmiał się grubym głosem, wzruszając przytem ramionami.

Kathi podała największy kieliszek używany do wina i spojrzała z zadziwieniem na bohatera.

— *Est ist mir leid* — dodała — ale większego już niema.

— *Sehr klein!* — mruknął pan Zbigniew, trzęsąc głową, i wychylił spory kieliszek jednym haustem. — *Noch ein mal!*

Kathi już nie z zadziwieniem ale z przestachem spojrzała na niego wielkimi oczyma, nalewając drugi kieliszek.

Noch ein mal! i pan Zbigniew zażądał trzeciej porcyi, którą jak poprzednie przełknął gładko jak pigułkę.

Kathi była pewna, że bohater po wypiciu trzech kieliszków wódki padnie jak nieżywy, ale Zbigniew ani się zachwiał.

Wypadek zrządził, iż tego dnia znajdował się w cukierni świeżo przybyły z Petersburga młody Rosyanin, który, wnosząc zapewne po talencie, którym się wobec Niemców produkował Zbigniew, poczytał go za swego rodaka i, zbliżywszy się do niego, przemówił kilka słów po rosyjsku.

Zbigniew obrócił się z wyrazem oburzenia: Cóż to? — odrzekł po francusku, przybierając teatralną podstawę. — Pan mnie masz za Moskala? *Est-ce que je sens le goudron?*

Młody Moskal poznał od razu, że ma do czynienia z Polakiem, poczerwieniał na twarzy i usunął się na bok, poprzysięgając sobie w duchu za doznaną obelgę straszliwie się pomścić za powrotem do kraju... oczywiście nie na panu Zbigniewie, ale na jego rodakach.

Zbigniew pozostał jeszcze kilka minut w cukierni, czekając na wyzwanie, a nie mogąc się doczekać, powlókł dumnym wzrokiem dokoła i wyszedł.

— Nie darmo mówi przysłowie: „*soûl comme*

un Polonais — rzekł, śmiejąc się, Moskal, gdy się drzwi zamknęły. A potomkowie Teutonów przytakując, zawtórzyli mu śmiechem.

Dość już o twoich popisach polakerskich za granicą panie Zbigniewie. A całą litanie mógłbym ich jeszcze naliczyć. Ale jeszcze jedno.

Przypomnisz sobie zapewne ostatnie nasze spotkanie w pewnym nadmorskiem kąpielowem miasteczku, na wieczorze tańczącym w tak zwanym *Kursaalu*? Prowadziłeś nieskończonego mazura z dziką jakąś, a niezbyt estetyczną junacką fantazją. Sześć par niezbyt wyborowego polskiego towarzystwa brało w nim udział, cudzoziemcy przypatrywali się nieznanemu tańcowi i dziwacznym figurom improwizowanym przez ciebie a niepraktykowanym nawet na ziemi ojczystej.

— *Quelle danse grotesque!* — odezwał się jakiś Francuz.

— *Very shoking!* — zauważył Anglik.

— Widziałem coś podobnego na preryach — odparł łamaną angielszczyzną Niemiec turysta. — Tylko że Indyanie wywijają przytem tomahawkami. Zresztą te karykaturalno-wojownicze pozy, to tupanie nogami, te akrobatyczne figury i te okrzyki całkiem podobne...

— Hejże ha! — wrzasnął ochrypłym głosem pan Zbigniew, klaszcząc w dłonie i bijąc siarczyście hołubce obcasami swoich lakierowanych bucików.

— Hu ha! — zawtórzył mu mały niezgrabny blondynek z dużym nosem i rozczochną złotą grzywą, i puścił się w pogoń za pierwszą parą. Kilka razy przytem nadeptał długi ogon bareżowej sukni hulaszczej brunetki tańczącej ze Zbigniewem. Wydawało się wkrótce, że hulaszcza panna wlecie za sobą poszarpany jakiś lachman. Tanecznica rumianego blondyna, w króciutkiej spacerowej sukience, dbała zapewne o reputację polskiego mazura, chcąc go jeszcze dramatyczniejszym uczynić, podjęła fałdy swej sukni nakszaft fartuszka, przechylając główkę to na jedną, to na drugą stronę, co z przyczyn od niej niezawisłych, bo z winy przyrody, która poskaپیła jej wdzięku, nie zbyt uroczo wyglądało.

— Pan nie tańczy? — zapytała mnie nietańcząca również panna Wanda, dla której Zbigniew przyjechał był do kąpiel.

— Nie pani.

— Nie uwierzysz pan jak mnie męczy to widowisko. Węgrzy, których tu tak wiele, popisali się z swoim csardaszem, ale to trwało tylko pół godziny. A my popisujemy się tym nieszczęsnym mazurem przez cały wieczór. Całe tutejsze towarzystwo czeka i patrzy zniecierpliwione. Anglicy, Niemcy, Francuzi chcieliby tańczyć i nie mogą się doczekać końca. Głośno już szemrzą na naszą niedelikatność. Słyszałam sama jak ktoś zrobił uwagę, że niesłusznie wszystkich Moskali oskarżają

o gburowatość, że ten zarzut tylko Polakom zrobić można.

— Jakto? więc ten jegomość Polaków poczytuje za gatunek Moskali?

— I to za najgorszy. I w samej rzeczy, przyznaj pan, czy Moskale nie zachowują się daleko przyzwoiciej od nas za granicą?

— Sąd pani zbyt surowy. To dzisiejsze mazurkowe towarzystwo, to są wyjątki.

— Ale ileż takich wyjątków! Czy to nie smutne? Nie dziwiłabym się zresztą innym, ale np. pan Zbigniew...

— Jak się ożeni, to się odmieni... — pochwyciłem dość niezgrabnie.

Lekki rumieniec przemknął po twarzy panny Wandy.

— Gdyby się kto poświęcił... — dodałem.

Panna Wanda nic nie odpowiedziała.

Po chwili milczenia zwróciła się ku mnie, jakby chciała coś mówić i znów rumieniec osiadł na licu.

— Czy pani co rozkaże? — zapytałem.

— Chciałam prosić pana... Czy nie mógłbyś pan zwrócić uwagi pana Zbigniewa...

— Dziękuję pani za przypomnienie. Powinienem był to dawno już uczynić.

Dopadłem do Zbigniewa i zwróciłem jego uwagę, że wszyscy cudzoziemcy czekają na zakończenie mazurek, bo chcieliby także potańczyć.

— A to niech idą tańczyć gdzieindziej — odparł.

— Niema tu innej sali.

— A to niech tańczą na dworze.

— Ależ...

— Niech wiedzą te szelmy Niemcy i te Dżon-Bule, co to Polak znaczy...

— Ależ...

Nie dał mi skończyć pan Zbigniew, już hulał z swoją tancerką w najlepsze i wywijał nią jak furkadełkiem po sali. Wróciłem do panny Wandy i powtórzyłem dosłownie odpowiedź Zbigniewa.

Przygryzła usta i szarpała drobnymi rączkami swoją chusteczkę koronkową. Była bardzo rozgniewana i bardzo ładna w tej chwili.

— Czy pan mu powiedziałeś, że to... i nie dokończyła, żalując widocznie zaczętego pytania, które jej się mimowoli wyrwało. Policzki, broda, nos, uszy, wszystko odkryło się olbrzymimi rakami.

— Czy pani lubi homary? — zapytałem.

— Jakto?

— Pieczone homary?

— Złośliwy pan jesteś. Ale ażebyś pan nie pomyślał jeszcze co złośliwszego, to dokończę moje zapytanie. Czy pan powiedziałeś panu Zbigniewowi, że to ja zrobiłam tę uwagę.

— Nie pani. Czy pani mnie do tego upoważniasz?

— Upoważniam... — rzekła srodze zniecierpliwiona i zasłoniła się wachlarzem.

— Zbigniewie! — rzekłem uroczyście, spełniając moją misję — ważna rzecz! Panna Wanda kazała ci powiedzieć, że to ona a nie kto inny zwraca twoją uwagę, że wypada zakończyć mazure i dozwolić tańczyć Dżon-Bullom...

— Seryo mówisz? A, to zaraz skończymy. — Dziękuję ci mój drogi! — I uściśnął mnie za rękę tak silnie, że mi mało kości nie pogruchotał...

— Poskutkowało — pomyślałem. Chciałem iść z tem słowem do panny Wandy, ale nie było jej już na sali.

W kilka dni potem dowiedziałem się, że pan Zbigniew po deklaracji i że został przyjęty.

„Kto się ożeni — ten się odmieni“, powtarzałem sobie w duchu, patrząc się na balwany morskie rozbijające się na piaszczystym wybrzeżu...

* * *

Ożenił się tedy pan Zbigniew. Czy się odmienił? Oto list, który na to pytanie otrzymałem przedwczoraj w odpowiedzi:

Kochany Przyjacielu!

Wiesz, że mam nieprzewyciężony wstręt do pisania listów i że zwykłem składać winę na administrację pocztową, jeśli kto nieotrzyma odemnie odpowiedzi. Dziwić cię to zatem musi, że niniejszy list mój nie zaginął i że go otrzymałeś tak rychło

a dla większej pewności za recepisem. Przypisz tę zasługę nie mnie ale lakoniczności twego pytania, którą obudziłeś ciekawość moją a bardziej jeszcze mojej magnifiki. Od lat sześciu nie miałem od ciebie ani słówka. Nagle otrzymuję telegram wzywający, abym ci bezzwłocznie doniósł listownie co porabia mój sąsiad *** od kilku lat ostatnich, i czy się zmienił. Rozbijam się z myślami: na co ci ta wiadomość? — U nas tu, nikt już o niego nie pyta. Znają go wszyscy jak łysą kobyłkę i wiedzą, że ani wiadomość o nim, ani on sam nikomu na nic przydać się nie może. Nawet na konia jużby nie siadł w razie ruchawki, bo się roztył. Tyle w nim zmiany od czasu ożenienia. — Przypomnisz sobie niezawodnie jego paupersstwa i junakerye w owej studenckiej konspiracji, do której i my należeli, a w której on przybrał spiskowe imię „Zbigniewa“. Otóż to ten sam „Zbigniew“, tylko brzuchaty i ociężały... Jak w Syntaksymie wyprawiał harce z naszym prefektem, tak teraz bez żadnego powodu drze koty z tutejszym starostą powiatowym, który nie tylko, że jest krajowcem z pochodzenia, ale postępowaniem swoim zasługuje na wszelkie uznanie i zjednał sobie szacunek współobywateli. Wybraliśmy Zbigniewa do rady powiatowej. Na pierwszym posiedzeniu postawił bezcelny wniosek, niby patryotyczny i motywował go w sposób tak jaskrawy, że c. k. starosta niewątpliwie miał prawo zażądać od prezesa aby mu głos odebrał. — Nie uczynił

tego jednakże, a Zbigniew nie może mu tego darować. Przyznaje on, że celem całej jego przemowy było, aby mu reprezentant władzy głos odebrał i aby dał tem dowód, że żyjemy ciągle pod absolutystycznymi rządami. Wyrozumiałość starosty nazywa on nikczemnem faryzeuszostwem i co kilka tygodni mści się na nim bezimiennymi korespondencjami po dziennikach. — Z rady powiatowej wystąpił wkrótce, użalając się na brak poparcia i niepatryotyczne usposobienie współobywateli, w czem ma po części słuszność, lecz w czem niemniej przesadza w swoich korespondencyach. Nie żałuje farb ciemnych, malując swoich sąsiadów. Na szczęście, zaledwie co dziesiątą jego korespondencję drukują redakcyje. — Rozżalony wielce na *Kraj*, że żadnego dotąd jego pamfletu nie umieścił. Powiedz to redakcyi, jeśli z nią jesteś w stosunkach — a nam donieś, co cię spowodowało zapytywać mnie o Zbigniewa drogą telegraficzną.

Vale et fave.

Twój i t. d.

PS. Moja żona dziwi się, że raczej o panią Zbigniewową nie pytasz co robi i czy się zmieniła, bo przecież wiemy, że panna Wanda nie na żarty niegdyś wlaźła ci w oczko... Nie poznałbyś jej teraz. Ani śladu piękności, a i dawny rozumek przytępiał jak się zdaje w towarzystwie Zbigniewa. — Wszystko zastąpiła jakaś próżniacza fanfaronada

patryotyczna — jak u Zbigniewa. Wydaje się im obojgu, że tem splacą cały dług ojczyźnie. Najmilszem teraz zajęciem pani Wandy jest rozpisywanie anonimów ckliwo-moralizujących a czasem prawnych pogrózkami, dyktowanymi niewątpliwie przez małżonka. Wczoraj otrzymałem takie ultimatum, a to z powodu, iż w jakąś tam narodową rocznicę nie zamówiłem mszy w mojej parafii „dla ożywienia narodowych wspomnień między ludem wiejskim“. Na nieszczęście pani Zbigniewowa piśma swego wcale zmieniać nie umie. Poznałem jej charakter. — A propos, dzieci mają już troje, a wiem, że da Pan Bóg więcej. Hej, hej, co to będzie jak się to wychowa w tej atmosferze i jak podrośnie... Trzeba się będzie chyba wynieść z naszego kąta...



XI.

Prorocy.

Działo się to dnia 14 czerwca 18** r. między godziną 1-szą a 3-cią po południu. Dawne to czasy — a jednak dnia tego i tych godzin nie zapomniałem i nie zapomnę póki żyję. Spotkały mnie w tym dniu fatalnym i w przeciągu tych dwóch godzin trzy pamiętne wypadki. Pierwszy z nich mocno mnie rozśmieszył, chociaż z natury rzeczy miał pozor tragiczny, drugi bardzo mnie zasmucił, chociaż z natury rzeczy był komicznym a ostatecznie i mnie i czytającej publiczności wyszedł na dobre; trzeci nakoniec sprawił mi małą przykrość, bo upokorzył moją miłość własną, lecz przez to samo przyniósł mi duszny pożytek. Większy jednakże pożytek przyniósł pannie Tolci — jak to będę miał zaszczyt opowiedzieć.

Pierwszym z tych fatalnych wypadków było, że w wyobrażeniu panny Tolci wspólnie z jej bratem uratował życie Prorokowi, o którym pisać zamierzam, za co mi dożgonną poprzysięgła

wdzięczność a o czem do tej chwili nie zapomniała...

Drugim z tych wypadków było, że w czasie moich usiłowań aby uratować narodowi proroka, korzystając z mej nieobecności niegodziwiec jakiś dostał się do mego pomieszkania i wyłamawszy szufladę mego stolika, z wyjątkiem zawiniętych w szmatkę kilkunastu dukatów, zabrał co w niej było do wzięcia, a mianowicie: trzeci tom historii greckiej Gillesa, podarty egzemplarz Jerozolimy wydanej Tassa w oryginale, mały stary słowniczek włoski, zaczęty poemacik w sześciu pieśniach okta- wami „Epaminondas” i ukończoną i na czysto do druku odpisaną jednotomową powieść, pod tytułem „Niepowołani”, oprawną w morderowe okładzinki, bardzo czułą, z którą zapewne nigdy w życiu się nie spotkam. Wraz z Epaminondasem musiała pójść pod placki lub posłużyła złodziejowi do podpalania fajki lub innego podobnego użytku. Takie to koleje rzeczy ludzkich! O marność, marność! pomyślałem i rzuciwszy do pieca uratowany jakiś szczątek Epaminondasa zaprzestałem odtąd grzeszyć wiązaną mową, czego tylko sobie i szanownym czytelnikom powinszować mogę.

Trzecim nakoniec wypadkiem onego dnia, który moją miłość własną podrażnił, był zawód jakiego doznałem ze strony panny Tolci. Mówili i wmówili we mnie niezdolności ludziska, którzy więcej zawsze wiedzą niż jest a z muchy gotowi zrobić słonia,

wmówiły we mnie ciocie i ich kumoszki, że śliczna panna Tolcia ma się ku mnie. Nie dzieląc tego uczucia a nie chcąc bałamucić pocziwej panny Tolci, od chwili — w której sam w tę plotkę uwierzyłem, wysiłałem się w staraniach, aby wpłynąć na zmianę jej afektu, aby jej się przedstawić w niekorzystnem świetle. Przyznaję jednak, iż schlebiało to nie mało mojej próżności, że moje zezowate prawe oko, czy też prosto patrzące lewe, zdołało oczarować prześliczną pannę Tolcię. Czemuż to inna śliczna osobka, na której wspomnienie dotąd jeszcze staremu kawalerowi żywiej krew krąży w żyłach, czemuż to moja Beatrica tak nieprzewyciężony wstręt miała do zezowatych! Nie traciłem wówczas jeszcze nadziei pozyskania serca mojej Beatricy, a pannie Tolci starałem się niepodobać. Otóż, zrozumiesz szanowna czytelniczko, jak śmiesznym się sobie samemu wydałem, przekonawszy się onego dnia i onej godziny, że ślicznej pannie Tolci o mnie się ani nie śni, że to kto inny zaniepokoił jej serduszek.

Ale, jak mówi nasz powieściopisarz: „nie uprzędajmy wypadków“.

Tolcia była wraz z Suńcią, Muńcią, Buńcią, Glisią, Brysią, Wilcią, Kostką, Konią, Wronią, Zonią i t. d. i moją przyrodnią siostrzyczką Nielką, uczennicą pensjonatu pani N., zwanego najczęściej po nazwisku pierwszej guwernantki, chudej jak

szczypa Francuzicy, która tam główną rolę odgrywała, pensyonatem panny *d'Oure*.

Przy tej wzmiance wypada mi pochwalić się przed szanowną czytelniczką, że pomimo zezowatego prawego oka mojego panna Adelgunda *d'Oure* starała mi się wszelkimi sposobami dać do poznania, że pragnie stanąć ze mną przed ołtarzem i ślubować mi dozgonną miłość, wierność i posłuszeństwo małżeńskie. Tu już zaręczyć mogę najuroczyściej, że matrymonialne zamiary panny *d'Oure* nie były urojeniem mojej miłości własnej. Gdyby zamiary te były się spełniły, nie wiem, czy bylibyśmy dobranem czy niedobranem małżeństwem. Zez bowiem, który prawe moje oko zawracał mimo mej woli na bok, na prawo, taki sam zezik, że się tak wyrażę „odsiebny“ kierował czarniutkiem jak tarka lewem oczkiem mojej Dulcinei, również na bok, ale na lewo. Gdym jej na przechadzce podał prawe ramię, to choć oboje patrzyliśmy wprost przed siebie, zdawać się jednak mogło niewtajemniczonym w niezawinione ułomności, któremi nas przyroda obdarzyła, że prawe moje oko z sąsiedniem jej lewem ciąglą raczy się rozmową. Nie było tak przecież, a czterdziestoletnia naówczas panna Adelgunda mimowoli zmuszoną była dźwigać ciężar panieńskiego stanu jeszcze przez lat dziesięć, aż do śmierci.

De mortuis nil nisi bene. Nie miałbym może prawa żartować dziś z starej Francuzicy, gdyby

nie zemsta, na jaką zasłużyła za nieusprawiedliwione prześladowanie niebiesko-okiej panny Zoni.

Panna Zonia — był to typ dziewczęcia polskiego, kwiatek nadzwyczajnego uroku. Chwilami rozmarzona i smętna, to znowu swawolna jak dziecko, to dowcipna i złośliwa. Rozmowa z nią bawiła mnie więcej niż rozmowa z panną d'Ourc. *Inde irae*. Stąd zazdrość guwernantki i prześladowanie. Nieszczęśliwej pannie niegodziwie jej nieprzyjaciółki Wilcia i Brysia dokuczały, że „wpadła mi w zyz nie na żarty“.

Ale winienem wytłómaczyć, skąd powstał tak bliski mój stosunek z guwernantką i uczennicami.

Kilkoletnia bytność mojej dwunastoletniej siostrzyczki w pensjonacie, oraz stosunek dawnej znajomości z czcigodną panią N., właścicielką pensjonatu, dawały mi prawo bywania często w jej domu. Gdy pewnego razu zaniemógł mój przyjaciel, który wykladał pannom fizykę, proszono mnie, abym go tymczasowo zastąpił. Uczyniłem to jak umiałem, porzuciłem systematyczny wykład mego przyjaciela i starałem się zjednać sobie uczennice rozmaitemi zabawnymi doświadczeniami, do których ta umiejętność tyle daje sposobności. To dawałem im kruszyć w rękę tak zwane lzy szklane, to słuchaliśmy tajemniczych jęków „arfy eolskiej“, to bawiłem je pokazywaniem figur Chladnego, tworzących się i zmieniających wedle vibracji tonów muzycznych i t. p. Maszynka elektryczna, którą im

przyniosłem, wprawiła panny w prawdziwie szaloną wesołość i ośmieliła je ku mnie tak dalece, że od-tąd stałem się prawdziwym ulubieńcem całego pensjonatu. Uważano mnie już za starego znajomego i przyjaciela. Ale profesor fizyki wyzdrowiał, a ja z wielkim żalem panien zaprzestałem moich wykładów, urozmaiconych eksperymentami, których już cały właśnie wyczerpałem zapas na jaki mnie stało.

Wkrótce potem, skutkiem nieporozumienia zaśleżonego z powodu panny Seweryny czyli Suńci między profesorem historii a panną d'Ourc, uproszony zostałem, aby przez kilka tygodni, t. j. do końca półrocza, wykladać historję grecką. Wywiązałem się z tego zadania ku wielkiemu zadowoleniu moich uczennic, w podobny sposób jak poprzednio, zaniedbując systematycznego wykładu, a opowiadając dziewczętom dzieje Hellady „metodą anekdotyczną“. Obznajamiałem je przytem z arcydziełami greckiej poezji, czytaliśmy ustępy Iliady i Odyssei, wybitniejsze sceny tragedji Eschyla i Sofokla, natchnione pieśni Tyrteusza, zrozumialsze ody Pindara, przeszliśmy całą skalę liryki od Safony do Anakreonta. Nie dość na tem. Dla zapoznania się z duchem starożytnej Grecji, czytaliśmy arcydzieła nowocześniejszych literatur na tle dziejów Grecji osnutych. Schiller, Göthe, Kochanowski, Ujejski nieraz pół prelekcji przemawiali za mną. Wykład mój był zresztą niesłychanie „demagogiczny“, jak go nazwała

matka panny Koni, czyli Kunegundy. Była to na tle dziejów greckich prowadzona propaganda pa-tryotyzmu i bohaterstwa. Chronologii panny się nie nauczyły wprawdzie, ale odniosły, jak mi się zdaje, większą korzyść z moich wykładów; ucząc się greckiej historii, stawały się Polkami.

Zapał pocziwych dziewcząt dla Hellady wzrastał *crescendo*. Zezowaty profesor zbierał przytem niezasłużone laury. Opowiadający o bohaterskich czynach Greków, stawał się przez to samo bohaterem w oczach panińskiego audytoryum. Czytający natchnione słowa wieszczów, stawał się przez to samo wieszczem w wyobrażeniu słuchaczek.

Wieszcz i bohater, który wieczorami grywał z niemi czasem w sekretarza, lub pierścionek i stawał na równi! Stąd przyjaźń niezrównana i zaufanie bez granic.

Były to złote czasy. Ale niedługo trwało królowanie zezowatego sługi waszego szanowne czytelniczki! Niestety, zjawił się wkrótce niebezpieczny rywal, w osobie niezezowatego, długowłosego blondyna, brata panny Glisi czyli Eligii. Pan Daniel!

Obaczywszy pierwszy raz na pensyonarskim wieczorku skromniutkiego młodzieniaszka, któremu zaledwie poczał się wąsik zasiewać pod nosem, obaczywszy go nadskakującego, jak chłopczyka nieletniego, swojej cioci, nigdy nie byłbym zdolny był przypuścić, że to on i to w krótkim czasie wydrze

mi z rąk berło zdobyte eksperymentami fizykalnemi i historią Grecyi...

— Przedstawiam panu mego siostrzeńca, — rzekła szanowna ciocia — i mam nadzieję — dodała — że go pan pokochasz. On także jest poetą...

To słówko „także“ odnosiło się zapewne do mego ś. p. Epaminondasa, którego dwie pierwsze pieśni czytała panna Glisia.

— Któżby nie był poetą w latach p. Daniela — odpowiedziałem.

— A ja przeczuwałam zawsze — odezwała się panna Tolcia do panny Glisi — że twój brat musi być poetą.

— Nieznając go jeszcze?

— Tak.

— Po czemże pani to wносиłaś? — zapytałem, zbliżając się do rozmawiających.

— Sama nie wiem. Przecz uwałam.

— Przeczucia często zawodzą; niech pani nie wierzy przeczuciom.

— Oh, mnie przeczucie nigdy nie myli! Jam także przeczula, że pan poeta, kiedym jeszcze nie czytała Epaminondasa. Zaledwie pana widziałam na obiedzie u cioci Bizi.

— Mogę pani dać szczerze przyjazną radę... — rzekłem oschłym tonem, pragnąc odwrócić jej serce od siebie, czego bynajmniej nie było potrzeba.

— Słucham.

— Niech się pani strzeże wszelkich serdecznych przeczuć, bo się pani okrutnie kiedyś sparzy.

— O nie, nigdy!

Bieda z tą panną Tolcią — pomyślałem. — Powiem chyba tej cioci Bizi o jej nieszczęsnej ku mnie skłonności, może ona potrafi wybić jej z głowy ten afekt dla zezowatego.

W krótkim czasie, przez pośrednictwo panny Glisi, obznajomił się cały pensjonat z utworami jej brata. Pan Daniel na „swojej lutni“ potracił strunę, która obcą była całkiem mojej muzie, zwłaszcza w Epaminondasie: strunę miłości. Dla większej części dziewcząt, znajdujących się podówczas na pensyonacie, liche wierszydła Daniela były pierwszymi wierszami miłośnemi, które dostały im się do rąk. Chłoneły je oczyma, uczyły się ich na pamięć, rozkołysywały niemi wyobraźnię, odpisywały je potajemnie, chowały za gorsem, a to wszystko z najniewinniejszym uczuciem w świecie. Daniel wydał im się twórcą nowego, nieznanego dotąd rodzaju poezyi, był dla nich wtórym Kolumbem: odkrył im nowy świat ducha, pełen uroczej woni i czarownych blasków, i czarowniejszych jeszcze półcieni. Nie dziw, że Epaminondas i jego niefortunny autor — poszedł w ką.

Wyczytawszy w pierwszym wierszu jakiego utworu pana Daniela n. p. końcówkę: „orzeł biały“, mogłeś być pewnym, że znajdziesz do tego rym: „pierwszej miłości zapaly“, do dziewczyny, rymowały

wawrzyny, do dziewiczego serca, pewnie: ojczyzny morderca, krew broczy — błękitne oczy, albo woń jej warkoczy, szczęk broni — marzę o niej, ziemia święta lub więzienne pęta — ona pamięta, walczyć będę niezłomnie — ona myśli o mnie i t. d. i t. d.

To jeszcze nic. Wszystko to w porządku. Fenomen zwykły. — Tak myślałem, słuchając pokornie wierszy pana Daniela, które mi powtarzała z pamięci panna Tolcia, czem mnie niesłuchanie gniewała; sądziłem bowiem, iż rymami temi stara się obudzić w mem chłodnem sercu wzajemność dla niepodzielnego dotąd uczucia. Słuchałem jednakże cierpliwie fałszywej deklamacyj panny Tolci i innych panien i samego wreszcie poety i nie śmiałem odezwać się z krytyką, ani ziewnąć, gdyż mi dano raz do poznania przez złośliwe usteczka panny Zoni, że to zazdrość ze mnie przemawia... Po jakiejś uszczypliwej uwadze z mej strony o panu Danielu, zapytała mnie nagle panna Zonia:

— *A propos!* chciałam się pana spytać, jak się mówi po polsku: *jealousie de metier*?

— Czy pani pyta o to *à propos* wierszy pana Daniela? *Metier* to tyle, co rzemiosło, a wszakże tylko rymarstwo jest rzemiosłem, a nie rymotworstwem? Do rymotworstwa potrzeba nauki i natchnienia, do rymarstwa wprawa wystarcza.

Po tej utarczce zamilkłem i słuchając cierpliwie wierszy pana Daniela, odgadywałem odtąd tylko

w myśli rymy, które nastąpić miały; tem zajęciem uchraniałem się od ziewania.

Pan Daniel rozwielał się coraz bardziej i rósł w dumę i zarozumiałość, jak gdyby tajna rada pensyonarek była pierwszym areopagiem na świecie. Próżnował, nie uczył się nic, nie czytał nic, na prelekcy akademickie nie uczęszczał, waleśał się po mieście w nienajlepszym towarzystwie po kawiarniach i cukierniach, próżnował, a rymował tylko i rymował bez końca.

Pomimo tego nie traciłem nadziei, że ten nieznośny „rymarz“ urośnie kiedyś na trubadura. Bronilem go wobec zarzutów pocziwej a pracującej młodzieży. Zwątpilem o nim od tej chwili dopiero, gdy przy czytaniu pewnego jego wiersza po końcówce: wróg nas tłoczy, nie nastąpił spodziewany rym oczy, ale złowróżbne słowo: „mój duch proroczy!“ Następna strofa zawierała już otwarte przyznanie się do niebieskiego daru przenikania wieszczym wzrokiem zasłony przyszłości.

— *Sic nascuntur prophetae!* — pomyślałem. — W takiej to kadzidłowej atmosferze wylęga się to próżniacze robactwo!

* * *

Czytelniczka. Ależ miałeś pan opowiadać dzieje feralnego 14-go czerwca.

Ja. Jestem posłuszny rozkazowi. Zaczynam.

Otóż w niedzielę 14-go czerwca w południe, pisałem właśnie trzecią pieśń „Epaminondasa“ paląc najspokojniej fajkę, gdy żona stróża kamienicy, w której znajdowała się pensya panny d'Ourc, przyniosła mi następujący, pospiesznie pisany bilecik mojej jedenastoletniej naówczas siostrzyczki.

Kochany braciszku!

Jak mnie kochasz, przyjdź tu natychmiast. Nie wiem co, ale coś okropnego się stało. Idzie tu o życie człowieka, a może i dwojga. Tak mi mówiła Tolcia, która strasznie płacze i nie chce nic powiedzieć, ale kazała cię prosić natychmiast, bo niema jej brata i nie wie, do kogo się udać. Mówiła, że ty jeden możesz uratować wszystko. Przyjdźże natychmiast, jak mnie kochasz...

Twoja *Nielka*.

P. S. Rozpieczętowałam, żeby dodać, że to straszna tajemnica. Tolcia kazała ci powiedzieć, żebyś się nie zdradził jak przyjdiesz i nikomu nie mówił, bo nikt nic jeszcze nie wie, ani nawet panna Durk.

Wsunąłem czempredzej „Epaminondasa“ do szuflady, niedokończywszy nawet ostatniego wiersza, który się zaczynał od słów: „Jak dąb stuletni nad ruczaju...“ Chwyciłem za kapelusz i za chwilę byłem w pensyonacie. Scena druga.

Anielka drżąca i blada czekała na mnie w pierwszym pokoju.

— Nowe nieszczęście! — zawołała ujrawszy mnie.

— Na Boga! cóż takiego?

— Przysłała po Tolcię jej ciocia Bizia; musisz tam iść natychmiast! Czekala jak mogła najdłużej, ale już poszła. Kazała cię tylko zakląć na wszystko co ci święte, abys zaraz tam poszedł, na miłość boską, na miłość Polski i Grecyi!

— Ale powiedzże mi, co się stało?

— Nie wiem, nic nie wiem, jak cię kocham! Tolcia nic nie chce powiedzieć, choć ją zaklełam: powiedz mi, jak mamę twoją kochasz!

— Ale czyż życie w niebezpieczeństwie?

— Nie wiem nic; Tolci tak nagle coś się stało, coś musiała się dowiedzieć, jakiś papier schowała przede mną. Mówiła tylko, że czyjes życie w niebezpieczeństwie...

— Pisałaś mi, że dwójga osób...

— Tak mówiła, a potem zanosząc się od płaczu powiedziała, że nawet trojga... Ale nie pytajsię, nie trać czasu, idź, biegnij!

— Idę, idę. A ty bądź spokojną Nielko, bo to pewnie jakieś dzieciństwo.

Pobiegłem jednak co tchu do „cioci Bizi.“
Scena trzecia.

— Pani chora i nie przyjmuje — odpowiedział mi lokaj, gdym się chciał anonsować.

Nie wiedziałem, co począć.

— Proszę mnie przecież zaanonsować.

— Ale pani leży w łóżku.

— Żle! — pomyślałem. — Pozostał mi ostatni środek: upuściłem niby przypadkiem na podłogę moją łaskę z ołowianą gałką tak, iż wielkiego narobiła hałasu.

— Cóż jest pani?

— Pani ma migrenę.

Atak gwałtownego kaszlu, nieznanej mi dotąd dolegliwości, tak silnie poczał miotać memi płucami, że niezawodnie w drugim a nawet w trzecim pokoju musiano mnie usłyszeć.

— Czy jest kto przy pani?

— Panna Natalia.

Jeszcze gwałtowniejszy atak kaszlu, tym razem skuteczniejszy. Przetwarły się drzwi i wyglądnęła panna Tolcia. Scena czwarta.

— A, to pan! — rzekła starając się udać zdziwioną. — Ciocia chora — dodała z widocznym zakłopotaniem, ale jabym...

— Pani — przerwałem, widząc, że panna Tolcia zamierza skompromitować się, miałbym małą prośbę... i gwałtowny kaszel nie dał mi dalej mówić. Gdy atak nieco przeminął, ciągnąłem dalej:

— Widzi pani, jaki okrutny napad kaszlu... każ mi pani dać szklanke wody z cukrem.

— Może pan tymczasem wejdzie do salonu — rzekła zrozumiawszy mój manewr strategiczny panna Tolcia.

Scena piąta. W salonie.

— O, wiedziałam, że pan przyjdiesz! Jakże panu jestem wdzięczna! Ratuj pan!

Tu gest rozpaczny.

— Cóż się stało?

— Nielka panu nie mówiła? Ach, ona nic nie wie, i Glisia nie wie nic... i Zonia nie wie ani nawet nie przeczuwa! Okropne nieszczęście! Wczoraj już wieczór miałam jakieś przecucie... — mówiłam Zoni...

— Ale coż się stało? — mów pani krótko, jeśli czas nagli...

— O nagli! nagli!... Dziś o północy, jeśli go pan nie odszukasz...

Reszta słów zamarła w ustach. Duże łzy na rzęsach. Nowy gest rozpaczny.

Scena szósta. Lokaj przynosi na tacy szklanek wody z cukrem i stawia na stole. Poczem oddala się.

Scena siódma: ja i Tolcia.

Ja. (Kaszłąc). — Mów pani.

Tolcia. Dziś rano był u Glisi jej brat, pan Daniel... ale zapomniałam powiedzieć, że był także wczoraj wieczór na herbacie... a Zonia... ale ja nie wiem jak panu to powiedzieć... ale pan nikomu nie powie... ale pan wie...

Ja. Ale na miłość boską, zbierz pani myśli, bo ja nic a nic nie wiem i nie rozumiem.

Tolcia. Ach, prawda... bo ja taka przestraszona!... Otóż dziś rano...

Ja. Był pan Daniel u panny Eligii. — Cóż dalej?

Tolcia. Kiedy odszedł, spostrzegłam, że zapomniał na stole zwitek papierów, ciekawość mnie przemogła... i zaczęłam czytać. Były to wiersze, a ostatni z dzisiejszą datą — okropny...

Ja. Wiem o tem, że pan Daniel okropne wiersze pisuje, ale coż to ma do rzeczy?

Tolcia. Nie, ja tego nawet powiedzieć nie mogę... Taki okropny grzech! Niech pan sam przeczyta.

Tu panna Tolcia sięgnęła rączką do kieszonki swego szlafrocza i wydobyła spory zwitek luźnych ćwiartek papieru, zagryzmołonych drobnem pismem. Rozwinęła go, szukając owego wiersza z dzisiejszą datą. Łzy jak groch padały na tę bazgraninę.

— Oto jest! — rzekła wreszcie, podając mi trzy czy cztery ćwiartki zabazgrane ołówkiem. Tytuł był kilka razy zmieniany i przekreślany. Najprzód zwał się ten utwór: „Wiatr i ja“. Zmazane. Potem stało: „Ja i wiatr“. Również przekreślone. „Sam z wiatrem“. Jeszcze przekreślone. Zaczęłam czytać.

Czy słyszysz jak burza tam wichrzy po świecie?

Oh, dziksza, straszniejsza w mej duszy!

O syn ja rozpaczy! o zwątpień ja dziecię!

O brat ja cierpienia, katuszy!...

— Czy ja koniecznie muszę cały ten poemat przeczytać? — zapytał przerażony początkiem — przy którym mi się już mdło zaczęło robić.

— Ach panie, to takie piękne!

— Ale mówiłaś pani, że czas nagli...

— Ach prawda!... To przeczytaj pan przynajmniej koniec.

Przewróciłem kilka kartek zapelnionych to krótszym to dłuższym wierszem i zacząłem czytać na ostatniej stronie:

Rozpaczne wznoszę ramiona,
I czoło podnoszę dumnie,
Kiedy nie kocha mnie ona —
Śmierci! ty śmierci zlec ku mnie!

Wiatr. Po raz ostatni już
Rozwiewam twe złote włosy:
Wieszczu! śmiało! w rękę nóż!
Prorocze przetnij losy!

Wieszcz. Tak wicherze, to dzień ostatni —
Nóż w moim ręku już drży,
Orłom zanieś uścisk bratni,
A jej — czarę łez i krwi!

Wiatr. Tak wieszczu, to dzień ostatni —
Dziś o północy już kres:
Im zaniosę uścisk bratni,
A jej czarę krwi i łez!

Tolcia lkała na cały głos. Co do mnie, przyznaję, że byłem przez chwilkę srodze skonfundo-

wany, nie tyle mniemanem niebezpieczeństwem pana Daniela, jak dowodnem przekonaniem się, że to on a nie ja byłem przedmiotem marzeń panny Tolci. Przypomniałem sobie moje przypuszczenia i obawy i wydałem się śmiesznym sobie samemu. Wstyd mi było moich urojeń.

Wkrótce jednak odzyskałem przytomność. — Panna Tolcia lkała na cały głos. Zacząłem kaszlać aby ciocia nie usłyszała jej płaczu.

— Bądź pani spokojna, nic mu nie będzie. — Mogę pani za to zaręczyć.

— Ach, panie... spiesz pan... spiesz pan! Gdybyś pan go nieodszukał do wieczora... to okropne! to okropne!

— Uspokójże się pani! bo ciocia usłyszy, że pani płacze. Do północy jeszcze daleko, a mogę panią zapewnić, że choćbym go nawet nie odszukał... to sobie nic nie robi. Takie rozpaczliwe wierszydła pisze każdy młody prorok a nie zabija się...

— O, pan go nie znasz! Pan go źle sądzisz! Poeta prawdziwy nigdy nie kłamie, a pan Daniel jest prawdziwym poetą! — O ja mam okropne przecucie!

— Nie obawiaj się pani. Już idę, idę...

— Ale nie wie pan jeszcze co się wczoraj wieczór stało. Ale pan nikomu nie powie, nieprawdaż? To cały poemat, to prawdziwa powieść! teraz

się pan przekona jak wielkie niebezpieczeństwo. Ale pan nikomu nie powie?

— Nie powiem, nie. A gdybym spisał tę powieść to pozmieniam nazwiska.

— Pan żartujesz, a to nie do żartu... tu idzie o życie...

— Ah, prawda! — rzekłem, przypomniawszy sobie co mi mówiła Anielka, powiedziałaś pani podobno, że tu idzie o życie dwojga a nawet trojga ludzi...

— Ja to powiedziałam?...

I zarumieniła się panna Tolcia po same uszy. Spostrzegłem się, że powiedział głupstwo. Mogłem się przecież domyślić, że jedną z tych trzech osób jest czarnobrewa panna Tolcia.

— Któż jest tą drugą osobą? — zapytałem zncwu.

— Pan nie wie? Przecież pan musi znać ten wiersz pana Daniela... ale jakże on się zaczyna?... aha już wiem:

Jej oczy jak błękit niebieskie,
A włosy jej czarne jak heban...

— Niebieskie — lezkę — ale heban... heban?... ah, może pogrzeban? ouu! fatalny rym!

— Jak pan może jeszcze żartować! — Otóż pan wie kto to taki... i spojrzała na mnie panna Tolcia badawczo swemi czarnemi oczyma.

— Panna Zofia?

— Tak, Zonia! A chociaż to Zonia, to ja tak zawierzyłam szlachetności pańskiej, że się do pana udałam... Ja wiem, że pan kocha Zonię... ale Zonia umrze, jak mamę kocham, Zoniaby umarła, gdyby pan Daniel... Zlituj się pan, jeśli pan Zonię kocha!...

— Nie kocham panny Zoni więcej jak pannę Suńcię, pannę Muńcię, pannę Brysię, panią i wszystkie panie w pensyonacie.

— To ratuj go pan! Powiedz mu pan, że Zonia wczoraj wieczór była dla niego niedobłą i droczyła się z nim, ale że ona go kocha... bardzo kocha! Powiedz mu pan nawet, że to ja... że to ja mu zaręczam — że go Zonia kocha...

Przy tych słowach nowe potoki łez puściły się z oczu panny Tolci.

W tej chwili otworzyły się drzwi od przedpokoju i wszedł a raczej wskoczył do salonu brat panny Tolci, świeżo przybyły ze wsi, jeszcze z torebką podróżną na ramieniu. Tolcia rzuciła mu się na szyję.

Scena ósma: Ja, Tolcia, Kazio.

— Tolciu! ty płaczesz? — zawołał na cały głos nowo przybyły, ujrawszy łzy w oczach siostry. I spojrzał groźnie na mnie, zapewne w przypuszczeniu, że ja tego płaczu przyczyną.

— Pst! cicho! — szepnęła Tolcia, kładąc na usta paluszek i wskazała na drzwi od pokoju ciotki.

— Czy ciocia chora? co się stało?

— Ciocia ma migrenę, ale to nic. Kaziu twój przyjaciel, pan Daniel...

Lzy nie dozwoliły dalej mówić pannie Tolci.

— Pani pozwoli, ja panią wyręcę.

Opowiedziałem w krótkich słowach panu Kazimierzowi o niedorzecznym wierszu proroka Daniela i o obawach jego siostry. Sądziłem, że pan Kazimierz będzie mego zdania i że się roześmieje. Wbrew memu przewidywaniu zmarszczył brwi i rzekł krótko:

— Chodźmy. Nie ma czasu do stracenia. Ja go znam, on to gotów zrobić....

— Kaziu, Kaziu! ja mam jakieś straszne przecucie!...

— I ja także — mruknął pan Kazimierz. — Chodźmy.

Przecucia tych dwojga rodzeństwa zaczęły się już i mnie udzielać. — Koniec aktu pierwszego.

* * *

Akt drugi.

Schodziliśmy ze schodów, gdy mnie pan Kazimierz zagadnął.

— Gdzież go będziemy szukać?

Spojrzałem na zegarek.

— Minęła pierwsza. Pora obiadowa. Zapewne w restauracji.

Pan Kazimierz spojrzał na mnie wzrokiem oburzenia.

— Tam go nie ma. Człowiek, który się z taką straszną pasuje myślą, o jedzeniu zapomina.

— Ja sędzę, że go tam znajdę — albo może w cukierni na wódeczce.

— A ja sędzę, że go znajdę w domu, zadumanego nad listem pożegnalnym do niej... a jeszcze prędzej w ulubionym jego lasku, w cieniu drzew, gdzie tyle chwil przemarzył, tyle piosnek wyśpiewał...

— A więc rozłączmy się: niech każdy go szuka wedle własnych przypuszczeń.

— Tak najlepiej. Do widzenia zatem.

— Jeszcze jedno. Znalazłszy go, należy jak najprędzej uspokoić obawę siostry pańskiej. Pan możesz to uczynić osobiście, lecz mnie nie wypada. Chciej pan zatem uprzedzić pannę Natalię, że skoro się zapewnię, iż panu Danielowi nie grozi żadne niebezpieczeństwo, kupię na znak bukiet u kwiatarki, ot tu w bramie domu naprzeciw jej okien, i postaram się o umieszczenie go w gablotce mego znajomego szewca, który w tym samym domu ma swój sklep.

Pan Kazimierz wrócił z tem oznajmieniem do siostry, a ja tymczasem udałem się bez namysłu do restauracji hotelu, w którym, jak wiedziałem, zwykł był pan Daniel regularnie o godzinie pierwszej posilać proroczy swój żołądek.

Scena druga. W restauracyi.

— Wszak p. Daniel jada tu zwykle o pierwszej? — zapytałem znajomego kelnera.

— Codzień punkt o pierwszej. Ale już blisko pół do drugiej, to już pewnie nie przyjdzie, bo się nigdy tak nie spóźnia. Może pan jednak zaczeka.

— Zaczekam. Proszę mi dać obiad tymczasem; rosół, mięso, leguminę.

Biło pół do drugiej, biło trzy kwadranse, Daniela nie było. Zacząłem mieć złowrogie przeczucia, jak panna Tolcia i jej szanowny braciszek. Ach, nie na próżno! bo w tej chwili zapewne dobierał się złodziej do mojej szufladki z Epaminondasem... Płaciłem już za obiad i zabierałem się do wyjścia, gdy wtem wszedł prorok.

Spojrzałem na niego i przeraziłem się. Twarz jego była dziwnie zmieniona pod ciężarem ciężkiego jakiegoś strapienia. Wzrok chmurny, zaciśnięte wargi, ruchy świadczące o niezwyklem rozdrażnieniu nerwowem. Nigdy go takim jeszcze nie widział. Przywitał mnie chłodno i usiadł przy tym samym stoliku.

Bulion z jajami, zrazy *à la Nelson!* — zadysponował grobowym jakimś głosem, jakby współsenny.

Nie wiedziałem jak zacząć rozmowę. Któż wie, pomyślałem, co się w tej głowie kielbasi? Przyszedł tu może z przyzwyczajenia, ale widocznie jedzenie mu nie na myśli.

Podano mu bulion. Podparł się na łokciu i rozpaczny jakimś ruchem zarzucił długie swe „złote włosy“ w tył głowy. Zaduł się, zapomniał o bulionie. Milczał. Milczeliśmy oba.

— Tak! tak na świecie! — szepnął wreszcie z cicha, jakby sam do siebie.

— Co panu jest, panie Danielu? — zapytałem głosem serdecznego współczucia.

— Mnie? nie!... — odpowiedział chłodno z bajronicznym jakimś uśmiechem na ustach i zamiast łyżki utopił widelec w bulionie.

— Nie mów pan tego, panie Danielu! *Anch'io sono pittore!* I mnie nieraz ból gorzko doskwierał i zdawało mi się, że serce pęka w kawały. Znam ja tę dziką burzę, która wicherzy w duszy, gdy człek weźmie rozbrat z nadzieją na wieki! I jam nieraz rozmawiał z wichrami i zwał się „synem rozpaczy“, „dzieckiem zwątpienia“, „bratem katuszy“, ale...

— Skąd pan znasz mój wiersz dzisiejszy? — zawołał, przerywając mi pan Daniel z wyrazem najżywszej radości.

Aha, bratku! — pomyślałem, to całą przyczyną twej rozpaczy była zguba owej ramoty...

— Zwitek wierszy — odrzekłem — który pan dziś rano zgubiłeś, znajduje się w bezpiecznem schowaniu i najdalej jutro zwróconym panu zostanie w całości.

— Czy pewnie? — zapytał nie dowierzając własnemu szczęściu.

— Mogę to panu najuroczyściej zaręczyć. A teraz bądź pan zdrow.

Pocieszony prorok zabrał się z zapalem do bu lionu.

* * *

Scena druga. Na ulicy.

Pan Kazimierz (z wielce zafrasowaną miną). A, przecież pana spotykam! Nie znalazłem go nigdzie! Tylko w ulubionem jego ustroniu dwie świeżo zerwane gałązki...

Ja. A ja go znalazłem.

Kazimierz. Gdzież jest? co robi?

Ja (tragicznie). Siedzi... z nożem w rękę.

Kazimierz. Jezus Marya!

Ja. I kraje nim zrazy *à la Nelson*.

Kazimierz. Chwała Bogu!... Okropnie mnie pan przestraszyłeś. No, i cóż?

Ja. Nic. Jak się dowiedział, że zgubiona jego teka znalazła się, w różowym humorze.

Kazimierz. Ej, nie wierz pan temu, on bardzo skryty z usposobienia. Może udaje, spostrzegłszy że już wiemy co zamierza. A spytałeś go pan wyraźnie co zamierza czynić dziś w nocy?

Ja. Nie wypadało. Zresztą nie widziałem tego potrzeby; jestem przekonany, że noc spędzi przyzwoicie: będzie spać, albo wiersze pisać.

Kazimierz. Ej, panie, ja mam jakieś złe przeczucie. — Wróć się pan jeszcze ze mną na chwilę do restauracyi. Ja go zaraz wybadam. — Mam jakieś przeczucie, że będzie jeszcze potrzeba pańskiej pomocy.

Ja (do siebie). Ach, gdybym był komedyopisarzem! (głośno): kiedy pan masz przeczucie, to chodźmy.

* * *

Urywek ze sceny trzeciej. Znowu w restauracyi.

Kazimierz (po zwykłych przywitaniach i kilku obojętnych frazesach). Nie mogę znaleźć dogodnego pokoju w hotelu. (Do Daniela). Nie przyjąłbyś mnie dziś na noc do siebie?

Daniel. Mam jedno tylko łóżko, a kanapa krótka i niewygodna. Ale w innym hotelu z pewnością znajdziesz pokój.

Kazimierz (do mnie na ucho). Czy nie mówiłem? Widzisz pan! Nie chce abym u niego dziś nocował. (Głośno do Daniela). No, obaczę czy twoja kanapa taka niewygodna jak mówisz. Już po obiedzie. Pójdziemy do ciebie na cygara. Może nam co przeczytasz?

Daniel. I owszem — Najchętniej. Proszę panów.

* * *

Akt trzeci. Pomieszkane Daniela. Łózko, kanapa, stolik, kilka krzeseł, karło na biegunach czyli *Rocking-Chaire*, pod oknem biurko a na niem książki i papiery w nieładzie rozrzucone. Na łóżku otwarła książka *Meditations poetiques* Lamartina; na biurku Byron, Lenau, biblia, druga część *Dziadów*, Lesław Zmorskiego, Przebolało Pola, Werther Göthe'go, Petrarka w tłumaczeniu francuskiem i t. p. Nad łóżkiem w ramach za szkłem zamiast obrazu bukiet zwiedły a nad nim zawieszony wieniec z cierniowych gałązek. Nad kanapą sztych przedstawiający proroka Daniela w lwiej jamie, na lewo Byron, na prawo Syrokomlą.

Daniel kołysze się w karle i trzymając na kolanach spory pakiet swoich poezyi, czyta nam jedną po drugiej. Kazimierz i ja w rogach kanapy z cygarami w ustach: Kazimierz pod Byronem, ja pod Syrokomlą.

Daniel. Jeszcze jedno panom przeczytam.

Kazimierz. Czytaj, czytaj! Słuchalibyśmy cię dzień cały, noc całą!

Ja wyciskam paznokciem dużego palca dwudziesty siódmy karbik na mojej laseczce, którą trzymam w ręku, a to na znak, że już dwudziestego i siódmego utworu zmuszony jestem słuchać. Zapisuję sobie przytem w pamięci, iż w jednym tylko z tych arcydzieł brakowało przymiotnika *proroczy, a, e*.

Daniel. „Ludziom ziemi“ to tytuł wiersza, ale to jeszcze nie skończone.

(Czyta).

Czy znacie wy
Prorocze lzy
I płacze?

Czy znane wam
Otechłannych jam
Rozpacze?

Czy serce z was
Czuł kto choć raz
Jak skacze?

Czy z was kto wie
Czem w wieszcza śnie
Kołacze?

Ja (przerywając). Jakto „kołacze?...“ aaa, rozumiem! „Kołacze“ od „kołatać...“ Czem serce kołacze we śnie?

Daniel i Kazimierz. A jakże pan zrozumiałeś?

Ja. Sądziłem — że pan mówi w przenośni o kołaczach, jako o pokarmie tych „otchłannych jam...“

Daniel. Pan widzę nieusposobiony dzisiaj do słuchania poezyi.

Ja. A! i owszem. Ale przyznaję, że nigdy nie jestem w stanie tyle na raz chłonać w siebie. Je-

dna piosenka na dzień wystarcza mi — przez cały dzień dzwoni mi w sercu. Ale tyle na raz to... to nad siły...

Kazimierz (uroczyście). Szczerze ci powiem Danielu! niepodobna nam obydwom z całą swobodą ducha poić się z tej krynicy, którą nam otworzyłeś... myśli nasze rozerwane, ciężkie strapienie tłoczy nam serca. W twojej mocy abyś ten kamień odwalił.

Daniel (wielce zdziwiony). Co? ja? Co za strapienie?

Kazimierz. Nie udawaj Danielu, żeś mnie nie rozumiał! Ty wiesz o czym mówię! Nie taj się dłużej z twą myślą. Jam nie poeta, ale ja przeżywam ile poeta cierpieć musi, aby śpiewał. Dales się złamać boleści! Zerwałeś z nadzieją — i chcesz zerwać z życiem, bo ci życie zbrzydło...

Daniel. Och tak!... Czy znacie ten wiersz:

Życie mi zbrzydło —
Żłuda — mamiłło —
To wieczny zgrzyt...

Więc lepiej w trumnie
Spoczywać dumnie...
Cyt, serce, cyt!

ach — jakże to dalej idzie?... Nie mogę sobie przypomnieć. Szkoda! a nie mam tego wiersza u siebie. Ale jutro...

Kazimierz. O! ja pojmuję, że w takiej duszy cierpiącej, śpiewającej jak twoja, ten zgrzyt szatański świata musi budzić czasem pragnienie grobowej ciszy... pragnienie znicestwienia... Ale...

Daniel. Aha! dobrze żeś mi przypomniał: znicestwienie. Tego wam jeszcze nie czytałem:

Ha!... chciałbym, by świat się na iskier miliony
Rozpałił, rozżarzył, rozprysnął...
A iskry by zgasły! — Ja wściekły — szalony
W tej próżni bezmiernej zawisnął!

I wtedybym w iskrę chciał sam się przemienić
I w żar się olbrzymi rozteńczyć...
Rozpęknąć! rozblaskiem wszechpróżnię zecerwienić:
Nicością sam siebie zwyciężyć!

a co? nie piękne? No, jak się wam podoba?

Kazimierz. Olbrzymie! precudne! Ależ mój bracie, czy godzi się, abyś to wieszczę natchnienie, ten dar Boży miał zmarnować!...

Daniel. O, bądź pewny, że go cenić umiem i że go nie zmarnuję.

Kazimierz. Gdy ci Bóg dał proroczą potęgę słowa — czy godzi się abyś opuszczał naród, pośród którego cię postawił!

Daniel (zdziwiony). Jak to?

Kazimierz. Dostał nam się do rąk wiersz twój, dziś rano napisany: Sam z wiatrem... i wiemy co zamierzasz...

Daniel (przypomniawszy sobie nagle). Aaa, aha! — (Zwiesza nagle głowę melancholijnie na piersi, opiera czoło na dłoni i wdycha).

Kazimierz. Danielu! bracie! chciej żyć! żyj dla Ojczyzny!

Daniel (mleczy i wdycha).

(Tu pan Kazimierz trąca mnie łokciem, abym się przyłączył do jego prośby, żeby pan Daniel darował sobie życie jeszcze na ten raz).

Ja. No, panie Danielu! Wierszem czy prozą, szabłą czy przy pługu, winienes pan spłacić dług Ojczyźnie — żyć, a nie dla siebie żyć. Umierać dla niej a nie dla własnej wygody.

Daniel (mleczy i wdycha).

Kazimierz (rozpaczliwie błagająco): Danielu! w imię Polski cię zaklinam!

Daniel (mleczy i wdycha).

Ja. Et, panie Danielu! Poeta prawdziwy nie daje się tak długo prosić, gdy usłyszy to święte słowo. Żaden wielki poeta nie był samobójcą.

Daniel (powstając nagle z krzesła, z afektowaną determinacją podaje nam ręce). Będę żyć!

Radość powszechna. Akkolada. Malownicza grupa. Koniec aktu trzeciego.

* * *

Kazimierz pragnął dzień ten szczęśliwy spędzić z swym przyjacielem uratowanym od samobójczej

śmierci za wspólnem usiłowaniem naszym. Ja miałem tymczasem postarać się o postawienie bukietu w gablotce szewca między bucikami, na znak dla panny Tolci, że życie proroka nie jest już zagrożone.

Po drodze wstąpiłem do mego pomieszkania. Wicie już szanowni czytelnicy jak okropną tam zastałem niespodziankę. *Infandum renovare dolorem!* powiem tedy z Wirgiliuszem. Moich „Niepowołanych“ i mego „Epaminondasa“ nie obaczę już nigdy, wolę więc o nich zamilczeć...

O „Niepowołanych“ miałem jednakże wiadomość w kilka lat później. Zdaje mi się przynajmniej, że wieść, która mnie doszła, tyczyła się tego zaginionego arcydzieła. — Godzi się, abym o tem wspomniał. Rzecz tak się miała. Byłem wówczas współpracownikiem pewnego literackiego czasopisma, które już przestało wychodzić skutkiem zwykłej choroby literackich czasopism w Galicyi, t. j. skutkiem braku prenumerantów. Pewnego dnia przyszedłem do redaktora na konsylium — z powodu wspomnianej choroby pacyenta...

— Wiesz jak trudno o dobrą powieść — rzekł redaktor, ale lichych powieści tyle mi przynoszą, że paląc niemi w piecu mógłbym przez całą zimę obejść się bez opału. Tu kiedyś kilku młodych autorów odprawiłem z kwitkiem. — Konferencye z nimi zabrały mi jednak ze dwie godzin czasu. Ledwie wyszli, przychodzi mój krawiec żydek i odnosząc suknię wziętą do przeniecowania, pyta mnie

czybym nie kupił od niego rękopisu powieści, która mu się dostała wraz z kilkoma książkami od studenta, nie mogącego zapłacić należności. — Jakież tytuł tej powieści? — zapytałem żydka.

— To bardzo fajny tytuł — odpowie żydek — nazywa się: „Niepowaleni“.

— Idź do karta — rzekłem — z taką powieścią! To już chyba pod placki.

Słyszając to opowiadanie redaktora wpadłem na myśl, czy ci „Niepowaleni“ nie są moimi „Niepowołanymi“. Odszukałem żydka bezzwłocznie. Niestety sprzedał już był rękopis za pięć krajcarów antykwarzowi. — Biegnę do antykwarza — i ten go już nie miał. Gdyby ci się dostał przypadkiem do rąk szanowny czytelniku, chciej go odesłać pod moim adresem. Dam ci za niego tyle — ile wart.

Ale wracam do rzeczy.

Srodze zmarłwiony doznana stratą, zadumałem się nad rozbitą szufladą mego stolika, powtarzając w myśli ostatnie wiersze mego poematu. Wreszcie postanowiłem dla rozerwania się wyjść na przechadzkę. Obowiązek postawienia bukietu w gablotce naprzeciw okien panny Tolci, całkiem wyszedł mi z pamięci. — Panna Tolcia tymczasem, siedząc przy chorej ciotce, trawiona niepokojem o życie proroka, ciągle wyglądała przez okno, czy między bucikami wystawy szewskiej nie ukaże się znak tak gorąco upragniony.

Nieszczęście chciało, iż walęsając się po mieście, przeszedłem z srodze zaszępioną miną po przed okna panny Tolci. Gdy się zbliżałem do sklepu szewca, tłukło się biedne serce dziewczęcia. A gdy go przeminął bez zatrzymania się, panna Tolcia była już pewną, że jej złowieszcze przeczucie spełniło się... i padła zemdlona na ziemię.

Biedna panna Tolcia! Gdy nazajutrz dowiedziała się z ust brata, że Daniel żyje, że chce żyć „aby spełnić swoją misję“ — nie mogła uwierzyć swemu szczęściu, nie mogła pozbyć się „przeczucia“, że ją brat zwodzi, aby ukoić jej rozpacz. Żądała jak niewierny Tomasz, aby się nacznie przekonać mogła, że prorok nie wbił sobie noża w serce o północy. Kazimierz przyprowadził jej Daniela uprzedziwszy go o wszystkim co się stało.

— Pani, przyszedłem, aby ci powiedzieć, że żyję — i że wiem, iż tobie winienem życie!

— Panie Danielu!... — wybąknęła panna Tolcia piekąc raki nad rakami i spuszczać oczy. Na długich czarnych rzesach trzęsły się brylanciki, które miło było widzieć prorokowi.

— Żyj pan dla narodu!

— Będę żyć! pójdę cierniową drogą poety, spełnię moją misję a czerpać będę siły w pragnieniu aby naród wiedział, żeś tobie pan winien życie!

Urywam na tem. Czuły słuchacz dośpiewa

resztę tej sceny w swojej duszy, domyśli się, że odtąd w sercu pana Daniela miejsce panny Zoni zajęła panna Tolcia. — Wkrótce w jego wierszach zamiast rymu: oczy błękitne... szczytne, czytać można było jeszcze dźwięczniejsze oczy czarne... ofiarne, cmentarne, pożarne i t. p.

Panna Zonia nie umarła z rozpacz. W kilka lat później poszła za mąż i jest bardzo szczęśliwą. Przed kilkoma tygodniami widziałem ją — i mówiłem o dawno ubiegłych czasach i o panu Danielu. Trzymając na kolanach najmłodszego swego chłopczyka, rzekła ona:

— Bogu dzięki, że mi nie dał proroka za męża!

— Co to prorok mamó? — zapytał mały Mieczysław.

— To, dziecko, taki człowiek, który udaje, że wszystko wie — a nic nie wie, udaje świętego — a to tylko samolub i próżniak, który świętościami bawi się jak lalkami.

A panna Tolcia? — Poszła za mąż za pana Daniela. Jest tedy żoną proroka i miewa „przeczcucia“ jak dawniej. Czy jest szczęśliwą — to się pokaże w piątym akcie. Tu wypada nam tylko wspomnieć, iż przy każdej sposobności prawi o tem, że jest najszczęśliwszą kobietą na świecie i że ma najlepszego męża. Szczególnie mnie to lubi powtarzać — oświadczając mi zawsze wdzięczność swoją za uratowanie Danielowi życia. Roztargnienie moje,

które mi dozwoliło zapomnieć o obowiązku umieszczenia bukietu między bucikami, przebaczyła mi z łatwością, tem łatwiej, gdy uniewinniając się powiedziałem, że to jakieś przeczucie kazało mi tak postąpić...

— Widzisz pan, że przeczucie nigdy nie myli. Gdybyś pan bowiem nie tak był postąpił, Daniel nigdyby się nie był dowiedział o mem przywiązaniu i nie byłabym jego żoną i najszczęśliwszą z kobiet.

* * *

Akt piąty i ostatni.

Czytelnik (przerywając). Wybacz mój autorze, ale w układzie tej tragikomedii raziącą widzę dysproporcję. Cztery nieznośnie długie akty ratowałeś twego proroka od urojonego niebezpieczeństwa, wszak to dopiero prolog. Rzeczywista akcja jeszcze się nie zaczęła.

Ja. Wystarczy mi na to akt piąty.

Czytelnik. Ale gdzież prorocтва, gdzież czyny twego bohatera?

Ja. Prorocтва — będą. Czyny? nie, bo mój bohater nic w życiu nie zrobił i nie robi. Urodził się, ożenił a niezawodnie kiedyś umrze. Oto wszystko. Piątym aktem obejmę snadnie lat kilkanaście jego posłubnych dziejów. A niech mi złośliwy krytyk nie zarzuca niejedności czasu i miej-

sca, bo w tem właśnie oryginalność całego dramatu: tyle lat a żadnej akcji.

Mylę się. Daniel pisał wiersze przez ten czas. Jeśliby nie prześcignął, to pewnie byłby dorównał najplodniejszemu z poetów *Lope de Vega*, pod względem ilości wierszy. Obliczono, że hiszpański dramatyk napisał ich ogółem 21.316.000. Daniel śmiało obok niego mógłby być stanąć, ale niestety podobno muza jego już się strudziła i ogranicza się obecnie na tworzeniu wierszy okolicznościowych. Proroctw nie zaniechał, ale prorokuje prozą.

Czy drukował swoje utwory? Był czas, gdzie dość często można się było spotkać w czasopismach literackich z jego wierszami. Czy wydał je osobno? — Tego już nie powiem.

W roku 1854 pisał do mnie prorok Daniel:

„...Wybiła godzina. Chwila jeszcze a zawstydzeni będą ci, którzy nie wierzyli słowom proroctwa. Wiek nasz bezduszny, zatruty materyalizmem i niewiarą, bluźnił śmiechem szyderstwa, nągrewając się wieszczbom stepowego dziada! I oto padły gromy przeznaczeń i pełnią się przepowiednie Wernyhory! A co dalej? Widzę jasno jak na dłoni. Spełniło się w co wierzyłem niezłomnie i spełni się to co widzę oczyma ducha... Duch mój patrzący w przyszłość od moich najmłodszych lat, nie omylił się nigdy. Widne mi pola walki, wiem którzy z nas padną, a którzy zostaną, aby ujrzeć słońce w całym blasku. Bóg z nami! Bóg i Marya! —

W strasznych tajnikach proroczych natchnień są węzły mistyczne, których nam przeciąć nie wolno: niewidomy palec Bożego anioła zamyka nam usta, współprzetwarte do wielkiego krzyku radości lub przestrogi... Jedno mi tylko wolno wam powiedzieć: „Czekajcie i wiercie!...

To „czekajcie i wiercie“ powtarza się odąd w listach Danielowych już przez lat szesnaście.

W post-scriptum stały zwykle wyrazy: „Tolcia zasała ci najprzyjaźniejsze pozdrowienie“.

W roku 1858, w czasie wojny włoskiej otrzymałem kilka listów proroczych pana Daniela, których niestety odszukać nie mogę. We wszystkich odwoływał się pan Daniel na swe dawniejsze (nieznane mi) przepowiednie i konstatował fakt, że się zaczynają ziszczać. Każdy list zakończony był podobnym jak poprzedni przypiskiem: „Moja żona łączy przyjaźne pozdrowienie“. Czekajcie i wiercie było sensem moralnym tych listów.

W roku 1859 i 60 całe życie polityczne naszej prowincyi koncentrowało się około naszych towarzystw gospodarczych. Z owego czasu kilka mi zostało proroczych listów pana Daniela.

W jednym z nich pisze on: „...Dozwolił mi Pan dożyć największego szczęścia, jakiego doznać może tylko serce poety na tej ziemi grobów.. Doczekałem spełnienia mych wieszczb. Pamiętasz pewnie mój wiersz p. t.: „Proroczej braci“, druko-

wany niegdyś w naszym piśmie literackim (tu Ner i rok). Spełniło się. Pisałem wówczas:

Ukochaj rolniku twój posiew pszeniczny
I sadu twojego czereśnie,
Ukochaj rolniku twój zagon dziedziczny:
A miłość ojczyzny stąd wskrześnie.

„Spełniło się. Tak jak przewidziałem, ogniskiem patryotycznych dążeń stały się nasze towarzystwa rolnicze. Polityka narodowa weszła na tory, które jej wytknęło natchnienie nieznanego poety... Zdaje mi się, iżby należało, aby ten fakt podniosła publicystyka nasza. Wiem, że pisujesz artykuły wstępne do dziennika politycznego. Uprowadzając tedy pytanie, którebyś mi przed ogłoszeniem mego nazwiska niewątpliwie uczynił, donoszę ci, iż uległem natarczywemu żądaniu Tolci i zezwalam, abys mnie wymienił...”

Odpowiedziałem na to jak następuje:

— Ucieszyłem się serdecznie, że tak żywy objawiasz współudział dla praktycznej działalności naszych towarzystw rolniczych. Spodziewam się, że zechcesz nas wesprzeć swoją pomocą. — Otóż zawiadamiam cię, że pomimo zapalu z jakim wszyscy prawią obecnie o zadaniu naszego towarzystwa, zaległość wynika z niespłaconych wkładek członków wynosi ogółem przeszło 20000 złotych!.. Wykaz udzielony mi przez sekretarza towarzystwa dowodzi, że w twoim obwodzie mało kto uiścił

przeszloroczną ratę, co więcej, w wykazie trzechletnich restancyonaryuszów wyczytałem także i twoje imię... — Uprosiłem prezesa, aby ci przesłał upoważnienie do ściągania zaległości twych sąsiadów. Skoro to uczynisz, nieomieszkam to podać w dzienniku do wiadomości publicznej w osobnym artykulu, który pozwolę sobie przyozdobić przytoczonym przez ciebie czterowierszem.

Nie długo czekałem na odpowiedź. Prorok odpowiedział nowym wierszem, zaczynającym się od słów:

Do pracy mrówczej chcesz mnie wprzęgnąć bracie...
Darmo — jam orłem stworzony przez Boga!
Wy? nie ideę lecz ziemię kochacie,
Wam gleba wasza — nie ojczyzna droga.

Błyskawicowe czekają mnie czyny
Nie mrówcze znoje... i t. d.

Co dalej było, nie pomnę. Nie wątpię jednak, że do „czyny“ rymowało się: „wawrzyny“. — Mniejsza o to. Ważniejszem jest to, że p. Daniel zaległej trzechletniej wkładki nie uiścił, a gdy nań wielce z tego powodu napierano, z towarzystwa wystąpił.

* * *

W roku 1862 spotkałem p. Daniela w kościele OO. Bernardynów we Lwowie na nabożeństwie żałobnem za duszę pewnego byłego oficera wojsk

polskich, który żył w największym niedostatku, nie mogąc jako inwalid zarobić na kawałek chleba, a umarł z nędzy. Nikt nie troszczył się o niego za życia. Po śmierci urządzono ku pamięci nieszcześliwego tak wystawny obchód pogrzebowy, że za kosztą stąd wynikłe — można było zapewnić kilka lat utrzymania, któremu z jego towarzyszy broni i niedoli, a przynajmniej dać jaki taki zasiłek pozostałym po nim sierotom. Nikomu to na myśl nie przyszło. Myślano tylko o tem czy poprzestać należy na śpiewaniu „Boże coś Polskę“ czy także i Chorał Ujejskiego zaintonować.

Otóż w chwili podniesienia, gdy wszystkie głowy kornie chyliły się ku ziemi, ujrzałem proroka p. Daniela stojącego przy wielkim ołtarzu z twarzą odwróconą, dumnie mierzącego korzące się u jego nóg tłumy pobożnych. Być może, iż podobnej oddawał się iluzji jak owa wrona w bajce, na dachu kościelnym siedząca.

Spostrzegł mnie prorok i zbliżył się do mnie.

— Zmartwychwstajemy! — szepnął mi na ucho. Nie wątpiłem, że cię tu spotkam.

— Cóż ty robisz we Lwowie?

— Przyjechałem duszę napoić męczeńską pieśnią... Czy pamiętasz mój wiersz:

„Zabrzmi pieśń wielka, która nam słońcem załśni!...“

— Ach, pamiętam, pamiętam...

— Cóż? wszak przepowiedziałem tę pieśń!...

O, ja widziałem jasno te czasy przecuciem ducha... Serce poety wie zawsze to co będzie, lepiej nawet niż to co jest... Ale ty nie wierzysz?...

— Jak się ma twoja żona?

— O, i ona przeczuwa burzę... po nocach śni się nam biały ludek siermiężny, ostrzący kosy... Ty nie wiesz, w naszej sypialni... oh, gdybyś wiedział jakie zdarzenie...

— Tego nie mogę wiedzieć.

— ...na ścianie wisi mapa Polski. A nad nią obraz Najświętszej Panny Częstochowskiej. A przed obrazem lampka wiecznie płonąca... Ty wiesz, że ja mam sny prorocze... Ale to nie był sen. Śniło mi się, że słyszę trąbienie — jak na alarm... a w tem... Słyszę strzały... czuję woń prochu... Budzę się.

— Przestańmy, śpiewają chorał.

* * *

Zaczął się rok 1863. Przebrała się miara cierpliwości w ludzie warszawskim. Rozgorzało na nowo uczucie narodowe uspięne przez lat tyle, rozbudził się zamierający duch a rozbudził się w warstwach narodu, od których niedorzecznością byłoby wymagać chłodnego obliczania następstw, zimnej rachuby, pohamowania zapału. Martwota i proces chemiczny rozkładu, lub zapamiętałość szlachetnych porywów: innego nie ma wyboru. Niedopuszczając pierw-

szego — wywołuje się drugie. — To fatalność ciążyąca kamieniem na piersiach każdego uciemzonego narodu...

Było to w kwietniu czy w maju pamiętnego roku. Wypadło mi zabawić czas jakiś w okolicy państwa Danielostwa. Korzystając z dnia wolnego od obowiązków, pojechałem do nich w odwiedziny. Przyjęto mnie serdecznie. Pani Natalia skubała szarpie, pielęgnowała kilku rannych powstańców, których umieszczono w ich domu — szyła bieliznę, przygotowywała bulion i suchary dla tworzącego się oddziału, zbierała w całym sąsiedztwie srebra i klejnoty na korzyść sprawy. Pan Daniel deklamował.

Ileż nasłuchać się musiałem wierszy przez ten dzień mego pobytu w Eliaszówce! ile prorocत्व o ostatecznym zwycięstwie po strasznych klęskach i męczeństwie! ile górnolotnych frazesów o poświęceniu i bohaterstwie!

Zapytałem czy pełni jaką służbę w organizacji. — Żadnej. Zdziwiło mnie to tem bardziej, gdy mi nie było tajno, iż kilkakrotnie ofiarowano mu zajęcie i dość ważne w organizacji obwodowej stanowisko. Wiedząc, że ma krewnych na Ukrainie i z łatwością paszport uzyskać może, zaproponowałem, aby tam pojechał w pewnej ważnej misji. Odmówił stanowczo.

— Wierzaj mi, głodną jest czynów dusza moja! Rwie się z gniazda jak ptak ku słońcu! Ale tu mi

wytrwać kazano, toż nieopuszczę tej placówki, choćby mi jak straconej czacie skonać tu przyszło...

— Kto ci zakazał wyjeżdżać z domu? — zapytałem zdziwiony.

— Bóg!

— Aaaa — to tylko powinszować ci wypada, jeśli wprost od Pana Boga odbierasz rozkazy...

— Godzina moja nie wybiła jeszcze!... ale czuję, że blizką jest. Kto wie, kiedy głos Boży mnie powoła — i do jakich czynów? Może jutro... może dziś. O, nie obawiajcie się o mnie. Spełnię ja bez wahania co mi Bóg przeznaczy! Czujny stoję na straży i czekam.

— Twoja żona nie czeka panie Danielu, ale robi co może w swoim zakresie.

— O, wy nie pojmujecie serca poety! Wy chcecie abym przechowywał powstańców, transportował broń, przewoził za kordon depesze i dla tych m r ó w c z y c h usiłowań skrzywił misję moją. Tego mi uczynić nie wolno.

— A to co innego!

* * *

Niespełna w pół roku później przejeżdżałem znowu przez Eliaszówkę. Noc zapadała, konie ustawały, trzeba było zajeżdżać do dworu na nocleg. Daniela nie zastałem w domu.

Przywitał mnie w ganku mój stary znajomy,

siedmdziesięcio-letni pan Jacek, krewny daleki gospodyni, a stały gość w ich domu.

— Koniom podsypać owsa! — zawołał na służbę, a mnie wprowadził do salonu.

— Gdzież mąż pani — zapytałem pani Natalii po przywitaniu przyjaznem jak zawsze...

— Danio wyjechał dziś wieczór do powiatowego miasteczka.

— A więc zapewne dziś wróci?

— O, wątpię!

— Wszak to tylko półtóry mili...

— Tak — ale... Danio ma tam czynność...

— Aaaa? — zawołałem zdziwiony. Czy wolno zapytać jaką?

— Pan nie wie? Ja sama także nie wiem, bo Danio milczy jak grób. — Nie wolno mu powiedzieć... ale ja przeczuwam, że to coś bardzo ważnego i niebezpiecznego...

Tu spojrzała na mnie pocziwa panna Tolcia z pewnym wyrazem dumy i zadowolenia i dodała po chwili:

— Danio teraz bardzo czynny... po całych dniach i nocach tam przesiaduje. Rzadkobyś go pan w domu zastał... Smutno mi nieraz — bom do tego nie przywykła, a jednakże... ja się tem cieszę... Pan wie, że ja się tem cieszę, bo pan mnie zna...

Dwie łezki zabłysnęły w oczach pani Natalii. Uścisnąłem jej rękę z uczuciem.

— A taka tam niewygoda! — mówiła dalej pani Natalia. Nie ma nawet w oberży porządnego łóżka. Danio ma delikatne zdrowie, tak potrzebuje wygody! Wraca zawsze taki zmęczony, niewyspany, rozdrażniony! Pan wie, jakie on ma nerwy drażliwe. Nie uwierzyłbyś pan jaki on teraz czasem rozdrażniony...

Łzy, które w oczach błyszczały, potoczyły się po twarzy.

— A jednak... ja go takim bardziej jeszcze Kocham! Jeśli mnie czasem serce boli gdy go takim widzę, to sobie pomyślę zaraz, że to dla ojczyzny... i już mi dobrze...

Wstała pani Natalia do samowara, który właśnie przyniesiono i zalewała herbatę. Pan Jacek korzystając z tej chwili, przechylił się ku mnie i rzekł na ucho:

— A wiecie wy poco on tam jeździ? he?

— Nie wiem.

— Nie? To ja wam powiem. — Jest tam stary grzyb co ma młodą żonkę... A teraz wiecie już? co?

— Ej, może to plotki...

— Ho, ho, ho! plotki? A wiecie wy czemu on wraca stamtąd taki zmęczony, niewyspany, rozdrażniony? he?

— Czy pan zawsze tak mocną pija herbatę jak dawniej? — zapytała w tej chwili pani Natalia przerywając naszą rozmowę, której nie nadarzyła się już sposobność dokończyć. Pan Jacek udał się

bowiem wkrótce na spoczynek a nazajutrz już go nie widziałem, wyjechawszy o świcie w dalszą drogę.

— Czy też to prawda co mówił stary? — myślałem wpół drzemiały na moim wózku węgierskim.

Do dziś dnia nie byłem w możności sprawdzenia ile prawdy mieściło się w tej ploteczce. — Nie mogę zatem szanownym czytelnikom zadowalniającego w tej mierze dać wyjaśnienia. — Wiem tylko tyle i to z najlepszego źródła, iż p. Danielowi żadna naówczas przez nikogo poruczoną nie była czynność w miasteczku.

Biedna pani Tolcia!

* * *

Rok 1866. Wojna prusko austriacka. — Nowe wieszczby i prorocstwa pana Daniela.

Ugoda z Węgrami. — Nowe wieszczby i t. d. Jak wyżej.

Powszechny zapal do prac autonomicznych w Galicyi, który wkrótce okazuje się „słoniąnym ogniem“. — Jak wyżej.

Rok 1870 wojna prusko-francuska. — Jak wyżej.

Czytelnik. Uwolń mnie mój autorze od słuchania tych bredni, bo ich mam już do sytu. Rzuć w kął twą gawędę i pójde precz.

Ja. Nie unos się tak drogi panie. Byłbym

dawno już przerwał tę ramotę, ale widziałem, że mnie zaszczytasz twoją uwagą i chciałem cię zabawić.

Czytelnik. Wcale ci się nie powiodło.

Ja. Niewymownie mi to przykro.

Czytelnik. Powiem ci zresztą otwarcie, że cała ta ramota o panu Danielu nie wiele ma sensu. Czytając tytuł tego rozdziału: „Prorocy“, spodziewałem się wcale co innego. Wybrałeś sobie typ całkiem wyjątkowy, podczas gdy w naszej Galicyi proroków naliczyłbyś na kopy, ale proroków innego gatunku. Tych ostatnich wychłostać należało.

Ja. Muszę temu zaprzeczyć, aby Daniel był wyjątkowym typem, — między naszą młodzieżą pseudo-ekonomistów i pseudo-wieszczów bez liku. Otóż pan Daniel należy do tej ostatniej kategorii. To go może tylko wyróżnia od innych, iż wieszczego charakteru i proroczych inspiracji nie stracił w późniejszym wieku, podczas gdy większa część podobnych jemu wierszorobów, doszedłszy do pełnoletności, a co najpóźniej do lat trzydziestu, przechodzi do innej kategorii pseudów, bo jeżeli prorokują to prorokują tonem pseudo-polityków a nie pseudo-poetów.

Czytelnik. — A tak. Otóż jednego z tych prorokujących polityków należało opisać. Ej — gdybym to ja pisał te plotki, zarazbym odmalował w nich mego sąsiada.

Ja. Może pana Kwiryna? tego prawdziwego

„zwiastuna nieszczęścia“, który przez całe swe życie każdemu usiłowaniu narodowemu na polu politycznym, ekonomicznym, piśmienniczym wróży zawsze niepowodzenie i upadek i powtarza nieustannie swoje: *utinam sim falsus vates...*

Czytelnik. Nie; ja myślałem o panu Nikazym, który jota w jota robi to samo co pan Kwiryn, to jest raczej nic wcale nie robi przez całe życie, tylko wróży nieszczęście. A że na nieszczęście u nas długo czekać nie trzeba, tryumfuje potem pan Nikazy, że się jego przewidywanie spełniło i powtarza grobowym głosem: „A cóż? czy nie mówiłem?“

Ja. Ale w całej okolicy uchodzi za wielkiego polityka. Prawda. Należało go wydostać. Ale ja mam nadzieję, że ty o nim coś jeszcze napiszesz szanowny czytelniku — i umieścisz w fejetonie *Kraju*.

Czytelnik. A pan Klemens? wszak to także prorok?

Ja. Znam go nie od dzisiaj. Wszystkie wojny, niepokoje, prześladowania, głody, mory, trzęsienia ziemi, przypisuje on i przypisywał zawsze karze Bożej za zubożenie w wierze i odstępstwo od katolicyzmu. Uwaga, że i za czasów najzarliwszej wiary zdarzały się podobne klęski i więcej nawet niż dziś pochłaniały ofiar, nie przemawia do jego przekonania. I tak n. p. klęskę pod Sadową przypisuje on naruszeniu konkordatu, dzisiejsze pognę-

bień Francji szerzącym się tamże wyobrażeniom Renana i niedość gorliwej obronie świeckiej władzy papieża ze strony rządów napoleońskich i t. p.

— A jakże pan to wytłumaczysz — zapytałem nieśmiało, że dziś górą wszędzie protestanci Prusacy i szyzmatycy Moskale?

— Nie ma co tłumaczyć! — odrzekł wzruszając ramionami. Jeśli Piotr się bił z Pawłem i został pobity, to rzecz jasna, że Paweł musi być górą. A czemu Paweł górą? to mniejsza! Nam o to idzie czemu Piotr pobity, bo ten Piotr — to my. Jeśli się nie nawróci, to za lat kilka...

Czytelnik. Wiem już, wiem co dalej.

Ja. Niepamiętam dobrze, ale najprzód upadek Europy i „tak zwanej“ cywilizacji a potem coś niby koniec świata.

Pan Onufry tak daleko nie sięga swym proroczym wzrokiem. Proroctwa jego obejmują tylko losy naszej biednej Galicji, a dadzą się streścić w dwóch słowach: „rzeź!“ i „Moskale!“ Od roku 1846 snuje się przed oczyma jego duszy nieustannie krwawa mara rzezi. Każdy objaw rozbudzenia się narodowego życia w naszej prowincji napelnia go tajemną trwogą a wszelka choćby najumiarkowańsza i najlegalniejsza opozycja przeciw rządowi przestrasza go, wydając mu się zwiastunką rzezi. W roku 1863 obawa jego doszła do punktu kulminacyjnego, odtąd zdaje się zniżać na jego termometrze politycznym; zawsze jednak stoi jeszcze wy-

soko nad zerem. Natomiast prawi ciągle o bliskim wkroczeniu Moskali...

Czytelnik. Hm... a gdyby?

Ja. To i cóż? Gdyby przez to przejść wypadło — przejdziemy, jakeśmy już przez niejedno przeszli. Przewidywanie, prorokowanie — złego nie odwróci a nas tylko przedwczesną a może nieuzasadnioną obawą od pożytecznej pracy powstrzymuje. Jeżeli przyjdą, to, da Bóg, także wyjdą...

Czytelnik. Widzę, że jesteś optymistą mój autorze.

Ja. Optymistą jest pan Grzegorz który pokłada niezachwianą nadzieję lepszej dla Polski przyszłości w „opamiętaniu się“ monarchów a szczególnie cara. — Optymistą jest pan Jędrzej, który takąż samą nadzieję buduje na polityce Bismarcka. — Optymistą jest pan Makary, który liczy na jakąś straszną zawieruchę rewolucyjną w całej Europie za rok, za dwa lata, i na obalenie caratu przez liberałów moskiewskich — którzy nam Polskę oddadzą. — Prorocy tacy, jak oni, to zaiste więcej nam szkodzą od najzaciętszych wrogów, od samych ciemieńców naszych. Tumaniąc ogół czczemi mrzonkami, odwodzą od pocziwej pracy. — A dla nas tylko w pracy zbawienie.

Czytelniczka. Jakto? więc wszystkich proroków jesteś nieprzyjacielem? A któżby szczepił w narodzie wiarę w lepszą przyszłość — jeśli nie oni? Któżby upadających na duchu, zdrewniałych

z bólu i rozpaczę rzeźwił słowem nadziei? Któżby nas nawracał prorocstwem Bożej kary? Cóżby się stało z zgnuśniałem, niedołężnem pokoleniem, gdyby nie wisząca nam nad głową straszna wróżba upadku i znicestwienia?...

Ja. Łaskawa pani! dość już, dość! Upadam pod brzemieniem tylu prorocstw! Jedne wróżą nam dzie sięć plag egipskich za nasze grzechy, drugie wróżą nam zmiłowanie Boże i bliskość zmartwychwstania narodowego. Nie wiem w co mam wierzyć. Albo piewsze albo drugie jest fałszem.

Czytelniczka. Od nas samych zależy — które prorocstwa się spełnią.

Ja. A więc to nie jasnowidzenie przyszłości, ale tylko przestrogi, groźby i obietnice?

Czytelniczka. A choćby i tak było — czyż...

Ja. W takim razie to, co zwiemy prorocstwem, byłoby tylko retoryczną figurą.

Czytelniczka. Nie. To intuicyjny wniosek o przyszłości narodu, wniosek niemylny, jeśli naród z obranej drogi nie zboczy.

Ja. Ale ponieważ zboczenie z drogi zależy od woli narodu, a więc ten „wniosek intuicyjny“ jest tylko przypuszczeniem.

Czytelniczka. Ale prorocstwo jest oraz berłem duchowem, hetmańską buławą, która zbaczać z drogi nie dozwala, która nieraz w najcięższej chwili krzepi zwątpiałych i zapewnia narodowi zwycięstwo...

Ja. A więc jest tylko środkiem działania.

Czytelniczka. Ale potężnym!

Ja. Nie pani! Lichy to środeczek, śmieszny tam gdzie na ludzi nie działa, gdzie zaś wpływa na nich — tam szkodliwy. Chciej pani posłuchać.

Prorok albo zapowiada zwycięstwo, albo wróży upadek.

W pierwszym wypadku prosty nasuwa się wniosek, że się bez naszego udziału, bez naszej krwi i trudu w walce obejdzie; cierpliwości tylko i czasu potrzeba, a przeznaczenie spełni się samo. Założmy ręce na piersi i otworzmy szeroko usta, czekając na „pieczone gołąbki“.

Jeśli zaś cięży nad nami proroctwo klęsk i upadku, to na cóż łamać się nam w beznadziejnych zapasach z losem? Rezygnacya wtedy całą mądrością.

Wiadomość przyszłości, zarówno wróżba zwycięstwa jak wróżba klęski, ubezwładnia, usypia, odbiera wszelką energię i męstwo.

Prorok, jeśli nie wzbudzi wiary w swe przepowiednie, jest śmiesznym. Jeśli mu naród uwierzy — szkodliwym.

Proroctwo odsłania tajniki przyszłości. A komu z góry już znane nieodmiennie fatum, jakież ten ma pobudki działania? Któż może mówić o obowiązku działania, tam, gdzie działalność ludzka na szali zawazyć nie zdoła, ani zmienić

przedwiecznych wyroków? ani przyspieszyć ich spełnienie?

„...Gdy ucisk będzie najsroższy, domy wasze w gruzach, znieważone groby waszych ojców, zhańbione córki i żony, z łona matek porwani synowie — wtedy, wtedy bądźcie dobrej myśli, bo dzień zmiłowania bożego już blizki!“

— A więc posypmy głowy popiołem, ukorzymy się przed Panem i bądźmy dobrej myśli, ucisk bowiem jest wielki, toż i koniec kary naszej się zbliża. Czekajmy z ufnością na dzień zmiłowania bożego!

„...Przyjdzie mąż wielki, zesłannik boży, mąż wielkiego serca a silnej woli, potężny duchem a głową przerastający tłumy — głosem gromu zwoła nas pod sztandary i staniemy wszyscy. Głosem syna zawoła na spoczywającą w grobie i zbudzi ją!“

— Czekajmy więc! czekajmy!

Nie — nie czekajmy! Nie wierzymy fałszywym prorokom, ale bierzmy się do pracy — wszyscy, wszyscy, a z miłością i z nadzieją!... Przyszłość w naszym ręku!

Poznamy tego z łatwością, kto nas ukochał sercem całem, a kto chępi się tylko prorocką pychą rzekomej miłości narodu.

Kto nas kocha, ten nam mówi: „Nie masz o was wzmianki w księdze przeznaczenia! Przyszłość wasza od was wyłącznie zależy!“ — Kto nas kocha, ten nie wróży nam zwycięstwa ani upadku, ten nam nie prorokuje!

Kto nas kocha, ten nam powtarza bez końca:
Przyszłość wasza dwojaką być może:
zmartwychwstanie lub upadek! Przyszłość wasza w waszem ręku!

Kto nas kocha ten nas woła do pracy, ten przoduje nam przykładem, nie dowodzi nam tego co niedocieczone, ale nam dowodzi skuteczności pracy, możliwości zwycięstwa, budzi w nas miłość pocziwej sprawy, energię i nadzieję.

Porywa nas własnym zapalem a nie karmi obietnicami.

Czyjej pieśni słowo rozgrzewa nam serca miłością i nadzieją, hartuje na boje i burze żywota, krzepi upadających na duchu — ten tylko godzien zwać się pieśniarzem i poetą narodu.

Takich poetów nigdy dość wielu w narodzie. Fałszem jest, aby przeminąć już miał czas poezji. Póki naród żyje, czas ten nie może przeminąć.

Póki to co szlachetnem jest, będzie szlachetnem — póty siewaczy szlachetnych uczuć, budzicieli miłości i poświęcenia nie przeminie pora!

Cześć poetom! precz z prorokami!

XII.

Bohaterowie.

Co to są bohaterowie? Co oznacza ten wyraz tak niezwykłego w polskim języku brzmienia i zakończenia: bohater?

„Szeroko o tem król Dawid pisał“, odpowiedziałby na to pytanie zwykłym swym przysłowiem nieboszczyk... a co za nieboszczyk, na tem szanownym czytelnikom zapewne niewiele zależy. Aby jednak nie zostać dłużnym odpowiedzi, powiemy dla zaspokojenia ciekawych, że tym nieboszczykiem, którego ulubione przysłowie pozwoliliśmy sobie przytoczyć, był ś. p. pan Pantaleon.

O tym ś. p. panu Pantaleonie nic już więcej nie powiemy, bo aczkolwiek bliższe nas z nim przez długie lata łączyły stosunki, koleżeństwo szkolne, zażyłość sąsiedzka a nawet pokrewieństwo w dziesiątym stopniu, jednakże z trudnością przysłoby nam nieominać się z prawdą a coś więcej o nim powiedzieć nad to, że miał granatowy szla-

frok z czerwonymi kutasami, złotem tkane zielone pantofle. lubiał namiennie karczochoy z szodonom — miał faworyta pudła, nazwiskiem „Wierny“ i... że był bohaterem.

Któż nie jest bohaterem w naszym społeczeństwie? Zapewne, że są między nami tacy, którzy więcej na to miano zasługują, inni — którym je mniej trafnie nadawać można, ale ściśle biorąc rzeczy — jest nim każdy.

Winniśmy jednakże wyjaśnić bliżej — co pod tym wyrazem rozumiemy.

Nie będziemy udawać się do etymologów. — W pierwszej zgłosce upatrzyliby pierwiastek ruski, w ostatniej może niemiecki, idąc w tej mierze za autorem „Obrony Sokołowa“, który twierdzi, że nawet:

Wolter był Niemcem w obcisłej opończy...
Pewnie był Niemcem — bo się na *er* kończy.

Nie pójdziemy także za zdaniem przemądrych gramatykarzy, którzy zamiast „bohater“ każą nam pisać „bohater“, wielką tem wyrządzając krzywdę wszystkim porządkującym rymotwórcom epikom, napróżno szukającym rymu do tak dziwacznej końcówki.

Powiemy po prostu i bez ogródki, co rozumiemy pod tym wyrazem.

Niegdyś, podobno lat temu już sporo, bohaterem zwano męża nadludzkiej siły, męża w pance-

rze i hełmie, z włócznią lub mieczem olbrzymim w prawicy a tarczą na lewym ramieniu — męża wielkiego serca, wspaniałego umysłu, nadludzkiej odwagi, nadludzkie dokonującego dzieła.

Później, łagodniały obyczaje, coraz lżejsze stawiono warunki, na piedestały bohaterskie niestawało kandydatów pancernych, stawał więc na nich ladażaki pojedyńkowicz lub nawet dżokej; tak było łatwo zostać bohaterem, jak n. p. dziś baronem lub hrabią. Zawsze jednakże potrzeba było dla dostąpienia tego zaszczytu dać dowód, jeśli nie prawdziwego męstwa, to przynajmniej junactwa.

Dziś nawet i tego już nie potrzeba. I skarżą się jeszcze na drożyznę! Przeciwnie, czasy niesłychanie staniały — przynajmniej pod względem moralnym...

Bohaterem za bezcen zostać można, taniej nawet niż baronem lub hrabią.

Bohaterem wedle terminologii najlepszych naszych autorów jest każdy, ktokolwiek w jakiejś sprawie główną odgrywa rolę. A któżby na świecie choć w małej jakiejś sprawie nie odegrał głównej roli?... Cała rzecz polega tylko na tem, aby potem ważność i doniosłość tej bagatelnej sprawy stokrotnie powiększyć, a patent na bohatera gotowy. Znajdziesz grono wielbicieli, którzy osobny stworzą kult dla twej osoby, znajdziesz panegirystów ilu zechcesz.

W Teksas czy w innym jakimś zaatlantyckim

kraju, w którym żaden z nas obu szanowny czytelniku nigdy nie był i nie będzie... otóż w Teksas istnieje podobno zwyczaj, iż się nietytułuje ludzi jak u nas: panie! panie dobrodzieju! albo: obywatelu! i t. p., ale mówi się do każdego, choćby nieznajomego: panie jenerale!

Nikt pewnie nie wątpi, że u nas w Galicyi czas niedaleki, w którym do każdego, choćby nieznajomego wypadnie mówić: panie prezesie; każdy bowiem albo jest, albo był jakimś prezesem.

Prawdopodobną jest również rzeczą, że z czasem w Galicyi będzie można każdego tytułować „panie hrabio“, bez obawy popełnienia omyłki.

Gdyby istniał zwyczaj tytułowania ludzi „bohaterze!“ to śmiało możnaby u nas każdego tem tytułować słowem, każdy bowiem, albo się ma za bohatera, albo przynajmniej za bohatera uchodzić pragnie.

Pisząc o kimkolwiek bądź, można go zwać „bohaterem“. Tytuł więc naszej pracy: „Bohaterowie“, nie tłumaczy wcale o kim pisać zamierzamy...

Powiemy zatem wyraźnie, że zamierzaliśmy sobie pisać o bohaterach kat-eksochen — o ludziach, którzy zawsze i wszędzie i w każdej sprawie u nas pragną główną odgrywać rolę.

To są nasi bohaterowie.

Na trojkiej podstawie opierają się oni w swem prawie czy uroszczeniu. Nazwisko rodowe, mająt-

kowa przewaga i tradycyjalna potulność czy służalstwo ludzi, którzyby mogli z nimi pójść w wody — to ich legitymacye.

To nasze bohaterzy — a jakie bohaterzy, taka i ta epopeja galicyjska!

* * *

Pierwszym warunkiem skuteczności usiłowań, pomyślnego rezultatu działania na jakimkolwiek polu narodowego czy społecznego życia — jest podział pracy.

Bohaterowie nasi zapewne w poczuciu nadludzkich swoich sił i zdolności, nieuznają tej zasady ekonomicznej. Bohater wszystkiemu podoła — wszystko potrafi, nie ma rzeczy, którejby nie umiał, nie masz trudności dla niego za wielkiej; dwie, trzy, dziesięć spraw równocześnie bierze na swoje barki z uśmiechem. Każda z tych spraw z osobna wymagałaby od zwykłego śmiertelnika zupełnego jej oddania się, aby szła pomyślnie. — Bohater z zupełnem zaufaniem w swe siły i z niezachwianą pewnością siebie, podejmuje się kierownictwa kilku instytucji autonomicznych, kilku spółek lub stowarzyszeń naukowych, finansowych, przemysłowych, gospodarczych, nawet takich, którychby interesa w kolizyi między sobą zostawać miały...

Bohater da wszystkiemu radę, wszystkim zakieruje jak najlepiej. Dla niego zaszczyty, dla niego

wdzięczność ogółu, dla niego pensye — dywidendy — dyety i t. d.

Słyszeliście o furmanie, któryby kilku naraz furmanił wozom?

Niemąło takich czarodziejów znajdziesz między naszymi JWiel. furmanami. I furmanią tak po najgorszej naszej galicyjskiej drodze. Toczą się czas jakiś koła tych wozów, smarowane z szlacheckich i nieszlacheckich kieszeni — aż wreszcie popękają osie — i wóz się rozleci w kawałki...

Jest jednak sposób ubezpieczenia wozu od tej katastrofy: furmanic nie ruszając z miejsca. — I takich nieruchomych furmanów u nas nie braknie. Naliczyłby można dość wozów zaprzężonych od lat kilku, które stoją na miejscu jak zakłete.

I jakież cel takiego ubiegania się o te furmańskie kozły?

Dziwne pytanie! Rodzi się na to słowik aby śpiewał, wół aby go zaprzęgano do pługa lub karmiono brabą w gorzelni, bocian aby żaby połykał, chlorops aby zjadał pszenicę, szewc aby szuł buty, chłop aby pole uprawiał, woźnica aby kierował końmi, magnat aby przewodniczył. To jego natura.

Nie dziwi się wół, gdy go do pługa zaprzęgna, chłopu orać nie nowiną, ani bocianowi żaby zjadać. Woźnica pochwyciwszy lejce czuje się na swem miejscu, magnat na prezesowskim krześle. Z dziada i pradziada nie nowiną mu przewodniczenie. To

jego natura. Przejdźcie w myśli wszystkich magnatów i półmagnatów galicyjskich... jeżeli który z nich nie przewodniczy, to już pewno nic wcale nie robi.

„Starosta albo kapucyn“ mówi przysłowie. „Próżniak albo Prezes“ możnaby powiedzieć o naszych magnatach i magnacikach. Cześć wyjątkom — ale w całej Galicyi jest ich trzy czy cztery.

Nie śmiesznaż to rzecz dziwić się, że ktoś czyni rzecz powołania swego? Nie dziwią się konie furmanowi, gdy je zaprzęga do wozu, nie dziwią się owce pastuchom, gdy je spędzają do kupy, ani bocianowi żaby, gdy je połyka — a szlachta dziwiłby się miała zachceniom magnackim? Nie dziwi się wcale.

Zna ona ich dobrze od trzech wieków i dłużej, a wie o tem, że się ptak pierzy co roku, ale natury nie zmienia. Wie ona czego się po nich spodziewać można i jaką w najcięższych dla narodu chwilach odgrywali rolę.

Ale i oni ją znają.

* * *

Warto przypatrzeć się i posłuchać po białych dworach szlacheckich przed jakim zjazdem obywatelskim lub przed wyborami, co butni bohaterowie zaściankowi wygadują na arystokrację i na naszych magnatów. Szczurzą wąsy, poprawiają czu-

pryny, sierzdzą się i zgrzytają zębami. Recytują jak z książki całą kronikę skandaliczną magnackich rodów. Żadnej plamy ciężącej na historycznem nazwisku niepominą, nie przepomną o żadnym z antenatów zhańbionych zdradą lub odstępstwem, zapominając zgola o dobrze zasłużonych ojczyźnie. A wszystkie te reminiscencye idą na karb potomka jakoby osobiste przeciw niemu zarzuty. Odsądzą go nadto od charakteru i wszelkich zdolności.

Nadejdzie wreszcie oczekiwany dzień zjazdu lub wyborów. Nasz magnat lub magnacik na ten dzień spuszcza z tonu, umili pańskie oblicze słodziuchnym uśmiechem, z staropolską niby serdecznością ściska ręce dawno niewidzianych znajomych i „przyjaciół politycznych“, poufale weźmie tego i owego popod ramię i odprowadziwszy na bok zaszczyci zapytaniem o zdanie w tej lub owej piękącej kwestyi, wreszcie wypytuje z ujmującą troskliwością o żonę i dzieci, o gospodarstwo, urodzaje i t. d. Miękną, miękną coraz bardziej harde dusze szlacheckie, a gdy prezes zagai posiedzenie — opozycya gdzieś się zawieruszy, stchórzą zaściankowi bohaterowie a magnacik górą. Jeśli się jednak nie czuje całkiem pewnym wygranej — wtedy pozostaje mu jeszcze jeden środek: liberalna mówka. Środek ten niewątpliwiej skuteczności i nigdy prawie nie zawodzi.

Czy pamiętasz panie hrabio tę fatalną pomyłkę, gdy po skończeniu jednej z takich twoich mówek

pełnej patryotycznych szmermeli, w czasie najhuczniejszych oklasków, szepnąłeś drwiąco do twego kuzyna stojącego za krzesłem: „a tom głupiej szlachcie mówkę wypalił!“ — a wtem oglądnąwszy się spostrzegłeś z przestachem, że miejsce, na którym stał twój kuzyn zajął tymczasem ktoś inny?... Czy pamiętasz to panie hrabio, czy też może ów „ktos inny“, który tę facecyę opowiadał... rozminął się z prawdą?

Ach, ileż to takich facecyi o tobie opowiadają — oszczercy!

* * *

Ale na cóż tu oszczerców!

Bywają czasy, w których przeciwnicy naszej magnaterii, a więc „anarchiści“, „komuniści“, „demagogi“ i t. p., to są bowiem epitety — na które w mniemaniu waszem zasługuje każdy, ktokolwiek ośmieli się nie iść z wami a raczej za wami... otóż bywają czasy, w których „ulica“ wyparta ze wszystkich stanowisk, pobita na głowę przez waszych płatnych i niepłatnych lokajów, zniknie zupełnie z widowni spraw politycznych a wy sami pozostajecie na placu. Stronnictwo wasze, dobrze o tem wiecie, jest czysto negacyjnej natury. Działalność jego mimo ciągłego szermowania sztandarem organicznej pracy, zasadzała się zawsze i zasadza wyłącznie na hamowaniu gorętszych popędów narodowych, na organizowaniu zaciętego oporu wszel-

kim postępowym, liberalnym dążnościami, na systematycznym podkopywaniu robót przeciwników i czernieniu ich przewódzców. W środkach nieprzebiegaliście nigdy i nieprzebieracie. W wyborze środków i najczernerwieszy rewolucjonista was nie prześcignie...

— „Z przekonania jestem arystokratą, z usposobienia rewolucjonistą“ — wyrzekł o sobie jeden z waszych w roku 1863, ten sam, który półżartem, pół-seryo wyznał, że dlatego powstanie popiera „bo go to bawi“.

Znalazł się ktoś, kto mu wówczas odpowiedział, że arystokrata z zasady a w środkach rewolucjonista zwie się oligarchą...

Czyście wy może jemu nie podobni? Gdybyście mu dorobili krewkością, sprężystością woli i że tak powiem dziką rasowością stepowego tabuna, bylibyście mu podobni.

— Zerwę posiedzenie — rozbiję zjazd, albo zgódźcie się na mój wniosek! Pamiętajcie, że niezgoda zgubiła ojczyznę!...

To przynajmniej jasno i otwarcie! Czyście zdolni takiej... otwartości?

Nie. Wy nawet do zasady waszej społecznej przyznać się cywilnej nie macie odwagi, ba, jeden z was pod formą satyry pisząc sam sobie panegyryk, wyznaje, że „był przebiegły i ostrożny, nie „uraził ani arystokratów ani demokratów, ale się „też ani z jednymi ani drugimi nie związał (?), tło

„przekonań ukrywając starannie przed okiem profanów“.

To znowu kiedyindziej wedle własnego wyrażenia: „posiadając w wysokim stopniu sztukę myślenia oczów“ w piśmie na wskroś magnackiem głosicie się demokratami, „ale nie takimi — którzy się za demokratów głoszą“.

Taką w jednym zdaniu pomieścić sprzeczność, potrzeba na to odwagi zaiste — bohaterskiej!

Przeczytać wasz osławiony paszkwil, w którym zacnemi podejrzywaniami odsądzacie przeciwników od czci i wiary — a każdy bezstronny powie:

— Na co tu oszczerców!

Ile razy dzięki waszym wpływom i stanowisku społecznemu, dzięki apatycznej w kraju większości, dzięki wreszcie solidarności waszej w chwilach grożącego waszej przewadze niebezpieczeństwa, ile razy weźmiecie górę nad rozbitymi frakcyami postępowego obozu, wtedy cisza nastaje głucha i *dolce far niente*. Pióra wasze przestają skrzypieć po papierze o t. z. organicznej pracy (czytaj: organicznej bezczynności), a stronnictwo złączone tylko wspólną wam wszystkim ku postępowcom nienawiścią, rozbija się napowrót na magnackie koterye, z których powstało. — Pelidzi i Atrydzi spoczywający na laurach w namiotach swoich, nie szczędzą się wtedy nawzajem. Nie rzadko tam o jaką Bryzeis idzie — lub o skarby achajskich banków, lub o koncesyę olimpijskiego boga, ale zawiść główną

zawsze gra rolę i szczero-homeryczne nieraz na usta wywoła epitety.

Tam to fejletonisto nasłuchałbyś się ploteczek i anegdotek z familijnych kroniczek i skandalicznych rodowodów i poprawek do Niesieckiego...

Trojanie nie grożą już okrętom — a więc spór wszczynają się zażarty między bohaterami o łupy i o buławę.

O bohaterowie! Ilion jeszcze nie zburzony, a z każdym rokiem przybywa mu obrońców.

Kalchasy, z których drwicie *en petit comité*, a sławicie *coram populo*, Kalchasy wasze nie zażegnają burzy ściągającej się nad waszemi głowami...

Spojrzyjcie na synów waszych. Na lichwiarских świstkach podpisują nazwiska swych ojców...

Czy i oni mieliby po was odziedziczyć historyczne buławy? czy i oni mieliby się stać przewodzcami naszymi?

Zaciera się między szlachtą i nieszlachtą urok waszego imienia.

Nie będziecie mieli następców.

Mimo jezuickich modłów nad waszemi grobami, uwierzycie po śmierci w pogańską Nemezis..

* * *

Jakie wasze cele? jaki wasz program?

Śmieszne pytanie!

Jeżeli Ludwik XIV mógł powiedzieć o sobie

„l'état c'est moi“, z równem wy moglibyście powiedzieć prawem: „Nasz program — to my sami. Nasz cel — to nasza przewaga, nasze przodownictwo wszędzie i we wszystkim i za jaką bądź cenę“.

Nie darmo niegdyś szlachta polska nazywała was „pańskim narodem“. mówiła o pańskim narodzie jako o osobnym narodzie.

I w rzeczy samej osobnym jesteście narodem. Każdy z was w towarzystwie niemieckiej, angielskiej portugalskiej arystokracji bardziej się czuje między swemi, niż w towarzystwie polskim, choćby owej „naszej w półdzikiej szlachty“, jakżeście ją raz mimochodem w waszem czasopiśmie nazwali. — Byłto zapewne *lapsus calami...*

Bywają czasy kiedy inaczej wam mówić wypada. Ileż to razy zdarzy się słyszeć z ust waszych to zdanie, że „u nas nie ma i nie powinno być arystokracji i demokracji“. Nie ma? a jednak wy jesteście i w jednym stoicie obozie, a tych, którzy nie idą z wami sami zwiecie wzgardliwem wedle waszego rozumienia nazwiskiem „demokracji“. Kimże wy jesteście?

— Ja do żadnej nie należę partii. *Je suis polonais: voilà tout.*

A wierny wasz adherent, pocciwy szlachetka — pan Piotr-Paweł powtarza pacierz za wami:

— Te stronnictwa w kraju, to nasza zguba. Jam Polak i nic więcej!...

Pocziwy pan Piotr-Paweł nie wie, że kto chce zasłużyć na imię dobrego Polaka, winien w sprawach krajowych wyrobić sobie jakieś zdanie, nie powiem co do wspólnego wszystkim ostatecznego celu, ale co do środków i drogi, którą do celu tego dążyć należy. Nie zastanowił się nad tem pan Piotr-Paweł, że obrawszy środki i drogę, chcąc nią dążyć skutecznie, należy do wspólnej pracy związać się z ludźmi tegoż samego kierunku, jednym słowem: stanąć pod sztandarem jakiegoś stronnictwa.

Ale wy — wy o tem wiecie. Ale wiecie także i o tem, że takie pocziwe luźne jednostki jak pan Piotr-Paweł najłatwiej dają się łapać na lep. W tej gmatwaninie luźnych dążeń i kierunków, w tym zamęcie wynikłym z braku zorganizowanych stronnictw, najłatwiej łowić ryby — tak jak w mętnej wodzie...

A takie luzem idące pocziwe indywidua, nieumiejące dokładnie zdać sobie sprawy dokąd idą i czego chcą — to niestety ogromna część inteligentnej warstwy narodu!

Tradycje historyczne, nazwiska wasze i tytuły, stanowisko społeczne i majątkowe — to wszystko ma urok niezwykły dla tych niewiniątek — toż nie-trudne to rzemiosło zaiste, ta wasza demagogia magnacka...

— Ratujmy społeczeństwo!

— Własność w niebezpieczeństwie!

A pocziwcy widzą już dokoła komunistów, czy-

hających na tych kilkaset morgów gruntu, na lasy i pasowyska. Krwawe widmo 1846 roku przemknęło się wspomnieniem w duszy, a na czele band szelmych śnią się szlachcicowi znajome twarze adwokatów lub dziennikarzy, tych szczególnie, którym przy ostatnich wyborach o mało nie dał swego głosu...

— „Rodzina zakwestyonowana!“

To już za wiele panie hrabio. Któż ją „kwestyonuje?“ Ty sam chyba i tobie podobni. Przypomnij sobie młode swe lata i wiek męski i późną jesień żywota, w ilu to rodzinach zakwestyonowałeś najświętsze jej prawa? Czy to może plotki? Rzecz dziwna, że świat cały te plotki powtarza. Ty sam nawet, gdyś w „dobrym“ humorze i między swoimi...

A więc tyś może wyjątkiem? Rzecz dziwna, że z was każdy prawie donżuańską chlubi się sławą i to nie za młodu tylko, ale i wtedy gdy szron na dobre głowę mu opruszy.

W żadnej warstwie towarzyskiej nie braknie tej kategorii romansowych „bohaterów“, ale wy wiecie sami że w waszej ich najwięcej, w waszej, która najwięcej prawi o religii i moralności, o ratowaniu rodziny i społeczeństwa.

Prawicie o moralności moi panowie, a wasze czasopisma szermujące nieustannie święconymi godłami — drukują przecież powieści jak „Gwiazda“, „Płomyki“ i t. p., należące do kategorii najnieprzyzwoitszych kankanowych romansów, za-

równy pod względem osnowy jak i kolorytu. Równie im niepojawily się jeszcze w piśmiennictwie naszym!

Ależ prawda! wszak takie skandaliki ściągają czytelników i prenumeratorów. — Chcąc tem skuteczniej szerzyć „zdrowe” zasady w jak najszerszych kołach, dajecie niewinnej trutki trochę na przynętę. Cel uświęca środki.

Bohaterowie ratujący porządek, społeczeństwo, własność, rodzinę, moralność i religię — wy ratujecie zawsze i wszędzie tylko siebie samych!...

* * *

Czytelniczka. Moralizujesz panie autorze. Ten ton kaznodziejski wcale niewłaściwy dla fejtysty i plotkarza. Zaczynam cię podejrzewać, że jesteś księdzem.

Czytelnik. I ja zaczynam to przypuszczać. Ciąłeś w twojej książce na lewo i na prawo, na wszystkich coś napisałeś, tylko na księży ani słówka, a przecież... Przyznajże się kim jesteś! Kto się tyle plotek nasłuchał, radby coś wiedział o plotkarzu, aby mógł osądzić, ile w tem było prawdy.

Autor. Powiedziałem otwarcie, że jestem pseudonimem. Zatajenie nazwiska to najlepsza rękojmia, że w moich plotkach musi być prawdy niemało. Gdyby tam były tylko wierutne bajki, nie obawiałbym się rozgniewać szanownych państwa i nie miałbym powodu się ukrywać. Jestem tedy pseudonimem i basta.

Czytelnik. Nie najlepsza to rekomendacya dla roznosiela plotek. A zresztą i to nieprawda. Nie jesteś pseudonimem, boś żadnego wcale nie przybrał nazwiska. Anonimem jesteś.

Autor. Zgoda. Nie jestem pseudonimem. Przybrałem tedy nieprzysługujące mi nazwisko, a ten sam fakt pseudonimem mnie czyni.

Czytelnik. Pseudo-pseudonimem jesteś i sofistą! Powiedzże przynajmniej jakież twój pseudonim?

Autor. Chciejcie go dla mnie obrać Szanowni Państwo, a tem samem za moje plotkarstwo otrzymam nagrodę, jaka się dotąd od kiedy świat stoi żadnemu jeszcze autorowi nie dostała w udziale.

Przez wdzięczność za to wyszczególnienie, skoro nowy zasób ploteczek uzbieram, nie omieszkać przesłać wam w kształcie fejtetonów lub książki.



SPIS ROZDZIAŁÓW.

	Str.
I. Pseudo	1
II. Nowe album niefotograficzne	13
III. Olojaderos	19
IV. Chudzi, chorzy i skromni	35
V. Jeszcze chudzi. Skromni	43
VI. Tłusci i dzielni. Błaga i pseudooptymizm	58
VII. Jeszcze błaga. Przywóz i wywóz	84
VIII. Owce i pseudo-owce	100
IX. Polakerya	117
X. Urodzeni agronomowie. Jeszcze Polakerya	140
XI. Prorocy	192
XII. Bohaterowie	247
